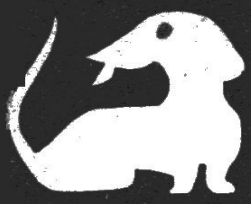

– Wiem o tym i dlatego diabli mnie biorą. Rozwinęliśmy ogromną akcję. Helikopter, kilkanaście radiowozów, blokady na szosach. Co najmniej ze stu ludzi ciężko pracowało. I nic z tego. – Szukaliśmy wielkiej ryby, a złapaliśmy dwie malutkie płoteczki. – Sprawdźcie czyj to samochód. – Znamy ten wozek – roześmiał się kapitan – reprezentacyjne auto Kościana.

CZYTELNIK

POMYSŁ ZA SIEDEM MILIONÓW

JERZY EDIGEY

Ali-Baba

JERZY EDIGEY

POMYSŁ ZA SIEDEM MILIONÓW

Rozdział pierwszy
Doniesienie o przestępstwie

Dochodziła ósma rano. Major otworzył drzwi swojego pokoju, zdjął płaszcz i powiesił go w niszy, a następnie wyciągnął z kieszeni duży pęk kluczy i po wyszukaniu odpowiedniego otworzył drzwi stalowej szafy, stojącej w kącie pokoju. Wyjął z niej kilka teczek w szarych, tekturowych okładkach z czerwonymi naklejkami „areszt" i położył je na swoim biurku.

Dzień zapowiadał się bez większych wrażeń, ale za to bardzo pracowity. Major Janusz Kaczanowski właśnie „wykańczał" parę spraw, na które już czekał prokurator. Wszystko z grubsza było wykonane. Sprawcy przestępstw wykryci i „zabezpieczeni" w więzieniu. Pozostało jednak jeszcze dużo rozmaitych formalności. Trzeba je było dopełnić, aby dochodzenie, jak to się mówi, „zapiąć na ostatni guzik". Nudna praca, ale obowiązująca i do zrobienia w tempie. Major jej nie lubił.

W Komendzie Stołecznej MO Janusza Kaczanowskiego uważano za jednego z najbardziej zdolnych oficerów dochodzeniowych. Mógł się też pochwalić niejednym sukcesem. Nawet w takich sprawach, na których inni połamali sobie zęby. Ale jednocześnie major znany był i z tego, że kiedy sprawa została w zasadzie rozwiązana, a przestępca ujęty, Kaczanowskiego wcale nie entuzjazmowały dalsze „biurokratyczne" aspekty dochodzenia. Nie raz i nie dwa dochodziło na tym tle do starć pomiędzy majorem a jego bezpośrednim przełożonym, zresztą także i przyjacielem, pułkownikiem Adamem Niemirochem.

Przeglądając akta kolejnej sprawy Kaczanowski myślał, że na pewno spotka go bura od „starego". Przecież przyrzekał mu, że ta kradzież z włamaniem będzie najpóźniej we wtorek u prokuratora. Tymczasem stojący na biurku kalendarz wyraźnie wskazywał piątek, dziewiątego września.

W tej chwili zadzwonił telefon.

- No - westchnął major - dostanie mi się teraz.

Nie omylił się. Usłyszał głos sekretarki Niemirocha.

- Pan pułkownik prosił, aby major natychmiast się u niego zameldował.

- Już idę! - Kaczanowski z ponownym westchnieniem odłożył słuchawkę. - Trzeba będzie jednak połknąć tę żabę.

Panna Janeczka, sekretarka naczelnika Wydziału Spraw Szczególnych, przystojna, może nieco zbyt pulchna blondynka, powitała majora uśmiechem przeznaczonym tylko dla wybranych. Zarówno ona, jak i wiele ładnych młodych dziewczyn, pracujących w Komendzie Stołecznej MO, ze specjalnym zainteresowaniem spoglądało na Kaczanowskiego. Ten dobiegający pięćdziesiątki, wysoki i smukły mężczyzna o pociągłej twarzy, włosach ciemnych, krótko strzyżonych, aby ukryć srebrne nitki zjawiające się na skroniach, i jasnoniebieskich oczach, w których zapalały się czasami figlarne ogniki, ale które umiały również zamieniać się w dwa sztylety, mógł niejednej zawrócić w głowie. Miał opinię przysięgłego kawalera, o jego flirtach chodziły w Pałacu Mostowskich cale legendy, ale nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na wszystkie przesyłane mu tu uśmiechy i spojrzenia. Widocznie przyjął zasadę, że nie poluje się we własnym rewirze. Więc i tym razem gorące spojrzenie panny Janeczki skwitował jedynie konwencjonalnym ukłonem.

- Pułkownik bardzo zły? - zapytał oficer.

- Nie. Wprost przeciwnie. Przed chwilą wyszedł od niego ppułkownik Czermiński. Obaj wesoło rozmawiali i pułkownik Niemiroch z czegoś się głośno śmiał. Dopiero po wyjściu Czermińskiego polecił mi wezwać majora.

- Mnie chyba nie będzie do śmiechu - Kaczanowski robiąc dobrą minę do złej gry otworzył drzwi do pokoju zwierzchnika i wszedł do środka. Wiedział, że kiedy „stary" jest niezadowolony, wtedy najlepiej zachowywać się zgodnie z regulaminem. Od razu od progu przyjął postawę zasadniczą. Ale ku swojemu wielkiemu i miłemu zdziwieniu usłyszał życzliwe powitanie:

- Jak się masz, Januszku? Proszę, siadaj tutaj - to mówiąc

Niemiroch wskazał nie krzesło stojące naprzeciwko biurka, lecz jeden z wygodnych foteli, otaczających okrągły stolik w rogu pokoju. Sam zaś ulokował się w drugim.

- Chciałbym, abyś to dokładnie przeczytał - powiedział podając majorowi szarą teczkę, zawierającą wewnątrz zaledwie kilka kartek.

Kaczanowski zagłębił się w ich studiowaniu. W miarę czytania jego wyrazista twarz przybrała najpierw wyraz zaciekawienia, później zdziwienia, aż wreszcie oficer milicji wybuchnął głośnym śmiechem.

- A to dobry frant! - wykrzyknął.

- Nie masz się z czego śmiać - zgromił majora Niemiroch - nie zapominaj, że ofiarą sprytnych złodziei padło przeszło siedem milionów złotych.

- Poważna sumka - zgodził się Kaczanowski.

- A jak sam zdołałeś się zorientować, właściwie przestępcy nie pozostawili żadnych śladów.

- Trzeba przede wszystkim szukać Samochodu.

- Służba Ruchu od trzech dni przetrząsa całą Polskę. Bez najmniejszego, jak dotychczas, skutku. Mówił mi o tym pułkownik Czerminski, który przyniósł mi tę sprawę. Z bardzo ciekawą zresztą propozycją.

- „Terenówka" będzie miała sporo roboty - Kaczanowski uśmiechnął się - nie zazdroszczę facetowi prowadzącemu to dochodzenie.

- Da sobie radę - pułkownik ręką machnął - dla niego taka sprawinka to prawdziwy drobiazg. Nie takie rzeczy rozwiązywał. A że właśnie ostatnio nie ma nic do roboty i po całym gmachu obnosi swoją znudzoną twarz, więc powinien z całym zapałem rzucić się w wir pracy.

- Kto to taki?

- Znasz go dobrze. Niejaki major Janusz Kaczanowski.

- Co! - major zerwał się z fotela. - Ja?

- Nie udawaj i nie rób takiej zdziwionej miny.

- Ja ciebie kiedyś zamorduję i każdy sąd mnie uniewinni. Na cztery sprawy czeka prokuratura. Telefony się urywają. A ty mnie jeszcze chcesz wpakować w taki pasztet? Boga w sercu nie

masz.

- Przecież sam się śmiałeś czytając akta. Tak ci się spodobały, że nie mogę ci ich odebrać. A co do tamtych czterech prokuratura może trochę poczekać. Za pięć dni wraca z urlopu porucznik Widecki, to je wykończy.

- Ta sprawa nie leży nawet w naszej kompetencji, Przestępstwo popełniono poza granicami miasta.

- To prawda, ale na terenie województwa stołecznego Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego sprawców należy szukać w Warszawie.

- To niech się tym zajmie Komenda Główna.

- Kiedy to właśnie oni prosili mnie o zajęcie się tą sprawą. Oni także nie narzekają na brak roboty. A u nas, sam to przyznasz, jest teraz trochę luzu. Właściwie tylko twoje „wykończeniówki" liczą się do poważniejszych. Ale zdejmuję ci je z głowy. Zajmij się wyłącznie tym napadem KG MO obiecało nam każdą potrzebną pomoc.

- Obiecywać to oni umieją - major nie krył złego humoru.

Kiedy jednak oficer powrócił do swojego pokoju i spojrzał na cztery pękate teczki, leżące na biurku, jego samopoczucie wyraźnie się poprawiło. Z wielkim zadowoleniem zamknął tę kupę papierzysk z powrotem w stalowe; szafie. Niech tam leżą i czekają na powrót Witieckiego Bura się upiekła i nie trzeba się będzie tłumaczyć prokuratorowi z opóźnienia w zamknięciu dochodzeń i przekazania akt.

Janusz Kaczanowski rozsiadł się wygodnie i położył przed sobą cieniutką teczkę, jaką go obdarzył pułkownik Niemiroch. Tym razem czytał bardzo uważnie każdy arkusz papieru. Przeważnie zapisane były ręcznym, dość niewyraźnym pismem. Trudno wymagać od milicjantów z posterunku MO w Nadarzynie mistrzostwa w kaligrafii. I tak w tej przecież niecodziennej dla nich sprawie wykazali się wielką aktywnością i inicjatywą. A że to nie przyniosło żadnych efektów, nie ich wina.

Jak zwykle kartką oznaczoną numerem pierwszym był mały druczek z napisem

„Doniesienie o przestępstwie"

W krótkim zapisie komendant posterunku, starszy sierżant Domaniecki, odnotował, że w dniu szóstego września na szosie Warszawa-Katowice, w pobliżu Nadarzyna, dokonano kradzieży samochodu osobowego „Polski Fiat 125 p", należącego do Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Według oświadczenia naczelnego dyrektora tychże Zakładów, obywatela Mieczysława Nadolnego, w skradzionym samochodzie znajdowała się skórzana torba koloru ciemnobrązowego, zawierająca kwotę siedmiu milionów trzystu osiemdziesięciu sześciu tysięcy złotych. Pieniądze te zostały pobrane z kasy III Oddziału Narodowego Banku Polskiego w Warszawie i przeznaczone były na wypłatę poborów personelu fabryki.

Major Kaczanowski następnie przeczytał, że po otrzymaniu tego meldunku posterunek milicji w Nadarzynie natychmiast skomunikował się ze Służbą Ruchu i że zarządzono blokadę wszystkich szos i dróg wokół Nadarzyna i wokół Warszawy. Z wyjaśnień pułkownika Janusz już wiedział, że blokada nie przyniosła rezultatu.

Samochód należący do Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie był koloru ciemnowiśniowego i nosił rejestrację warszawską „WW 28-47". Znaków szczególnych, jak jakiegoś wygięcia karoserii czy też zadrapania, nic miał. Była to stosunkowo nowa maszyna, kupiona przez Zakłady przed dwoma laty.

Co dziwniejsze, transport tej sporej sumy pieniędzy był bardzo dobrze zabezpieczony. W samochodzie prócz kierowcy jechała kasjerka, a także strażnik fabryczny wyposażony w broń krótką.

A mimo to samochód i pieniądze zginęły bez śladu.

Czytając akta, major Kaczanowski doskonale wyobraził sobie cały przebieg zajścia. Znał dobrze autostradę Warszawa-Katowice i pamiętał, że dwa, a może trzy kilometry przed Nadarzynem droga ta obniża się, by po paruset metrach wspiąć się na łagodne wzgórze.

Zuchwałe zawładnięcie pieniędzmi i autem musiało zdarzyć się właśnie tam.

Rozdział drugi
Jak ukraść siedem milionów złotych?

Było to w samo południe w dniu szóstego września. Słońce świeciło od rana i temperatura podniosła się do dwudziestu stopni. Wrzesień wynagradzał złą pogodę lipca, sierpniowe deszcze i powodzie.

Na autostradzie, czy raczej na „drodze szybkiego ruchu", jak zwykle w obie strony sunęły całe tabuny samochodów. Osobowe, ciężarówki i wielkie TIRY. Zbliżając się do Nadarzyna i wyjeżdżając z niezbyt wysokiego pagórka każdy kierowca spoglądał na licznik. Wozy jadące od strony Katowic raz po raz błyskały światłami. Tradycyjne ostrzeżenie: „Uwaga, milicja na drodze". Rzeczywiście w niewielkiej kotlince pomiędzy dwoma wzgórzami stał na poboczu motocykl, a obok niego dwóch ludzi. Jeden w jasnym cywilnym ubraniu, drugi w mundurze milicyjnym z odznakami kaprala, w białej czapce i z lizakiem w ręku.

Młody kapral uważnie obserwował ruch na autostradzie, ale widocznie uważał, że wszystko jest w porządku, bo nikogo nie zatrzymywał. Przeciwnie, na widok zbyt wolno jadącego kierowcy, a najczęściej był to właściciel jakiejś syreny, energicznym ruchem lizaka zmuszał go do naciśnięcia na pedał gazu. Nic dziwnego, na autostradzie groźniejsi nawet od „demonów szybkości" są ci wlokący się krok za krokiem, nagle hamujący bez żadnej przyczyny, „niedzielni kierowcy".

Na horyzoncie właśnie ukazał się ciemnowiśniowy fiat. Milicjant przyjrzał mu się uważnie i już z daleka zasygnalizował lizakiem, aby wóz skręcił na pobocze i zatrzymał się. W samochodzie znajdowało się troje ludzi. Dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z mężczyzn nosił granatowy mundur strażnika fabrycznego. Samochód miał na tabliczce rejestracyjnej numer „WW 28-47".

Na znak „władzy" kierowca zjechał na pobocze, zatrzymał się kilka metrów za milicjantem i zgasił silnik. Zarówno

mundurowy, jak i cywil podeszli do wozu.

- Dzień dobry - milicjant grzecznie zasalutował - kontrola drogowa. Poproszę o dokumenty.

Kierowca podał żądane papiery.

- Poproszę także o dowód osobisty.

Milicjant długo oglądał prawo jazdy, dowód rejestracyjny wozu i dowód osobisty Jana Kowalskiego. Wreszcie zwrócił wszystko kierowcy.

- Wóz w porządku?
- Naturalnie - odparł pracownik Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie.
- Sprawdzimy.

- Proszę, niech pan kapral sprawdza.

Milicjant stanął przed maską samochodu.

- Światła postojowe - zakomenderował.

Kowalski odpowiednio ustawił dźwignię. ,

- Światła mijania. Światła długie. Kierunkowskazy.

Wszystko grało. Kierowca z satysfakcją stwierdzał, że „glina" nie może się do niczego przyczepić. Przecież nie dalej jak przed tygodniem był w warsztacie fabrycznym i ustawiał światła.

- Hamulce w porządku?
- Jak najbardziej.
- Zobaczymy. Proszę wysiąść.

A to piła - pomyślał Kowalski wychodząc z wozu.

Milicjant zajął jego miejsce i sprawdzał, czy hamulec działa sprawnie. Następnie przekręcił w prawo kluczyk stacyjki wyłącznika.

Głucha cisza. Rozrusznik nie zaskoczył.

- Ooo! - zauważył milicjant - akumulator wyładowany.
- Niemożliwe - zdziwił się Kowalski - działa doskonale.
- Proszę - milicjant znowu przekręcił kluczyk.

Rozrusznik nie działał.

- Co się stało? - zaniepokoił się Kowalski. - Otworzę maskę i sprawdzę.
- Nie będziemy tutaj hamowali ruchu - zadecydował milicjant - po prostu trzeba popchnąć wóz, to silnik zaskoczy. A po powrocie do bazy sprawdzicie akumulator. We trzech dacie

radę pchnąć. Pan też pomoże - zwrócił się do siedzącego z tyłu strażnika Andrzeja Balickiego.

Strażnik bez sprzeciwu opuścił wóz.

- Niech pani także wysiądzie - milicjant poprosił kasjerkę, panią Krystynę Paluch - będzie lżej.

I kasjerka bez sprzeciwu wysiadła z samochodu. Pozostał w nim tylko przedstawiciel Służby Ruchu i leżąca na tylnym siedzeniu brązowa skórzana torba.

- Popchnijcie! Ale mocno, żeb iryuszył pod górkę.

Trzech mężczyzn: kierowca, strażnik i ten cywil, który towarzyszył mundurowemu, dobrze się przyłożyło i samochód nabrał rozpędu. W pewnym momencie milicjant siedzący za kierownicą zwolnił sprzęgło. Wóz na chwilę stracił szybkość, ale zaraz silnik zaskoczył.

Samochód odjechał jakieś siedemdziesiąt metrów i zatrzymał się. Silnik pracował równomiernie. Kasjerka, strażnik i kierowca podążyli do wozu. Natomiast cywil zawrócił, podszedł do stojącego na poboczu motocykla, uruchomił go i przejeżdżając w poprzek jezdni i przez trawnik znalazł się na przeciwnym paśmie ruchu. Tym prowadzącym w stronę Warszawy. Od razu zmusił maszynę do maksymalnej szybkości. Ale na to trójka spiesząca do swojego samochodu nie zwróciła najmniejszej uwagi.

Kiedy już byli o jakieś piętnaście metrów od wozu, siedzący za kierownicą milicjant ostro ruszył naprzód. Wjechał na szczyt pagórka i za chwilę znikł z oczu maszerującym. Na próżno przyśpieszyli kroku. Człowiek nie prześcignie maszyny.

- A niech go cholera! - zaklął Kowalski. - Zachciało mu się urządzać nam spacery.

Jeszcze nikt nie podejrzewał niczego złego. Ale kiedy znaleźli się na szczycie pagórka, wiśniowy fiat zniknął na horyzoncie.

- Co on robi? - zdziwił się Andrzej Balicki. - Dlaczego się nie zatrzymał?

- Tam została torba z pieniędzmi! - po raz pierwszy niepokój wtargnął do serca kasjerki. - Przeszło siedem milionów złotych.

- To pewnie jeden z tych nadgorliwców - uspokajał kierowca - przyjedzie do fabryki i będzie się chwalił, że sam przywiózł

pieniądze, i jeszcze sporządzi protokół, że zachowaliśmy się wbrew przepisom.

- A gdzie ten drugi? - strażnik dopiero teraz przypomniał sobie o cywilu.

Obejrzeli się. Ale nie zobaczyli ani człowieka w jasnym ubraniu, ani motocykla, który niedawno stał na poboczu.

- Obawiam się... - zaczęła pani Paluchowa.

- Trzeba jak najszybciej dostać się do fabryki - przerwał kobiecie Jan Kowalski. Stanął na poboczu i bezskutecznie usiłował zatrzymać któryś z pędzących samochodów.

Wreszcie jakaś ciężarówka zlitowała się nad nimi.

- Do Nadarzyna? - nieprzyjemnie zdziwił się kierowca ciężarówki - przecież to tylko dwa kilometry.

- Kolego, macie stówę i dowieźcie nas do Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. To od autostrady jeszcze dwa kilometry w prawo. Ukradziono nam wóz.

- Jak to możliwe? - kierowca ciężarówki nie mógł tego zrozumieć. - Całej trójce? Nabieracie mnie na fundusz! Przecież macie strażnika.

- Kazali nam wysiąść. Ja prowadziłem fiata. Zaskoczyli nas. Podwieźcie nas te cztery kilometry. Nie ma chwili do stracenia!

- Przecież mieliście broń - kierowca ciężarówki wskazał na kaburę pistoletu strażnika. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, że na tak uczęszczanej drodze dokonano napadu i zabrano samochód trójce ludzi, z ktorych jeden był uzbrojony.

- Niech pan nas podwiezie - do próśb Kowalskiego dołączyła się pani Paluchowa.

- No dobrze - zdecydował się kierowca. - Siadajcie. A ty schowaj swoją stówkę. Siadaj obok mnie i mów, którędy mam jechać. Pani także jakoś tu się zmieści w szoferce. A ty, kolego z pistoletem, ładuj się z tyłu.

Ledwie dojechali do bramy Zakładu, Kowalski wyskoczył jeszcze w biegu i wszedł do portierni.

- Czy przyjechał tu mój wóz z milicjantem za kierownicą? - zapytał portiera.

Ten spojrzał na kierowcę jak na wariata.

- Czy wrócił mój wóz? - powtórzył pytanie Kowalski..

- Jak mógł wrócić bez was? - portier nadal myślał, że dobrze mu znany „wesoły Janek", jak tutaj wszyscy nazywali kierowcę, znowu stroi jakieś figle.

- O rany boskie! - jęknął Kowalski. Daleko mu było od robienia jakichś kawałów.

Pani Krystyna Paluchowa, która właśnie wysiadła z szoferki, nie musiała się o nic pytać. Wyraz twarzy Kowalskiego powiedział jej wszystko. Obawy zamieniły się w gorzką prawdę. Milicjant ukradł wóz i znajdujące się w nim pieniądze.

- Co teraz zrobimy? - nareszcie strażnik Andrzej Balicki zrozumiał grozę sytuacji. - Wyleją nas z pracy, jak amen w pacierzu! Albo jeszcze i przymkną.

- Trzeba natychmiast zawiadomić Nadolnego - powiedziała Paluchowa - chodźmy do naczelnego dyrektora.

- A to ci heca - dziwił się kierowca ciężarówki. - No to ja jadę w dalszą drogę. Trzymajcie się - pożegnał przygodnych pasażerów i wykręcił ciężkim wozem.

Zatroskana i przerażona trójka nawet mu nie odpowiedziała i nie podziękowała za podwiezienie.

Naczelny dyrektor Zakładów Aparatury Precyzyjnej, inżynier magister Mieczysław Nadolny, spokojnie wysłuchał opowieści. Na razie nie komentował zachowania się swoich podwładnych. Może w duchu przyznawał, że będąc na ich miejscu, sam by tak postąpił? Sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

- Proszę mnie połączyć - polecił sekretarce - z miejscowym posterunkiem milicji. Tylko szybko! Najlepiej z komendantem posterunku.

Kiedy w telefonie odezwał się głos starszego sierżanta, Zygmunta Domanieckiego, naczelny krótko streścił przebieg zuchwałej kradzieży. Komendant posterunku oświadczył, że natychmiast zarządzi alarm na drogach, naturalnie za pośrednictwem swoich wyższych władz, ale prosi, aby poszkodowani razem z dyrektorem zaraz przybyli na posterunek MO.

Wtedy to właśnie powstał dokument „Doniesienie o przestępstwie" oraz protokoły przesłuchania. Gdy bezpośredni

pościg za sprawcami kradzieży - bo nie ulegało wątpliwości, że było ich co najmniej dwóch - nie dał rezultatów, szara teczka z kilkoma zapisanymi kartkami papieru, wędrując drogą służbową, znalazła się w końcu na biurku majora Janusza Kaczanowskiego.

Ponownie czytając te dokumenty, major znowu musiał się roześmiać. Pomysłowość przestępców nie zna granic. Zawsze potrafią wymyślić coś innego.

A swoją drogą, to już nie do śmiechu, jest jeszcze pozostały, równie nieprzyjemny aspekt tej afery. Brał w niej udział umundurowany milicjant. Czy naprawdę funkcjonariusz milicji, czy jakiś osobnik przebrany za niego?

Janusz Kaczanowski chciałby wierzyć w tę drugą ewentualność. Ale nie można wykluczyć i pierwszego wariantu. Ludzie są tylko ludźmi. A ogromna kwota siedmiu milionów trzystu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mogła skusić i jakiegoś milicjanta.

Jeszcze jedno uderzyło majora podczas studiowania tych kilku kartek leżących w szarej teczce. Oto przesłuchiwany od razu, już na posterunku w Nadarzynie, kierowca skradzionego samochodu wyraźnie stwierdzał, że wóz był w przeglądzie zaledwie przed tygodniem. Sprawdzano również ustawienie świateł. Czyżby zapomniano w ogóle o akumulatorze? Kowalski upierał się, że rzekomy czy też prawdziwy milicjant rzeczywiście przekręcał kluczyk w stacyjce, ale rozrusznik nie działał. Wskazywałoby to na wyładowany akumulator. Samochód jednak przebył trasę Nadarzyn-Warszawa do gmachu Narodowego Banku Polskiego i z powrotem prawie do samego Nadarzyna. A więc przeszło pięćdziesiąt kilometrów. Gdyby przed wyjazdem akumulator był wyładowany, to w czasie tej drogi powinien się naładować.

Gdyby alternator nie działał i nie dostarczał prądu, to przecież na tablicy rozdzielczej powinno się zapalić czerwone światełko. Niemożliwe, aby Kowalski tego nie spostrzegł i spokojnie kontynuował jazdę. A może po prostu liczył, że zdoła dotrzeć do fabryki, zanim się akumulator kompletnie rozładuje?

Albo - tu kolejna hipoteza przyszła do głowy oficerowi milicji - kierowca był w zmowie z tymi dwoma czekającymi na szosie. Wtedy siedzący za kierownicą zakładowego fiata milicjant udawałby, że przekręca kluczyk w stacyjce.

A pozostali pasażerowie?

Ten strażnik tak posłusznie wysiadający z samochodu i później, kiedy samochód zaczął uciekać, nawet nie próbujący zrobić użytku z pistoletu tkwiącego w kaburze u pasa. Dlaczego strażnik opuszczając samochód nie wziął ze sobą skórzanej torby leżącej obok niego? Albo nie podał jej kasjerce, Krystynie Paluchowej?

Tych i tym podobnych pytań major miał bardzo wiele. Namyślał się, czy nie sprowadzić tej trójki do Pałacu Mostowskich i tutaj ich szczegółowo przesłuchać. Jednak doszedł do wniosku, że ci ludzie są i tak już dostatecznie przerażeni sytuacją, w jakiej się znaleźli. Naturalnie ci niewinni. Kaczanowski nie przypuszczał, aby aż troje było wspólnikami napastników. Najwyżej jedno z nich.

Lepiej zatem porozmawiać z nimi najpierw w Nadarzynie. W Komendzie będą mniej rozmowni. Przy okazji dobrze będzie przyjrzeć się tym zakładom przemysłowym.

Na pewno komendant miejscowego posterunku milicji, starszy sierżant Zygmunt Domaniecki, udzieli cennych informacji.

Major uważał, że dopiero suma wszystkich spostrzeżeń pozwoli mu się dokładniej zorientować w tej niezwykłej aferze i wybrać kierunek, w jakim powinno się toczyć dochodzenie. Z pewnością prokurator, zgodnie z przepisami kodeksu postępowania karnego, wyda postanowienie o wszczęciu śledztwa w tej sprawie i będzie jak najściślej współpracował z organami milicji. Dochodzenie rozpoczęte przez posterunek milicji w Nadarzynie zamieni się w śledztwo. W tej chwili, major przyznawał to w duchu, , niewiele mógłby powiedzieć prokuratorowi. A przecież Kaczanowski lada moment mógł się spodziewać polecenia prokuratury przedstawienia im zebranych dotychczas materiałów.

Trzeba zatem jak najszybciej wybrać się do Zakładów

Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. A także porozmawiać na miejscu z tamtejszymi milicjantami. Major podniósł słuchawkę i nakręcił numer naczelnika Niemirocha.

- Chciałbym zaraz pojechać do Nadarzyna - powiedział, skoro usłyszał w aparacie głos pułkownika.

- Już wydałem polecenie - odpowiedział Niemiroch - samochód czeka. A jak wrócisz, proszę, wstąp do mnie. Naradzimy się, co z tym fantem robić dalej.

- No, to wyjeżdżam - major chciał odłożyć słuchawkę.

- Chwileczkę - powstrzymał go pułkownik. - Dzwoniłem na posterunek w Nadarzynie i uprzedziłem starszego sierżanta Domanieckiego, że gdzieś za godzinkę będziesz u niego.

Szatan nie człowiek - pomyślał Kaczanowski zbierając się do drogi.

Rozdział trzeci
Wiele pytań, mało odpowiedzi

W drodze do Nadarzyna major Janusz Kaczanowski zatrzymał samochód jakieś trzy kilometry przed tym miasteczkiem. W małej dolince, pomiędzy dwoma niewielkimi pagórkami. Tak niewielkimi, że nawet kierowcy „maluchów" nie zmieniali tutaj biegu z czwórki na trójkę. Ale rzeczywiście, popchnięcie fiata 125 pod górkę wymagało siły przynajmniej dwóch ludzi. Żeby zaś nadać mu jeszcze taką szybkość, aby na drugim biegu silnik zaskoczył, tych pchających powinno być co najmniej ze trzech. Polecenie milicjanta, aby strażnik także pomógł uruchomić wóz, nie mogło wzbudzić niczyjego podejrzenia. To samo dotyczyło i prośby, żeby kasjerka opuściła samochód, aby zmniejszyć wysiłek pchających.

- Te cwaniaki wszystko dobrze obmyślili - zauważył kierowca służbowego wozu milicyjnego, kiedy razem z majorem przeprowadzali małą próbę pchania samochodu - nawet to podjechanie siedemdziesięciu metrów było psychologicznym pomysłem. Gdyby od razu pryskał, strażnik mógłby się skapować i sięgnąć po broń. Albo przytrzymać

wspólnika. A tak, to pognali do swojego wozu, a ten cywil tymczasem dał dęba. Poza tym w ten sposób kierowca fiata szybko znikł z oczu goniących go, bo skrył się za szczytem pagórka.

Major nawet nie pytał, skąd sierżant Adamski tak doskonale zna sprawę. Wiedział z doświadczenia, że kierowcy samochodowi są najlepiej poinformowanymi ludźmi w całym Pałacu Mostowskich. Musiał także przyznać, że uwagi doświadczonego szofera były całkowicie słuszne. Plan napadu przygotowano drobiazgowo i przy jego realizacji nie przeoczono żadnych szczegółów.

Starszy sierżant widocznie czuwał przy oknie, bo jeszcze milicyjny wóz z Warszawy nie zdążył się zatrzymać przed budynkiem posterunku, jak jego komendant meldował się majorowi. Był bardzo przejęty. Nic dziwnego. Kierował tym posterunkiem przeszło siedem lat. Poza bójkami na weselach, drobnymi kradzieżami i jakimiś rozróbami pijackimi lub chuligańskimi w Nadarzynie nic poważnego się nie działo. A tu raptem taki napad i rabunek przeszło siedmiu milionów złotych.

Kiedy dwaj funkcjonariusze znaleźli się w służbowym pokoju starszego sierżanta, zwanym szumnie „gabinetem”

- kartka „Gabinet komendanta, posterunku” wisiała na drzwiach - Zygmunt Domaniecki nie pytany recytował z pamięci:

- Krystyna Paluchowa, urodzona w 1935 roku, lat czterdzieści dwa. Zamężna. Dwoje dzieci. Syn Andrzej na politechnice we Wrocławiu, w Warszawie nie dostał się na studia. Córka Bożena chodzi do liceum, w tym roku szkolnym będzie zdawała maturę. Chce się dostać na medycynę, ale wątpię, bo uczy się nie za dobrze. Władysław Paluch, mąż Krystyny, jest inżynierem. Pracuje, tak jak i żoną, w Zakładach Aparatury Precyzyjnej. Podobno dobry fachowiec. Mieszkają w Nadarzynie ponad pięć lat. Dostali mieszkanie w blokach zbudowanych przez fabrykę. Mają M-4. Przedtem on dojeżdżał z Warszawy, ona tutaj nie pracowała.

- Przeprowadzili się z Warszawy do małego miasta?

- To niecała godzina drogi. Komunikacja autobusowa ze stolicą dobra. Poza tym kupili sobie przed rokiem skodę. W Warszawie mieli tylko pokój z kuchnią. W cztery osoby było im ciasno. Tutaj dostali ładne, duże mieszkanie. Uchodzą za ludzi dość zamożnych. Razem zarabiają chyba przeszło dwanaście tysięcy miesięcznie. Ona ma ze cztery i on z ósemkę. Ludzie spokojni, u nas nie notowani. Sąsiedzi także na nich się nigdy nie skarżyli.

- A kierowca samochodu?

- Jan Kowalski - sierżant dobrze się przygotował do tej rozmowy, bo nawet nie zajrzał do leżących przed nim notatek - lat dwadzieścia dziewięć. Skończył technikum samochodowe w Warszawie. Ma prawo jazdy z kategorią „E". Przezywają go „wesoły Janek", bo lubi płatać kolegom różne figle. Żonaty, jedno dziecko. Mieszka także w blokach, ma dwa pokoje z kuchnią. Żona wzięła bezpłatny urlop macierzyński, bo u nas jest jedynie przedszkole, a brakuje żłobka. Właściwie to jeden jest, ale mały i nie starcza w nim miejsc dla wszystkich nadarzyńskich niemowlaków.

- Taki dobry fachowiec: mechanik i kierowca z najwyższą kategorią, a jeździ w Zakładach na osobowym wozie? Przecież choćby w warszawskich autobusach zarobiłby znacznie więcej. Dawno tu pracuje?

- Ze trzy lata. Ożenił się przed czterema laty. Nie mieli mieszkania. Ona przy swoich rodzicach, on ze swoją matką i młodszym rodzeństwem. A Zakłady obiecywały, że po roku dostanie mieszkanie. Tym go kupili. W Warszawie czekałby najmarniej ze sześć lat. Na mieszkania ściągnęli do Nadarzyna fachowców z całej Polski. Dyrektor Nadolny wiedział - będą mieszkania, będą ludzie. Dlatego też budował, ile tylko mógł. To mu się opłaciło. Fabryka podobno najlepsza w całym kraju. Pracuje prawie wyłącznie na eksport. Nawet mały hotel wybudowali dla cudzoziemców przyjeżdżających z zamówieniami. Luksusowy. Nazywają go tutaj „małe Forum".

- Co dalej z tym Kowalskim? - major przerwał gadatliwemu sierżantowi.

- Czasem sobie wypije. Jak to młody. Ale tylko po pracy.

Żadnego wypadku nie miał. Kupił sobie stare BMW po kraksie i teraz doprowadza je do stanu używalności. Dyrektor pozwolił mu pracować po godzinach w fabrycznym warsztacie samochodowym. Fabryka ma dużą bazę transportową i prowadzi własny warsztat naprawczy.

Wszyscy mówią, że samochód będzie wyglądał jak nowy i będzie jeździł jeszcze lepiej od nowego.

- Cudów nie ma - roześmiał się major - stary grat zawsze pozostanie starym gratem. Choćby nie wiem co się z nim robiło.

- Kowalski to bardzo zdolny mechanik i cały wolny grosz pakuje w ten samochód.

- Dużo tego grosza chyba nie ma? Nie pracująca żoną i dziecko.

- Z niedzielami, z godzinami nadliczbowymi - powiedział sierżant - myślę, że wyciągnie ponad piątkę. Poza tym dorabia. Naprawia różne prywatne wozy. W Nadarzynie samochodów dużo. Ludzie w fabryce dobrze zarabiają, dostają talony. Toteż wielu kupuje. Choćby „malucha". A warsztatów naprawczych nie ma. O chałtury Kowalski nie musi się martwić. Poza tym przyjeżdża tu sporo handlowców z zagranicy. Im także „wesoły Janek" myje i naprawia wozy. Jego żona niejeden ciuch w „Peweksie" kupiła. Przecież nie za złotówki. Kowalski także chwalił się, że ci zagranicznicy przywożą mu różne części do jego BMW.

- Strażnik nazywa się Andrzej Balicki?

- Tak. Miejscowy. Urodzony w Nadarzynie. Lat pięćdziesiąt pięć. Tak zwany chłopo-robotnik. Ma tutaj dwa i pół hektara gruntu. Własny dom i zabudowania gospodarcze. Nowy dom postawił przed czterema laty, ale reszta same rudery. Rocznie utuczy ze dwie, trzy świnie. Poza tym trochę kur i kaczek. Jak to w takim małym gospodarstwie. Wszystkiego po trochu. Na tej gospodarce pracuje głównie żona. Wychowali czworo dzieci, ale one już dorosłe i na swoim. Najmłodszy, Franek, jest ślusarzem w fabryce. Jedna córka dentystką, mieszka w Olsztynie. Druga skończyła handlówkę i pracuje w Warszawie. Tam też zamieszkała razem z mężem i rodziną. Najstarszego

syna wykształcili na inżyniera. Żyje na Śląsku. Chyba w Katowicach, a może w Gliwicach? Nie sprawdzałem szczegółowo Ale w razie czego to łatwo ustalić.

- Dwa i pół hektara w Nadarzynie, niemal pod samą Warszawą. Niejeden badylarz nie ma dużo więcej, a uchodzi za milionera.

- To prawda - przyznał starszy sierżant - a i ziemia u Balickiego nielicha. Żeby się zajął warzywnictwem lub też postawił szklarnie, naturalnie lepiej by się to opłaciło. A tak to żyje z tego, co mu ziemia urodzi, a pensję ma na inne wydatki. U nas sporo takich chłopo-robotników, co to ani rolnik dobry, ani wielkiej pociechy z niego nie ma jako robotnika. Mógłby ziemi dokupić albo wydzierżawić z Państwowego Funduszu Ziemi, ale Balickiemu brakuje i smykałki, i wykształcenia, aby gospodarować po nowemu. Zapewne też i chęci. Łatwiej siedzieć na ławeczce z pistoletem w kaburze, niż schylać się nad zagonem. Tym bardziej że żadne z czworga dzieci nie chciało zostać na roli.

- A co jeszcze wiecie o tym Balickim?

- Poza tym porządny człowiek. Spokojny. Nawet jak się upije, żony nie bije i na ulicy nie rozrabia. Nie karany, jak i pozostała dwójka. Niczego więcej o nim nie mogę specjalnie powiedzieć.

- To niewiele. W ogóle to, co usłyszałem od was, sierżancie, mógłbym z powodzeniem wyczytać z akt meldunkowych albo z kwestionariusza dowodu osobistego. Myślałem, że czegoś więcej się dowiem - major nie krył rozczarowania.

- To nie moja wina - tłumaczył się starszy sierżant - to akurat ludzie spokojni, nie wchodzący nikomu w drogę, nie mający żadnych zatargów z prawem. O takich ludziach milicja niewiele wie. Nie ma powodu interesowania się nimi. Co innego jakiś złodziejaszek albo ci spod budki z piwem czy też chuligani. Tych to znamy dobrze i stale ich mamy na oku.

Major zgodził się z tym poglądem. Tłumaczenie się komendanta posterunku było zupełnie logiczne. Rzeczywiście, milicja ma zbyt dużo do roboty, aby się zajmować spokojnymi, przyzwoitymi ludźmi, nie mającymi żadnych zatargów z

prawem. Nie pozostawało nic innego, jak pożegnać się z sympatycznym i gadatliwym starszym sierżantem oraz udać się do Zakładów Aparatury Precyzyjnej.

Kiedy Janusz Kaczanowski szedł długim korytarzem-' biurowca Zakładów w poszukiwaniu gabinetu naczelnego dyrektora, nagle otworzyły się jedne z licznych drzwi i wypadła z nich jakaś dziewczyna i to z takim impetem, że major aż się zatoczył przytrzymując krewką urzędniczkę.

- Bardzo pana przepraszam - dziewczyna zaczerwieniła się.

- Cała przyjemność po mojej stronie - Kaczanowski stwierdził, że dziewczyna jest bardzo przystojna. Ciemne włosy krótko ścięte, twarz owalna, prosty nosek, duże, ładne niebieskie oczy. Tylko usta może ciut, ciut za wielkie. Wiek tak około trzydziestki.

- Co pan tu robi?

- Szukam siedmiu milionów złotych. Podobno wam zginęły? Nie wie pani, gdzie je ukryto?

- Gdybym wiedziała, już bym je miała - roześmiała się dziewczyna.

- W tej chwili szukam gabinetu naczelnego dyrektora. Może pani mi wskaże?

- Pan jest z milicji? - domyśliła się dziewczyna. Jej wielkie oczy zrobiły się okrągłe z zaciekawienia. - Szukacie tego swojego kolegi, który rąbnął naszą pensję?

- Tak, jestem z milicji, major Kaczanowski do usług. Ale skąd pani wie, że to nasz kolega?

- Przecież miał na sobie mundur, białą czapkę i trzymał lizak - rezolutnie odpowiedziała dziewczyna - wszyscy o tym mówią. Ciekawa jestem, czy go znajdziecie? Bo ja myślę, że nie.

- Dlaczego?

- Gdybym ja miała siedem milionów, umiałabym się schować. Choćby pod ziemią. A poza tym - dziewczyna zawahała się, ale potem odważnie dodała - poza tym nie będziecie chcieli ujawnić, że pomiędzy milicjantami są bandyci.

- Właśnie dlatego znajdziemy go. Choćby się ukrył, jak pani mówi, pod ziemią. Zresztą liczę na waszą pomoc.

- Każdy z pracowników Zakładów zechce wam pomóc, ale

co na przykład ja mogę dla was zrobić?

Major nie zastanawiał się wiele. Mieć kogoś zaufanego w fabryce, to na pewno bardzo by się przydało. A w dodatku kogoś tak przystojnego... Także mały flircik usprawiedliwiony obowiązkami służbowymi nie byłby niczym złym. Dziewczyna jest ładna, bez trudu będzie mogła się dowiedzieć wszystkiego, co się mówi w Zakładach o tej aferze. A poza tym może dostarczyć masę informacji o ludziach tutaj zatrudnionych.

- Pani naprawdę chciałaby nam dopomóc?

- Oczywiście - dziewczyna nie miała nic przeciwko współpracy z tym przystojnym mężczyzną o siwiejących skroniach.

- Pani mieszka tutaj?

- Niestety nie. Samotnym jeszcze dyrektor Nadolny mieszkań nie daje. Najwyżej pokój w hotelu robotniczym. Dojeżdżam codziennie autobusem.

- To świetnie. Jeżeli pani ma czas, umówmy się dzisiaj o godzinie piątej w kawiarni „Nowy Świat". To na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światu. W sali na parterze. Wytłumaczę pani, na czym będzie polegało pani zadanie. Nautralnie proszę zachować w tajemnicy naszą umowę.

- Dobrze, Będę o piątej - dziewczyna nie uwierzyła oficerowi milicji, że naprawdę chodzi o dobro śledztwa, ale miała ochotę umówić się z przystojnym mężczyzną.

- A teraz proszę mi wskazać gabinet dyrektora.

- To nie tutaj. Na następnym piętrze. Trzecie drzwi na lewo. Wejście przez sekretariat. Pawełku, zaprowadź majora do naczelnego - dziewczyna poprosiła przechodzącego młodego człowieka, uśmiechnęła się do Kaczanowskiego i wróciła do pokoju, z którego z takim impetem niedawno wybiegła.

Naczelny dyrektor, kiedy mu sekretarka zameldowała gościa z Warszawy, wyszedł na spotkanie majora.

- Ogromnie nieprzyjemna historia - stwierdził po przywitaniu się - dla nas obu.

- Dlaczego dla nas obu? - zdziwił się milicjant. - Stratę przecież ponieśliście tylko wy. Przeszło siedem milionów w gotówce plus skradziony samochód.

- Samochód to głupstwo - zbagatelizował dyrektor -prędzej czy później złodzieje gdzieś go podrzucą. A pieniądze? W przekroju naszych obrotów także nie astronomiczna suma. Jeśli nawet jej nie odzyskamy, jakoś przebolejemy. Mówię nie o materialnych aspektach całej afery.

- Tylko?

- O jej aspektach moralnych. Z jednej strony milicjant rabujący pieniądze...

- A z drugiej? - major uśmiechnął się. Historia szewca w Köpenick jest nieśmiertelna. Wystarczy, że ktoś włoży jakiś mundur, i już środowisko bezkrytycznie wierzy, że jest tym, za kogo się podaje.

- Z drugiej strony bandyta czy też bandyci wewnątrz fabryki.

- Nie rozumiem? - major udawał naiwnego.

- To przecież jasne - tłumaczył Nadolny - takiego napadu nie udałoby się zorganizować, gdyby tamci na szosie nie mieli wspólników w naszych Zakładach.

- Pan dyrektor ma na myśli panią Krystynę Paluchową?

- Broń Boże! Jestem zupełnie pewny, że nasza długoletnia kasjerka nie maczała w tym palców. Za jej uczciwość mogę ręczyć.

- A więc kierowca Kowalski?

- Nonsens. To bardzo przyzwoity młody człowiek.

- Pozostaje nam Andrzej Balicki. Ten strażnik.

- Wykluczone. To nie za mądry i niezbyt pracowity, ale na pewno uczciwy chłop. Z jakiego powodu miałby iść na tak śliski interes? Ma własną gospodarkę, niezłą pensję, mało do roboty. Za kilka lat emerytura. Dzieci już na swoim. Dlaczego by tak ryzykował?

- Panie dyrektorze, siedem milionów to ogromna kwota. Może skusić, jak pan mówi, milicjanta, ale równie dobrze kasjerkę, kierowcę, strażnika lub nawet kogoś z dyrekcji fabryki.

Dyrektor zastanowił się.

- Zasadniczo pan ma rację, majorze. Ale jestem przekonany, że wspólników bandyty w mundurze milicjanta -tym razem

Nadolny nie twierdził już tak kategorycznie, że kierowcą skradzionego fiata był autentyczny milicjant - należy szukać w naszej fabryce, jednak nie wśród tej trójki.

- Na czym pan opiera swoje przekonanie?

- Na niczym. Po prostu na moim nosie.

- A ten nos wskazuje, gdzie trzeba szukać przestępców?

Dyrektor roześmiał się, a później spoważniał.

- Nie mam żadnych podejrzeń - powiedział - ale chciałbym majorowi zwrócić uwagę, że tamci dwaj na autostradzie, jak twierdzą nasi pracownicy, byli młodymi ludźmi. W wieku najwyżej dwudziestu, dwudziestu dwóch lat. Pani Paluchowa i strażnik Balicki bardzo odbiegają od tego wieku. Kierowca Kowalski jest sporo starszy. Czy więc wspólnika lub wspólników tych dwóch nie należy szukać wśród młodzieży pracującej w naszych Zakładach? Mamy tej młodzieży sporo, i to różnej. Wśród tej grupy płynność kadr jest największa. Także łamanie dyscypliny lub próby drobnych kradzieży zdarzają się najczęściej wśród nich.

- Dyrektorze drogi - Kaczanowski pokiwał głową -mógłbym podać dziesiątki czy setki przykładów, gdzie za młodymi przestępcami stał „mózg", nieraz trzykrotnie od nich starszy. On planował i sam niczego nie ryzykując posyłał tych młodych na „robotę". Zagarniając największą część zdobyczy.

- A zatem? - zapytał dyrektor.

- Chciałbym się przede wszystkim rozejrzeć w sytuacji. Może pan mi opowie coś o organizacji pracy w fabryce i w biurze. Kto mógł wiedzieć, że właśnie we wtorek szóstego września samochód pojedzie po pieniądze? A potem chciałbym porozmawiać z trójką głównych bohaterów.

- Wyjazdy po pieniądze nie stanowiły dla nikogo w Zakładach żadnej tajemnicy. Płacimy dwa razy w miesiącu. Właśnie szóstego i dwudziestego. W te dnie posyłamy kasjerkę do Warszawy, do Narodowego Banku Polskiego, po potrzebne nam na wypłatę sumy. Samochód wyjeżdża zwykle około dziesiątej rano. Wraca około godziny dwunastej. Pani Paluchowa jest główną kasjerką. W czasie wypłaty pomagają jej inne pracownice naszej księgowości. Wypłaty dokonuje się w

poszczególnych wydziałach fabryki w ten sposób, że pierwsza zmiana otrzymuje pobory pod koniec swojej pracy, a druga na jej początku. Ponieważ wypłacający mają dużą wprawę, ta operacja przebiega zazwyczaj gładko. No... Z wyjątkiem ostatniej wypłaty. Trzeba ją było przełożyć na następny dzień, po pobraniu z banku nowej porcji pieniędzy.

- Czy zawsze po wypłatę jeździła pani Paluchowa?

- Tak. Tylko kiedy była na urlopie lub chorowała, zastępował ją ktoś z księgowości. Ale to należało do wyjątków.

- A kierowca Kowalski?

- Mamy w Zakładach dwa wozy osobowe - wyjaśniał naczelny dyrektor - jeden z kierowcą, właśnie Janem Kowalskim, i drugi bez kierowcy, dla służbowego użytku osób mających prawo jazdy. Poza tym członkowie dyrekcji i personel techniczny, zmuszony do częstych podróży służbowych, korzysta ze swoich prywatnych wozów i otrzymuje specjalny „limit" kilometrów, za które fabryka co miesiąc wypłaca im ryczałty. Po pieniądze jeździł zawsze Kowalski. Naturalnie z tym wyjątkiem, kiedy był na urlopie. Wówczas jego samochód przydzielano innemu kierowcy. Mamy sporo ciężarówek i jeden autobus, który codziennie dowozi i odwozi naszych pracowników mieszkających w Warszawie. Zresztą tak się zawsze składa, że jeden lub kilka wozów jest w naprawie. Zastępstwo dla Kowalskiego łatwo znaleźć.

- Czy wasz warsztat samochodów pracuje na dwie zmiany? - zapytał major.

- Zasadniczo na jedną. Ale zdarza się, że kiedy trzeba, ludzie pracują nawet w nocy. W godzinach nadliczbowych.

- Podobno Kowalski w tym warsztacie robi różne fuchy?

Nadolny trochę się zmieszał.

- Jakie tam fuchy! Po prostu wielu naszych pracowników ma własne samochody. A w Nadarzynie nie ma warsztatów samochodowych. Pozwoliłem Kowalskiemu po godzinach pracy naprawiać wozy naszych ludzi. Trochę to wbrew przepisom, ale chcąc utrzymać załogę, bo stolica jest ogromną konkurencją, muszę iść na takie kompromisy. Sam Kowalski, gdyby nie miał tych dodatkowych zarobków i mieszkania, które dostał od

Zakładów poza kolejką, także prysnąłby do Warszawy. Pan major wie, jak trudno o dobrego fachowca w miejscowości odległej o trzydzieści kilometrów od metropolii.

- A strażnik Balicki?

- Mamy dwunastu strażników. Pracują w rotacji: dwanaście godzin na służbie, dwadzieścia cztery wolne. Wszyscy co do jednego to chłopo-robotnicy. Im taki układ godzin najlepiej odpowiada. Poza tym na służbie odpoczywają po pracy w polu. W ogóle mamy sporo tych chłopo-robotników i z nimi są największe kłopoty.

- Chyba nie uciekają do Warszawy?

- Na szczęście nie. Ale to ani rolnik, ani robotnik. Takie Zakłady jak nasz coraz mniej potrzebują niewykwalifikowanych rąk do pracy. Musimy mieć coraz więcej wysoko wyszkolonych specjalistów. A chłopo-robotnik nie ma ani. czasu, ani chęci na podnoszenie swoich umiejętności. Zajęcie w fabryce traktuje jedynie jako źródło zdobycia pewnej dodatkowej gotówki. Na roli prowadzi gospodarkę ekstensywną. Ten problem powinien być jakoś rozwiązany w skali ogólnopaństwowej.

- Nie my go będziemy rozwiązywać - uśmiechnął się oficer milicji - mnie chodzi konkretnie o Andrzeja Balickiego.

- Kiedy trzeba jechać po pieniądze, wyznacza się na konwojenta jednego z czterech strażników, mających w tym dniu służbę.

- Kto wyznacza?

- Teoretycznie ja lub dyrektor administracyjny, praktycznie moja sekretarka.

- Chciałbym teraz porozmawiać z tamtą trójką - major doszedł do wniosku, że już więcej niczego interesującego! nie dowie się od dyrektora.

- Bardzo proszę. Mój gabinet jest do pańskiej dyspozycji.

- Nie chciałbym zakłócać normalnego toku pracy pana dyrektora.

- To głupstwo. Zresztą i tak muszę odbyć konferencję z kierownikiem zaopatrzenia i dyrektorem handlowym. Zamiast tutaj, będziemy rozmawiali u niego. Czy przysłać ich razem?

- Nie. Zacząłbym od kierowcy.

- Doskonale. Zaraz polecę sekretarce, aby go wezwała. A później pan major sam zwróci się do niej, kogo ma mu dostarczyć - dyrektor lekko się skłonił i wyszedł z gabinetu.

Niedługo potem w drzwiach stanął Jan Kowalski. Był w mocno przybrudzonym kombinezonie. Ręce pośpiesznie umyte benzyną zdradzały obecne zajęcie kierowcy. On sam od razu to wyjaśnił:

- Nie mam swojego wozu, więc teraz pracuję w warsztacie. Przepraszam za mój ubiór.
- Nie ma za co. Jestem majorem milicji - Kaczanowski był w cywilnym ubraniu - chciałbym z wami porozmawiać o tamtym napadzie.
- Wiem. Pan major myśli, że jestem wspólnikiem tych drani. Pan przyjechał mnie aresztować? Ale ja jestem niewinny. Przysięgam...
- Proszę, niech pan siada - major wskazał krzesło stojące naprzeciwko biurka - chcę z panem porozmawiać. To nie jest oficjalne przesłuchanie. Na to będziemy mieli czas. Na razie pragnę się zorientować w sytuacji. Wcale nie mówię, że jest pan podejrzany o udział w tym przestępstwie, chociaż jako prowadzący śledztwo jeszcze nie mogę tego wykluczyć.

Kowalski zajął wskazane mu miejsce i milczał.

- Jak to było? - zachęcił go major.
- No, jak zwykle. Pojechaliśmy do Warszawy po pieniądze na wypłatę. Pani Paluchowa, strażnik Balicki i je Trochę w banku zmarudziliśmy, bo kolejka była duża. A pani Paluchowa załatwiała jeszcze jakieś przelewy czy coś podobnego.
- O której wyjechaliście z powrotem?
- Kiedy wychodziliśmy z banku, na zegarze w sali było za piętnaście jedenasta.
- A o której was zatrzymał na szosie ten milicjant?
- Nie patrzyłem na zegarek. Ale chyba było około w pół do dwunastej. Zanim przejechałem przez wszystkie czerwone światła i zanim dobrnąłem do Janek, musiało upłynąć z pół godziny. A później jeszcze z kwadrans. Z pieniędzmi to jadę zawsze wolno i bardzo uważnie. Najwyżej j osiemdziesiątką.
- Jak to było dalej?

- Ano wyjechałem na górkę. Tę pierwszą przed Nadarzynem. Widzę, w dole stoi „drogowa". Na motocyklu.

Z boku jakiś cywil. Pewnie „śledczy". Przed nami sporo wozów, ale nikogo nie zatrzymywał. Dopiero kiedy podjechałem bliżej, machnął „lizakiem".

- Jak wyglądał ten milicjant?
- Normalnie. W białej czapce. Lizak w ręku. Naszywki kaprala.
- Młody, stary?
- Młody. Nawet się wtedy trochę zdziwiłem, że taki młody. Widocznie od razu po wojsku wzięli go do milicji.
- A twarz?
- Ja tam, panie majorze, nie przyglądałem mu się. Pan sam rozumie. Każdy kierowca, choćby miał sumienie jak i złoto, a maszynę jak zegarek, to się zdenerwuje, kiedy każą zjeżdżać na pobocze. Teraz walą mandaty po pięćset złotych. To nie śmiech.
- Tak za nic?
- Z nimi się nie wygra. Przyczepią się do byle czego. Szyba zapaćkana owadami zabitymi w czasie jazdy i już musisz płacić. Jeśli chcą, to zawsze człowieka łupną.
- Pana tak łupnęli?
- Mnie nie. Ale mało to koledzy „za niewinność" popłacili? Mówili mi nieraz.
- A pan każdemu wierzył? - uśmiechnął się major.
- Kto ich tam wie? Dość, że płacili.
- Dobrze. Jedźmy dalej.
- Więc ten milicjant, kiedy już stanąłem na poboczu i zgasiłem silnik, zaczął mi sprawdzać dokumenty. Miałem je naturalnie w porządku. Potem przyczepił się do świateł. Myślę sobie, szuka, jakby tu te pięć setek ode mnie złapać. Ale nic, światła były dobre. Nie skończył jednak na tym. Każe wysiadać z wozu i mówi, że musi sprawdzić hamulce, czy nie zapowietrzony i czy kierownica nie ma luzu. Widzę, że już poluje na mnie na całego i jeszcze bardziej się zdenerwowałem. Ale hamulec był sprawny i kierownica w porządku. Myślę „dobra jest", a wtedy ten milicjant przekręca kluczyk w

stacyjce. A tu głucho. Zupełnie zbaraniałem. Dałbym sobie ręce uciąć, że akumulator nie nawalał. Zarówno w Nadarzynie, jak i później w Warszawie silnik zaskakiwał przy lekkim ruszeniu kluczyka.

- Może jakaś płytka pękła albo w drodze rozwarły się styki?

- To przecież zapaliłaby się czerwona lampka.

- Co było dalej?

- Milicjant wyraźnie się ucieszył i mówi, że akumulator wyładowany. Sam sięgnąłem przez otwarte okno do kluczyka i próbuję. Naprawdę nie działa.

- Pan osobiście przekręcił kluczyk w prawo?

- Przekręciłem. I nie do wiary. Silnik nie zaskoczył. Chciałem otworzyć maskę i sprawdzić, co się stało z akumulatorem, ale milcjant nie pozwolił. Powiada, że na autostradzie nie wolno blokować ruchu. Diabła tam! Przecież stałem na poboczu i żadnego ruchu nie tankowałem. Ale on mówi, żeby popchnąć wózek i tak dojechać do Zakładów, a dopiero tam zreperować. Uradowałem się, że nic nie wspomina o mandacie. Ten cywil cały czas milczał, ale podszedł do samochodu i położył ręce na bagażniku, jakby czekał, że we dwóch damy radę. Pchałem ile siły, ale samochód ani drgnął. Wtedy milicjant polecił, żeby i strażnik nam pomagał, a panią Paluchową poprosił, aby wysiadła, to będzie lżej pchać. We trójkę bez trudu rozpędziliśmy fiata i silnik zaskoczył. Milicjant ujechał pod górkę z osiemdziesiąt metrów i stanął. My wszyscy do wozu. Nawet nie zauważyłem, że nie ma pomiędzy nami tego cywila. Nie słyszałem, jak odjechał motocyklem. Musiał jechać w kierunku Warszawy, bo nas nie wyprzedzał. Byliśmy już o jakieś piętnaście metrów od samochodu, gdy on od razu ostro wystartował, za kilkanaście sekund znikł nam za górką.

- Biegliście za nim?

- Nie. Przecież i tak byśmy go nie dognali. A poza tym myślałem, że milicjant chce nam dać szkołę za ten akumulator. Do głowy mi nie przyszło, że on naprawdę ucieka.

- A torba z pieniędzmi?

- Ani przez chwilę o niej nie pomyślałem. Moja sprawa prowadzić wózek, a nie pilnować pieniędzy. Od tego była pani

Paluchowa i strażnik. Przyznam się, że kiedy doszliśmy na szczyt pagórka i widziałem tylko, jak fiat niknie na horyzoncie, jeszcze niczego złego nie podejrzewałem. Byłem przekonany, że milicjant robi nam kawał i że samochód doprowadzi przed bramę Zakładów. Dopiero tam zrozumiałem, co się stało.

- Zapamiętał pan tego milicjanta? Blondyn czy brunet?

- Bo ja wiem? - Kowalski nie mógł zaspokoić ciekawości majora.

- Wysoki?

- Chyba średniego wzrostu. Może ciut wyższy?

- Zapamiętaliście jego numer?

- Nie zwracałem na to uwagi. Jedno pamiętam. Miał białą czapkę milicyjną, ale nie miał na rękawach białych mankietów. Takich, jak zawsze noszą ci ze służby ruchu.

- Na pewno?

- Doskonale przypominam sobie jego ręce na kierownicy. Bez mankietów.

- A twarz tego człowieka? Przecież kiedy siedział za kierownicą, a pan zaglądał przez okno samochodu, musiał się pan mu przyjrzeć.

- Kiedy taki byłem skołowany tym akumulatorem, że patrzyłem na kluczyk, a nie na milicjanta. Tyle mogę powiedzieć, że miał małe wąsiki i dość długie baki.

- A kolor tych włosów?

- Chyba szatyn.

Następnie w gabinecie naczelnego dyrektora zameldował się strażnik fabryczny Andrzej Balicki. On zauważył jeszcze mniej. Zapamiętał jedynie to, że milicjant miał białą czapkę i „lizak", a towarzyszący mu cywil nosił jasnoniebieskie wdzianko z dżinsowego materiału. To był także młody człowiek, nie mający chyba dwudziestu pięciu lat.

- Waszym obowiązkiem było pilnowanie torby z pieniędzmi - surowo powiedział major - dlaczego wysiedliście z samochodu?

- Jak to dlaczego? - zdziwił się strażnik. - Przecież pan milicjant kazał wysiadać i pchać wóz.

- To trzeba było wziąć torbę ze sobą.

- Torba ważyła blisko dwadzieścia kilogramów, bo pani Paluchowa podjęła w banku dużo bilonu. Jak zwykle na wypłatę. Gdybym ją zabrał, nie mógłbym pchać samochodu.

- Mieliście broń. Kiedy fiat po raz drugi odjeżdżał, trzeba było wyciągnąć pistolet, zawołać „stój, bo strzelam", a gdyby to nie pomogło, oddać jeden strzał w powietrze, a następny w stronę uciekającego bandyty. Był wówczas jeszcze niedaleko. Tak was przecież uczyli.

- Jak bym -mógł strzelać do milicji? Nie wyszedłbym z więzienia do końca życia - tłumaczył się Balicki.

Magia munduru działała bezbłędnie. Nawet teraz, w czasie przesłuchania, strażnikowi nie mieściło się w głowie, że to bandyta, a nie milicjant siedział przy kierownicy porwanego auta.

- Ja, panie majorze, nic nie wiem. Kazał mi kapral pchać samochód, to pchałem. Gdyby pani Paluchowa powiedziała „strzelaj", tobym strzelał. Możecie mnie zamknąć, ale ja jestem niewinny.

Kaczanowski tylko ręką machnął. Zwolnił strażnika i poprosił o wezwanie Krystyny Paluchowej.

Jasna blondynka o włosach tak równych w barwie, że nie mogły być naturalne, dość pulchna, z zaznaczającym się podbródkiem, zasypała oficera milicji potokiem słów. Najpierw bardzo rozwlekle opowiadała, ile to pieniędzy podniosła z banku. Nie zapomniała dodać, że szóstego września dopisała pogoda, świeciło słońce i było gorąco, nie to co w sierpniu. Później zaś szczegółowo przedstawiła całe zajście na szosie.

- Ten młody milicjant taki był sympatyczny. Kto by mógł przypuszczać, że ucieknie z naszymi pieniędzmi?

- Jak on wyglądał?

- Bardzo mile się uśmiechał. Miał ładne wąsiki i niebieskie oczy. Do twarzy mu było. w tym nowiutkim mundurze. Zgrabny chłopak. Na mój gust może odrobinę za niski. Mój mąż ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu - pochwaliła się Paluchowa. - Wcale nie taki Paluch, jak mówi nazwisko.

- A tamten ile mógł mieć?

- Nie więcej niż metr siedemdziesiąt pięć. A ten drugi w

niebieskich dżinsach był trochę wyższy. Temu drugiemu nie przyglądałam się, bo od początku trzymał się nieco z tyłu. Tyle, że był z gołą głową. Zapamiętałam jego ciemne włosy. Także szczupły.

- A ten milicjant? Jakie miał włosy, jaką twarz?

- Włosy? Chyba ciemny blondyn albo szatyn. Czapkę miał naciśniętą na czoło, ale twarz raczej okrągła niż pociągła. Mundur zupełnie nowy i doskonale na nim leżący.

- Miał numerek na mundurze?

- Nie. Chyba nie... Zresztą nie zauważyłam.

- Jak pani mogła wysiąść z samochodu, zostawiając w nim siedem milionów złotych?

- Przecież ten milicjant nam kazał, bo nie można było uruchomić samochodu. Mąż też, zwłaszcza w zimie, kiedy nie może zapalić wozu, mówi „Krystynka, wysiadaj i popchnij". Ale u nas ulica idzie trochę z górki, to łatwiej. Bo my, panie majorze, też mamy samochód. Skodę.

- Pani widziała - przypomniał major - że strażnik wysiadł z wozu i nie wziął ze sobą torby z pieniędzmi. Więc kiedy i pani musiała opuścić samochód, trzeba było zainteresować się tą torbą.

- Ona leżała na tylnym siedzeniu. A poza tym była bardzo ciężka. Wzięłam dziesięć tysięcy złotych w bilonie. Pięćdziesiątkami, złotówkami, dwójkami, piątkami, dziesiątkami i dwudziestkami. To był taki ciężar, że ledwie doniosłam do samochodu. Zgodnie z przepisami Balicki szedł wtedy za mną i asekurował mnie.

- W banku nic się nie stało, a dopiero na szosie.

- Na szosie był milicjant. Wszyscy szanujemy władzę i trudno dopatrywać się w milicjantach bandytów czy złodziei.

- Czy nie zastanowiło pani, że ten chłopak za młodo wyglądał jak na milicjanta?

- Miał mundur, naszywki kaprala, a że młodo wyglądał, no to cóż? Teraz wszędzie odmładza się kadry. Był bardzo sympatyczny i nie budził żadnych podejrzeń.

Tłumaczenie Paluchowej było logiczne, przekonywające. Sam major zastanawiał się przecież, czy na miejscu tej trójki

nie postąpiłby identycznie jak oni. Trudno żądać, aby kierowcy lub też pasażerowie samochodów legitymowali przedstawicieli służby ruchu. Dla oficera śledczego szybko stało się jasne, że z tych ludzi nic nie „wyciśnie". Dla nich to był początkowo zwykły incydent na szosie i nic dziwnego, że nie przyglądali się milicjantowi ani nie mieli żadnych podejrzeń. Popełnili wprawdzie lekkomyślność pozostawiając pieniądze wewnątrz samochodu, ale nawet najsurowszy sąd uniewinniłby ich z zarzutu zaniedbania.

W nie najlepszym humorze Janusz Kaczanowski wracał i do Warszawy.

Rozdział czwarty
Różne hipotezy, żadnych sukcesów

- Pułkownik trzykrotnie pytał się o majora - poinformowała Kaczanowskiego sekretarka - prosił, żeby pan zaraz do niego przyszedł.

- Mam dobry dzień - zażartował oficer - już drugi raz j szef nie może się beze mnie obyć.

- No i co nowego? - zwierzchnik naprawdę się niecierpliwił. Tak wielka kradzież, i to taka, w którą, być może, wmieszany jest funkcjonariusz milicji, mogła bardzo zaniepokoić Komendę Główną MO. Z tamtej strony musiano pułkownika potężnie przyciskać, aby sprawę rozwikłał jak najprędzej.

Major dokładnie streścił to, czego się dowiedział.

- Naprawdę cieszę się, bo wszystko wskazuje, że to nie był prawdziwy milicjant, tylko ktoś przebrany w mundur -zakończył swój raport.

- Nie powiem, abym był tego pewny - zauważył pułkownik.

- Wskazuje na to brak białych mankietów na rękawach.' Takich, jakie nosi służba ruchu w czasie pracy. Poza tym ten nowiutki mundur. Teraz przecież nie wydawano „sortów". No i ten młody wiek kaprala. W milicji nie ma dwudziesto- czy też dwudziestodwuletnich funkcjonariuszy.

- To raczej twoje pobożne życzenia niż dowody. Mundurów

milicyjnych w zwykłych sklepach odzieżowych nie sprzedaje się. Nie słyszałem także o takim zdarzeniu, że okradziono jakiegoś milicjanta z nowego munduru.

- W sklepach się nie sprzedaje. Ale na przykład w każdej garderobie teatralnej taki mundur na pewno się znajdzie. Można go czasem kupić po zmarłym. A także każdy krawiec może go uszyć.

- Wątpię, czy krawiec chciałby przyjąć takie zamówienie. Domyśliłby się, że tu coś nie gra.

- Sądzę, że to jedynie sprawa wyboru odpowiedniego krawca i odpowiednich pieniędzy zapłaconych za taką usługę.

- Może masz i rację. Mam zamiar zwrócić się do KG MO z prośbą o ustanowienie wysokiej nagrody dla osoby lub osób, których informacje przyczyniłyby się do wyświetlenia sprawy i ujęcia przestępców. Można w tej nagrodzie nadmienić, że zostanie ona wypłacona także krawcowi, który ostatnio szył jakiś mundur milicyjny.

- To byłoby bardzo dobrym pociągnięciem - majorowi projekt Niemirocha przypadł do gustu. - Trzeba to zrobić jak najprędzej.

- Wątpię, czy coś w ten sposób zwojujemy, ale spróbować można. Inne twoje argumenty są równie słabe. Białe mankiety milicjanci ze służby ruchu zakładają jedynie w mieście, przy regulowaniu ruchu ulicznego. Na szosie raczej ich nie używają. A co do młodego wyglądu tego milicjanta, to i matematycznie może się zgadzać. Chłopak miał dziewiętnaście lat, kiedy poszedł do wojska. Dwa lata służby, potem szkoła milicyjna i rozpoczęcie pracy w wieku dwudziestu trzech lat. Czy nie można w tym wieku wyglądać na dwudziestolatka?

- No tak - przyznał major - przekonałeś mnie.

- W tej całej sprawie jest jedna najdziwniejsza rzecz.

- Wiem, o czym mój zwierzchnik myśli. O silniku tego fiata.

- Właśnie - podchwycił Niemiroch - zeznania Kowalskiego, że on osobiście próbował uruchomić silnik, i to mu się nie udało, bo starter nie działał, są bodaj najważniejszym elementem dotychczasowego śledztwa. Milicjant, prawdziwy czy też fałszywy, nie mógł siedząc przez kilka minut na miejscu

za kierownicą tak spreparować wozu, aby wyłączyć pracę rozrusznika. Po pierwsze to wcale nie takie proste, po drugie, stojący obok samochodu Kowalski zaraz by zauważył takie manipulacje.

- Samochód już przedtem musiał być odpowiednio spreparowany.

- Niewątpliwie - przytaknął pułkownik.

- Stąd prosty wniosek, który zresztą od początku nie ulegał dla nas wątpliwości, że złodzieje muszą mieć wspólnika w Zakładach Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Zresztą nawet człowiek, nie mający nic wspólnego ze służbą śledczą, dyrektor Nadolny, od razu sam na to wpadł.

- Z tego wynika kolejny wniosek. Ten wspólnik nie tylko był dobrze poinformowany o zwyczajach fabrycznych i sposobie przewożenia pieniędzy, ale także musiał mieć swobodny dostęp do samochodu.

- To zapewne ktoś z warsztatu naprawy. Jak mi oświadczył dyrektor Nadolny, fabryka ma dużą bazę transportową i sama przeprowadza wszelkie remonty. A właśnie przed tygodniem, zeznał to Kowalski, jego wiśniowy fiat był tam na okresowym przeglądzie.

Pułkownik Niemiroch pokręcił głową.

- To tłumaczenie wydaje mi się za łatwe, a nawet za głupie. Przestępcy wykazali niemały spryt. Całą akcję zaplanowali bezbłędnie. Z uwzględnieniem psychologii ludzi przewożących pieniądze. I raptem mieliby popełnić taki zasadniczy błąd? Przecież musieli zakładać w swoim rozumowaniu, że zarówno Kowalski, jak i my zwrócimy uwagę na dziwne zachowanie się samochodu. Przede wszystkim więc będziemy szukali sprawcy tego cudu wśród pracowników warsztatu naprawczego. Na pewno nie jest ich zbyt wielu. Nie przypuszczam, aby więcej niż pięć osób. Poza tym nie zapominaj, że Kowalski jest także mechanikiem z wykształcenia, no i z praktyki. On również, kiedy samochód był w przeglądzie, musiał przy nim pracować i zauważyłby machlojkę. Moim zdaniem samochód został spreparowany przez kogoś, kto wprawdzie nie pracuje W warsztacie, ale ma do niego łatwy dostęp. Zresztą odpowiednie

urządzenia mogły być wmontowane do fiata nie w warsztacie, ale dajmy na to wieczorem czy też w nocy, kiedy samochód znajdował się w garażu. A w ogóle, czy oni mają garaż?

Major z lekka się zmieszał.

- Przyznaję, że o tym nie pomyślałem. Rozmawiałem na razie z naczelnym dyrektorem i z trójką przewożącą pieniądze z Warszawy do Nadarzyna. Po terenie Zakładów nie zdążyłem się rozejrzeć. Ale to się da ustalić bez trudu. Zresztą poleciłem zarówno Kowalskiemu, jak i pozostałej dwójce: Krystynie Paluchowej i Andrzejowi Balickiemu zgłosić się jutro do Komendy na oficjalne przesłuchanie. Ja także jeszcze nie raz i nie dwa będę w Nadarzynie.

- Jaką masz koncepcję prowadzenia śledztwa? - zapytał pułkownik.

- Wydaje mi się, że musi ono iść głównie w dwóch kierunkach. Pierwszy, to odnalezienie wiśniowego fiata i ustalenie, jaką on przebył drogę od miejsca porwania. Może uda się ściślej określić rysopis człowieka w milicyjnym mundurze. Ponadto ekspertyza wozu także powinna wskazać na jakieś ślady tego tajemniczego kierowcy, a również i mechanika, który „poprawił" instalację elektryczną. Sam sposób, pomysł i wykonanie może stanowić pewien trop przy szukaniu tego człowieka.

- Wątpię, czy coś nam da odnalezienie auta - pułkownik był pesymistą. - Teraz każdy, choćby z lektury kryminałów, ma podstawowe pojęcie nie tylko z dziedziny daktyloskopii , ale także słyszał i o mikrośladach. Jeżeli odnajdziemy samochód, będzie on doskonale wypucowany. Albo w ogóle spalony.

- Mikrośladów niełatwo się pozbyć.

- Ja tam najbardziej liczę na nacisk pieniądza. Dwóch z tych przestępców to młodzi ludzie. Być może, że razem jest ich nawet czterech. To chyba maksimum. Nawet jeśli dwaj pozostali są dużo starsi i bardziej doświadczeni życiowo, to i im trudno się będzie oprzeć czarowi posiadania wielkich pieniędzy. A cóż dopiero tym młodzikom?

- No tak - zgodził się Kaczanowski - z podziału na czterech na każdego przypada ponad milion osiemset tysięcy złotych. A

jeśli jest ich tylko trzech, to każdy dostał po dwa miliony czterysta tysięcy złotych.

- To ogromna kwota. Mając takie pieniądze w kieszeni, trudno powstrzymać się przed ich wydawaniem. Żeby chodzić do pracy codziennie, zarabiać w ciągu miesiąca kilka tysięcy złotych i odmówić sobie kupowania drogich rzeczy, leżących na wystawach sklepowych w zasięgu ręki. Żeby nie pokusić się o kupno samochodu lub mieszkania.

- Na razie, tego jestem pewien, dobrze schowali te łupy. Nie przypuszczam, aby wydali z nich choć jeden grosz.

- Będą tak siedzieć na tych pieniądzach tydzień, dwa. Może miesiąc, może rok. Ale w końcu nie wytrzymają.

- Sądzisz, że tak długo będę prowadził dochodzenie? Dziękuję ci bardzo - oburzył się major.

- Nie życzę ci tego, ale ileż to mamy spraw, kiedy przestępca staje przed sądem po kilku lub dopiero po dziesięciu latach? Albo po jeszcze dłuższym okresie? Jestem absolutnie przekonany, że i tę sprawę rozszyfrujemy. Termin trudno przewidzieć. Sam widzisz, że dotychczas nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Nie mamy ani jednego podejrzanego.

- Podejrzanych to mam. Nawet sporo. Ni mniej, ni więcej, tylko ponad trzy tysiące pięćset osób. Tylu, ilu pracuje w Zakładach Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Wśród nich jest przynajmniej jeden przestępca. Wspólnik tamtych na szosie. On nadał całą sprawę i on też odpowiednio przygotował samochód.

- Trzy tysiące pięćset osób powiadasz? Niezły tłumek. Wolałbym, aby tych twoich podejrzanych było znacznie mniej, ale za to bardziej skonkretyzowanych.

- Będą - w głosie Kaczanowskiego brzmiała niezachwiana pewność - bardzo szybko z tego tłumu wyeliminuje się grupkę dość nieliczną. Wśród nich będzie ten jeden, jedyny.

- Wierzę, że sprostasz zadaniu, ale czy łatwo i szybko? -argumenty majora jakoś dzisiaj nie trafiały do przekonania jego zwierzchnikowi. - Sam mi opowiadałeś, że Kowalski dość często za zgodą dyrekcji Zakładów reperował w warsztacie samochody pracowników fabryki. Skoro na to pozwalano

Kowalskiemu, to na pewno także i innym. Zwłaszcza tym, którzy mają własne wozy i sami lubią przy nich dłubać. Każdy z nich mógł być autorem przeróbki instalacji elektrycznej w fabrycznym fiacie.

- Właśnie na nich zwrócę najbaczniejszą uwagę.

- Trudno będzie ich wszystkich znaleźć. Wątpię, aby w Zakładach prowadzono ewidencję osób, którym pozwolono skorzystać z pomocy fabrycznego warsztatu naprawczego.

- Ustalę, kto ma w Nadarzynie samochód i kto z właścicieli tych aut pracuje w Zakładach.

- Wśród pracowników fabryki są zapewne i mieszkańcy Warszawy, mający własne wozy. Zarejestrowane naturalnie w stolicy.

- I to biorę pod uwagę. W ogóle ustalę, kto z pracowników Zakładów ma samochód lub samochód zarejestrowany na jego najbliższych. A potem będę się dyskretnie wywiadywał, czy ta osoba w ostatnich dniach nie naprawiała swoich czterech kółek na terenie fabryki. To dla nas bardzo pomyślny zbieg okoliczności, że samochód Kowalskiego właśnie na tydzień przed porwaniem był w przeglądzie technicznym.

- Dlaczego?

- To nam zawęża okres, w którym przerobiono instalację elektryczną. Mechanicy dokonujący przeglądu wozu, czy nawet sam Kowalski podczas takich czynności, od razu zauważyliby, że do przewodu z akumulatora do rozrusznika jest podłączony jeszcze jakiś inny kabelek.

- Wytłumacz to jaśniej - poprosił pułkownik. Wprawdzie miał on nie tylko prawo jazdy, ale także swój samochód, nie był jednak zbyt biegłym mechanikiem.

- To proste. Rozrusznik nie działał pomimo włączenia kontaktu - odpowiedział Kaczanowski - bo kabel prowadzący prąd z akumulatora zapewne miał wmontowany jeszcze jakiś inny wyłącznik. Przypuszczam, że ukryty pod deską rozdzielczą. Fałszywy milicjant siadając za kierownicę właśnie przesunął dźwigienkę tego wyłącznika i dlatego można było obracać kluczykiem w stacyjce bez żadnego skutku. Takiego kabelka, nawet specjalnie ukrytego, nie dałoby się nie zauważyć

przy przeglądzie silnika.

- To dlaczego Kowalski nie zauważył go później? Przecież musiał zaglądać pod maskę. Choćby dla sprawdzenia poziomu oleju.

- Skoro samochód wyszedł przed paroma dniami z warsztatu, Kowalski nie potrzebował otwierać maski wozu. Olej wymieniono w czasie przeglądu, a w ciągu kilku dni tak dużo kilometrów nie przejechał.

- Ja tam sprawdzam prawie codziennie.

- Bo jeździsz starym gratem. A i to wystarczy, jeżeli sprawdzisz co pięćset kilometrów. Ale wracając do naszej sprawy, sądzę, że nie będę miał trudności w ustaleniu, kto w ciągu ostatniego tygodnia korzystał z warsztatu samochodowego. To przecież nie będą tłumy. Najwyżej z dziesięć osób.

- I jesteś pewien, że wśród tej dziesiątki kryje się przestępca?

- Absolutnie pewien.

- Winszuję optymizmu, ale jakoś nie mogę go podzielać. Obawiam się, że ta sprawa kryje niejedną niespodziankę i dobrze sobie nadwerężymy zęby, zanim ją rozgryziemy.

- Wierzę w swoją szczęśliwą gwiazdę. Dotychczas mnie prawie nigdy nie zawiodła. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

- Sądzę - zauważył Niemiroch - że dobrze byłoby podesłać do tych Zakładów jednego czy dwóch naszych ludzi. Żeby się rozejrzeli w sytuacji, zebrali wszystkie krążące tam plotki. To może się okazać bardzo pożyteczne.

I niech rozpoczną dyskretną inwigilację tych twoich przyszłych podejrzanych.

- To byłoby niezłe - zgodził się major - ja także pomyślałem o czymś podobnym. Postarałem się o informatora z Zakładów. Taka osoba może być przydatniejsza od naszych „wtyczek", bo pracuje tam od dawna, wszyscy ją znają i ona zna wszystkich. Taka budzi zaufanie środowiska.

- To dobry pomysł.

Janusz Kaczanowski spojrzał na zegarek. Jego wskazówki ustawiły się akurat za kwadrans piąta. - Dochodzi piąta. Ale zasiedzieliśmy się. A właśnie umówiłem się z tym moim

informatorem. Muszę go pouczyć o jego nowych obowiązkach. Pozwoli więc pułkownik, że się odmelduję.

- Założę się, że ten informator to kobieta.
- Zgadł pułkownik.
- Przystojna.
- Niczego sobie.
- Ruda?

- Tym razem blondynka.

- Bój się Boga, Januszku - pułkownik aż załamał ręce -ciebie te baby zgubią. Stale latasz za inną. Ledwie pojechałeś do Nadarzyna, znowu kogoś znalazłeś.

- O co ty mnie posądzasz? - bronił się Kaczanowski.

- Tutaj pod bokiem masz śliczną blondynkę - stałym hobby Niemirocha było swatanie przyjaciela ze swoimi kolejnymi sekretarkami. - Janeczka bardzo życzliwym okiem spogląda na ciebie. Byłaby z was wyjątkowo dobrana para.

- Ja przecież jedynie dla dobra śledztwa. Sam stwierdziłeś, że posiadanie informatora wewnątrz Zakładów to bardzo dobre pociągnięcie. Czy to moja wina, że tym naszym współpracownikiem jest dziewczyna, i to przystojna dziewczyna? Po prostu tak się złożyło.

- Tobie zawsze się tak składa.

- Pułkowniku, naprawdę muszę już iść. Inaczej spóźnię się. A do kawiarni „Nowy Świat" kawałek drogi.

- Co ja z tobą mam - pułkownik nie zrezygnował z moralizowania - zmarnujesz się. Przepowiadam ci, że się zmarnujesz.

Sympatyczna blondynka, jak się później okazało, panna Elżbieta Jarot, spóźniła się do kawiarni tylko tyle, ile wypadało, aby ten przystojny oficer nie myślał, że jej na nim tak zależy. Janusz z przyjemnością zauważył, że dziewczyna zdążyła zmienić sukienkę. W tej drugiej było jej bardzo do twarzy.

Elżbieta trochę zdziwiła się, że major od razu przystąpił do konkretnych rozmów. Krótko jej zreferował, jakiej współpracy życzyłby sobie. A więc przede wszystkim dyskretne przepytanie się, kto ostatnio reperował swój samochód w fabrycznym warsztacie. Następnie, co się mówi na temat napadu?

- Czy pani ma dobre stosunki z działem personalnym? zapytał Kaczanowski.

- Pracowałam tam dwa lata. Dopiero później przeniosłam się do zaopatrzenia. Znam tam wszystkich i z dwom; dziewczynami jestem zaprzyjaźniona.

- To świetnie. Być może będę panią prosić o dyskretne wywiedzenie się, kto zwalnia się z Zakładów.

- To takie ważne?

- Nie wiem. Być może, że wiadomości zebrane przez panią zdadzą się psu na budę, ale niewykluczone, że pozwolą na ujęcie przestępców.

- Zrobię, co tylko będę mogła - gorąco zapewniała dziewczyna.

Dalsza rozmowa nie dotyczyła już sprawy. W każdym bądź razie Elżbieta Jarrot opuszczając kawiarnię nie próbowała nawet oszukiwać siebie. Ten major okazał się sympatyczny i coraz bardziej je] się podobał. A ona jemu chyba także, bo nie omieszkał umówić się z nią na następne spotkanie już za dwa dni, chociaż było jasne, że w ciągu tak krótkiego czasu dziewczyna nie zdoła niczego się dowiedzieć. Ale ona nie chciała mu tego tłumaczyć.

Rozdział piąty
Nowy figiel przestępców

Następne dni były dla majora Janusza Kaczanowskiego bardzo pracowite. Należało dopełnić formalności z oficjalnym przesłuchaniem trójki ludzi, którym uprowadzono samochód i zabrano ponad siedem milionów złotych żywą gotówką. Na to oficer milicji poświęcił cały dzień. Przesłuchanie nie wniosło nic nowego do sprawy, gdyż poszkodowani jedynie potwierdzili poprzednie wyjaśnienia.

Tylko kierowca skradzionego fiata, Jan Kowalski, zeznał, że w okresie, jaki upłynął od przeglądu tego samochodu do jego uprowadzenia, remontował w fabrycznym warsztacie dwa

prywatne wozy. Jeden z nich to samochód zastępcy dyrektora, inżyniera Adama Leśniewskiego, drugi robili razem z właścicielem, Wacławem Gałeckim, majstrem fabrycznym.

Kowalski wyjaśnił dodatkowo, że jego fiat nie miał zamykanego garażu. W ogóle w Zakładach Aparatury Precyzyjnej nie było garaży samochodowych. A właściwie to były, ale przed paru laty zamieniono je na magazyny produktów gotowych. Zaś dla samochodów naczelny dyrektor polecił zbudować dużą wiatę przy warsztacie naprawczym. Zasadniczo można było w nocy trzymać oba fabryczne samochody osobowe w warsztacie, bo miejsca tam nie brakowało. Ale wiązało się to z niewygodą, gdyż nieraz, żeby wyprowadzić któryś z fiatów, trzeba było przesuwać wozy znajdujące się w naprawie. Toteż utarło się, że te fiaty wraz ciężarówkami nocowały pod wiatą zasłoniętą z trzech stron. W dzień, jeśli samochód nie był w drodze, stał zawsze przed budynkiem dyrekcji Zakładów.

Doświadczony kierowca sam wysunął hipotezę, że jego samochód jakoś sprytnie przerobiono i dzięki temu nie można go było uruchomić na szosie. Twierdził jednak, że takiej „naprawy" nie dokonano w czasie przeglądu wozu, bo on sam sprawdzał całą instalację elektryczną. Znał się na tym lepiej niż pracownicy warsztatu, wśród których nie było ani jednego specjalisty elektryka.

Kierowca także wykluczył tezę, że przeróbki instalacji elektrycznej mógł ktoś dokonać w czasie, kiedy samochód stał przed gmachem dyrekcji Zakładów. Ruch tam był zawsze dość duży i jeśli nie sam Kowalski, to ktoś inny zauważyłby intruza dłubiącego w tym wozie.

Jak to major osobiście sprawdził, przed gmachem dyrekcji, tuż przy schodach, wymalowano żółtą farbą dwa stanowiska dla samochodów fabrycznych. Duży parking dla wozów pracowników i dla przyjezdnych był cofnięty o przynajmniej dwadzieścia metrów od tego miejsca. Ws2yscy przesłuchiwani stwierdzili, że fabryczne fiaty nigdy nie stały gdzie indziej, jak tylko na wyznaczonych im miejscach.

Zdaniem więc oficera milicji przeróbka wozu była

wykluczona w godzinach urzędowania personelu biurowego Zakładów. Ale fabryka pracowała na dwie, a niektóre oddziały na trzy zmiany. Kowalski zazwyczaj około godziny czwartej po południu odprowadzał swój wóz na teren fabryki i ustawiał go pod wiatą. Następnie, jeśli miał jakąś „fuchę", to pracował w pobliskim warsztacie, a jeśli nic mu się nie trafiło, szedł do domu.

Kierownik warsztatu naprawczego Roman Walendziak wyjaśnił, że jego ludzie zasadniczo pracowali na pierwszej zmianie. Jedynie wówczas, kiedy trzeba było szybko dokończyć remontu jakiegoś wozu, zostawali po godzinach. Oni także, jak i Kowalski, za wiedzą i zgodą dyrektora Nadolnego czasami w tym warsztacie reperowali swoje samochody lub wózki kolegów. Niekiedy również pracownicy Zakładów sami naprawiali swoje pojazdy. Zawsze jednak trzeba było na to uzyskać zgodę któregoś z dyrektorów.

W tygodniu poprzedzającym kradzież, Walendziak stwierdził to kategorycznie, jedynie Kowalski pracował w warsztacie, i to bodaj zaledwie przez dwa dni. Natomiast pracownicy warsztatu codziennie zostawali po godzinach pracy, bo czas pilił. Przeglądano i remontowano dwa wielkie żubry, które przygotowywano do wyjazdu z eksportowym towarem do Francji.

Zdaniem kierownika warsztatu żaden z jego ludzi nie mógł być wmieszany w aferę kradzieży. Wychodzili z terenu fabrycznego razem, a w czasie roboty w godzinach nadliczbowych także żaden z nich nie miał wolnej chwili ani okazji, aby zająć się fiatem Kowalskiego. Zarówno sam Walendziak, jak i inni pracownicy zauważyliby natychmiast takie podejrzane manewry.

Każdy samochód ma dwa komplety kluczyków. Jeden z tych kompletów miał kierowca fiata, a gdzie znajdował się drugi? Major zainteresował się tym problemem. Duplikaty kluczy do wszystkich pomieszczeń, zarówno biurowych, jak i fabrycznych, oraz kluczyki do wszystkich samochodów znajdowały się zawsze w portierni. Te do samochodów wisiały w oszklonej gablocie w głębi. Kaczanowski sprawdził, że szafki

tej nie zamykano na klucz. Zresztą zamek gablotki był tak prymitywny, że można go było otworzyć bodaj agrafką. Portierzy nie umieli w ogóle wyjaśnić, czy ta szafka zawsze była otwarta, czy też ten, kto ostatnio sięgał po klucze, po prostu nie pofatygował się jej zamknąć.

Wprawdzie w portierni dyżurował portier i siedział strażnik, ale dojść niepostrzeżenie do szafki i wyjąć kluczyki od wiśniowego fiata mógł, praktycznie biorąc, każdy. A po zrobieniu duplikatów, co w takiej fabryce było wprost dziecinnym zadaniem, lub po jednorazowym posłużeniu się kluczami wróciły one na poprzednie miejsce.

W nocy teren całych Zakładów był teoretycznie strzeżony przez dwóch wartowników. Jeden z nich zazwyczaj siedział w portierni. Drugi patrolował ogromny plac z kilkoma zabudowaniami fabrycznymi. Taki obchód strażnik wykonywał raz na godzinę. Zresztą w fabryce i w nocy panował duży ruch. Niektóre oddziały czynne były przecież bez przerwy całą dobę. Tylko ich załogi zmieniały się. Pierwsza zmiana kończyła pracę o czternastej, następna o dwudziestej drugiej, zaś nocna o szóstej rano. A że we wrześniu wieczorem jest już ciemno, każdy z drugiej, już nie mówiąc o trzeciej zmianie, mógł się zakraść pod wiatę i bez większych przeszkód majstrować przy samochodzie.

Na dodatek wozy ustawiano tutaj tyłem do wjazdu. Człowiek, który dostał się pod wiatę, mógł spokojnie otworzyć maskę fiata. Ani wartownik, ani nikt z przypadkowo przechodzących nie zauważyłby tego. Dwie malutkie lampki Umieszczone pod maską samochodu także nie dawały tak wiele światła, aby dostrzeżono je z daleka. Natomiast były wystarczająco silne, aby przy ich blasku zręczny fachowiec odpowiednio zmienił instalację elektryczną.

Kierowca Jan Kowalski oświadczył, że w tygodniu, jaki upłynął pomiędzy przeglądem samochodu a kradzieżą pieniędzy, raz otworzył maskę i sprawdził, czy nie ma wycieku oleju. Instalacją elektryczną wcale się nie interesował, bo działała bardzo dobrze.

Nadzieje majora Janusza Kaczanowskiego na szybkie

ustalenie grupki osób, wśród których należy szukać wspólnika bądź wspólników bandytów działających na autostradzie, od razu spaliły na panewce. W warunkach, jakie panowały na terenie Zakładów, tym wspólnikiem mógł być każdy zatrudniony na drugiej lub na trzeciej zmianie. Bagatela, przeszło tysiąc ludzi! Jak wśród nich znaleźć tego jedynego - właściwego?

Prowadzący śledztwo podjął jednak ten trud. Kilku ludzi majora pilnie studiowało wszystkie teczki personalne tych, którzy w krytycznym okresie, od pierwszego do szóstego września, pracowali na drugiej lub trzeciej zmianie. Właśnie ,bowiem trzydziestego pierwszego sierpnia fiat Kowalskiego wrócił z przeglądu technicznego. Wyłowiono kilkanaście osób, mających w przeszłości mniej lub bardziej poważne zatargi z prawem. Tę listę uzupełniali goście warszawskiej izby wytrzeźwień, bo i tacy się znaleźli. Znalazło się jeszcze kilku chuliganków nie cieszących się ani w fabryce, ani w Nadarzynie zbyt dobrą opinią. Doszło do tego także sporo obiboków i bumelantów oraz ludzi, którym z pensji potrącano różne długi lub alimenty. Pozostali to pracownicy Zakładów o kryształowej przeszłości.

Major zarządził dalszy wywiad o tych, których nawet trudno nazwać „podejrzanymi". Dyskretna obserwacja, badanie stosunków rodzinnych, materialnych i tak dalej. W gruncie rzeczy oficer milicji był jednak przekonany, że w tej grupce nie znajdzie poszukiwanego człowieka.

Dużą pomocą okazała się panna Elżbieta Jarot. Dziewczyna początkowo spodziewała się tylko flirtu z przystojnym przedstawicielem MO, później jednak serio potraktowała swoją rolę. A że znała na terenie Zakładów prawie wszystkich i miała wszędzie dostęp, na każde spotkanie z majorem przynosiła sporo wiadomości. Niestety, nie było w nich nic konkretnego.

Tymczasem dwaj fachowcy, funkcjonariusze MO, których pułkownik Niemiroch posłał do pracy w fabryce, prędko nawiązali znajomości, a nawet prawie przyjaźnie z nowymi kolegami. O kradzieży mówiło się tutaj ciągle bardzo wiele. Nawet zakładano się, czy milicji uda się odzyskać pieniądze i

ująć sprawców. Wysuwano najbardziej fantastyczne hipotezy. Ciekawe, że nikt jednak nie podejrzewał ani Jana Kowalskiego, ani Krystyny Paluchowej, ani Andrzeja Balickiego. Także uważano, że majster Walendziak i jego ludzie nie maczali w tym rąk.

Każda plotka, każda najbardziej bzdurna pogłoska czy przypuszczenie były przez majora i jego wspólników jak najstaranniej badane. Bez żadnego efektu.

Prokurator Boczkowski, który objął prowadzenie śledztwa, i pułkownik Niemiroch zżymali się, że wszystko idzie jak z kamienia. Jednakże przyznawali, że ani Kaczanowski, ani jego ludzie nie oszczędzali się. Pracowali, jeśli trzeba było, dzień i noc. Niestety, ciągle nie udawało się znaleźć tej nici przewodniej, która poprowadziłaby dochodzenie do zwycięskiego końca.

Jednocześnie nie ustawały poszukiwania wiśniowego fiata. Milicja drogowa w całym kraju obserwowała wozy tej marki i tej barwy. Na wszystkich giełdach samochodowych wywiadowcy milicyjni oglądali każdego sprzedawanego fiata. Dyskretnie badali, czy pojazd nie był przemalowany. Milicjanci mundurowi niedyskretnie, ale bardzo uważnie przeglądali dokumenty rejestracyjne, czy nie są sfałszowane. Na próżno. Wiśniowy fiat przepadł, jak gdyby rozpuścił się w wodzie lub uleciał w stratosferę.

Tymczasem dwudziestego pierwszego września, gdzieś około godziny jedenastej, w pokoju majora Kaczanowskiego odezwał się telefon. Dzwonił kapitan Zajączkowski ze służby ruchu. Uradowany i nawet podniecony powiedział tylko dwa słowa:

- Mamy go!
- Kogo? - Janusz początkowo nie zrozumiał, o co chodzi i kto do niego mówi.
- Tu Zajączkowski - kapitan zorientował się w nieporozumieniu. - Znaleźliśmy nareszcie tego waszego cholernego wiśniowego fiata.
- Gdzie?
- O dwieście metrów od naszej komendy. Na ulicy Nowolipki.

- Niemożliwe.
- Gorzej, bo to właściwie nie myśmy znaleźli tego grata.
- A kto?
- Pewien facet. Nazywa się Edmund Kobyłkiewicz.
- Ten przemysłowiec? - Kaczanowski nie byłby warszawiakiem, gdyby nie słyszał o Edmundzie Kobyłkiewiczu. Najbogatszym chyba przedstawicielu „prywatnej inicjatywy", właścicielu wytwórni jachtów i innych akcesoriów żeglarskich oraz wielbicielu pięknych kobiet i ładnych samochodów.
- Ten sam.
- Ale jak znalazł? Skąd w ogóle mógł wiedzieć, że poszukujemy wiśniowego fiata? Przecież żaden oficjalny komunikat w tej sprawie nie został wydany. Czyżby jakieś przecieki z wewnątrz? A poza tym sam nadmieniłeś, że samochód odnaleziono na Nowolipkach. O ile sobie przypominam, Kobyłkiewicz mieszka gdzie indziej.
- Niedaleko. Na Dzielnej.
- Teraz już nic nie rozumiem.
- Po co mam ci to opowiadać przez telefon. Właśnie mamy tu Kobyłkiewicza. Najlepiej będzie, jeśli skieruję go do ciebie i sami o tym porozmawiacie.
- A wóz?
- Nie bój się. Ściągnęliśmy go do naszych garaży i odpowiednio zabezpieczyli.
- Trzeba go dokładnie zbadać.

Kapitan roześmiał się.

- Ty, Januszku, uważasz, że my ze służby ruchu pierwszy dzień pracujemy w milicji i zupełnie nie wiemy, co robić w takim wypadku. Muszę cię uspokoić. Jutro od rana fachowcy wezmą się za ten wózek. Zresztą pobieżnie już go oglądali i niczego ciekawego nie wykryli. Dać ci Kobyłkiewicza?
- Dawaj. Przyjdę do ciebie, żeby nie błądził po całym gmachu.
- Nie fatyguj się. Odprowadzi go jeden z moich ludzi.

W kilka minut później do pokoju Kaczanowskiego wszedł wysoki mężczyzna o pięknych srebrnych włosach i ogorzałej od słońca twarzy. Przekroczył już sześćdziesiątkę, trzymał się jednak prosto i miał sprężyste ruchy. Biorąc pod uwagę wygląd

i te pieniądze, nic dziwnego, że nawet młode dziewczyny traciły głowę dla bogatego przemysłowca.

Major powitał gościa jak starego znajomego. Poznali się bowiem przed pięcioma laty na Targach Poznańskich, na których oficer milicji przebywał służbowo, zaś przemysłowiec wystawiał swoje jachty. A poza tym Kobyłkiewicz był osobą znaną w stolicy. Często widywano go w „Victorii", w „Bristolu" lub „Grand Hotelu", już nie mówiąc o kawiarniach. Wprawdzie w tych drogich lokalach major bywał raczej rzadko i raczej służbowo, ale trudno mu było nie zauważyć charakterystycznej sylwetki byłego olimpijczyka.

- Dzień dobry panu. Proszę, niech pan siada - oficer milicji wskazał przemysłowcowi krzesło i podsunął papierosy. - My się znamy, prawda?

- Z Targów Poznańskich - Kobyłkiewicz także miał dobrą pamięć.

- Już mi zakomunikował kolega, odnalazł pan poszukiwanego przez nas wiśniowego fiata - major od razu przystąpił do rzeczy.

- Okradli mnie, łobuzy - wybuchnął przemysłowiec -rąbnęli mojego taunusa. Prawie nowa maszyna. Warta na giełdzie co najmniej sześćset tysięcy złotych. Ostatni model.

- To chyba jakieś nieporozumienie - zdziwił się major -kapitan Zajączkowski poinformował mnie, że pan odnalazł poszukiwany przez nas skradziony samochód. Natomiast nic nie wspominał o tym, że to pański wóz został zabrany.

- Ten fiat rzeczywiście się znalazł. Pod moim pokrowcem.

- Jak to się stało?

Przemysłowiec głęboko zaciągnął się papierosem, nerwowym ruchem zgniótł go w popielniczce i zaczął:

- Widzę, że muszę opowiedzieć od początku. Jak pan sam wie, lato w tym roku było fatalne. Lało i lało. Zwykle zamykam swoją wytwórnię na lipiec. Wszystkim, a więc i sobie, daję urlopy. Pracuje u mnie dwudziestu dziewięciu ludzi. Sami najlepsi fachowcy - dodał z dumą. - Udzielanie im urlopów w różnych porach roku bardzo by mi komplikowało produkcję. Ale w tym roku tak lało i tak było zimno, że pracownicy

poprosili mnie o przeniesienie urlopów na wrzesień. Liczyli na lepszą pogodę w tym okresie. Chętnie się zgodziłem i pod koniec sierpnia zamknęliśmy budę. Słusznie jednak przewidywałem, że i we wrześniu pogoda będzie pod psem, więc wybrałem się z żoną na wyspy greckie.

- Dokąd?

- Na Rodos. Tam jest wprost wspaniale. Ciepło, znakomite hotele. Morze takie błękitne, a obsługa! Owoce, jakie tylko się zamarzy. Znakomicie przez te trzy tygodnie wypocząłem. Z całą życzliwością radzę majorowi spędzić tam najbliższy urlop.

Kaczanowski uśmiechnął się. Propozycja zabawna. Na Rodos za te sto trzydzieści dolarów, które można wykupić raz na trzy lata? Czy starczyłoby choćby tylko na podróż w obie strony?

- Naturalnie leciałem do Aten samolotem. Nie warto się tłuc autem. Za benzynę trzeba przecież płacić w dewizach, a za bilet lotniczy w złotówkach. Dlatego też postanowiłem przed wyjazdem zabezpieczyć samochód.

- Na strzeżonym parkingu? W garażu?

- Po co niepotrzebnie szastać pieniędzmi - zauważył Kobyłkiewicz - kiedy mieszka się w pobliżu Stołecznej Komendy MO. Nie mam garażu, bo i tak co dwa lata zmieniam auto. Garaż to marnotrawstwo. Po prostu zaparkowałem wóz na ulicy Nowolipki, tuż przy waszym gmachu. Nałożyłem na samochód pokrowiec i spokojnie pojechałem za granicę. Byłem pewien, że nikt mi wozu nie ruszy. Niestety, gorzko się przeliczyłem. To karygodne, żeby złodzieje mogli grasować pod bokiem milicji. Codziennie, co godzina chyba jeżdżą Nowolipkami milicyjne wozy i żaden się nie zainteresował, że przy moim samochodzie grzebią złodzieje. To skandal.

Oficera milicji bawił gniew i pretensje przemysłowca. Taki bogaty człowiek i żałował kilku setek na strzeżony parking. A może właśnie jest bogaty, bo umie robić tak małe oszczędności? Jednak zapytał grzecznie:

- Jak to się stało? Przecież pan nie mieszka na Nowolipkach?

- Mieszkam na Dzielnej, ale samochód zostawiłem na Nowolipkach, żeby był bliżej Was. Myślałem, że zwracacie

uwagę przynajmniej na to, co się dzieje na najbliższej wam ulicy.

- A skąd milicja miała wiedzieć, że człowiek, który zdejmuje pokrowiec i uruchamia wóz, nie jest jego właścicielem? Gdybyśmy legitymowali wszystkich wsiadających do samochodów, musielibyśmy zatrudniać co najmniej pól miliona milicjantów.

- Mój taunus jest chyba dostatecznie znany w Warszawie. Nie ma takiego drugiego wozu w całej Polsce.

Major doszedł do przekonania, że nie miałoby sensu dalsze prowadzenie sporu na ten temat. Zapytał więc spokojnie i rzeczowo:

- Kiedy zauważył pan kradzież?

- Przed godziną.

- Pan dzisiaj wrócił do kraju?

- Nie. Już przed czterema dniami. Ale nie potrzebowałem samochodu. Mamy przecież takie dobre połączenia autobusowe i tramwajowe, że marnotrawstwem jest jeżdżenie samochodem po ulicach Warszawy. Widziałem, że samochód stoi przykryty pokrowcem w miejscu, gdzie go zostawiłem. Dopiero dzisiaj podszedłem do wozu. Kiedy zacząłem zdejmować brezent, sądziłem, że mi się w oczach mieni. Zamiast białego koloru widzę ciemnoczerwony dach. Kiedy już ściągnąłem cały pokrowiec, jeszcze nie wierzyłem własnym oczom. Gdzieś się podział mój biały taunus albo po prostu zamienił się w wiśniowego fiata, numer WW 28-47. Bez tchu pobiegłem na milicję. A d panowie zamiast się martwić i szukać mojego auta, strasznie się ucieszyli.

- Czy wóz był otwarty? - Kaczanowski z trudem stłumił śmiech. Bawił go zarówno pomysł złodziei, jak też i zachowanie się przemysłowca.

- Tak. Drzwiczki nie były zamknięte, a kluczyki tkwiły w stacyjce.

- Jakie zabezpieczenie miał pański taunus?

- Normalne. Kluczyki do drzwi i do stacyjki oraz blokadę kierownicy.

- Jak się pan sam przekonał, fachowy złodziej potrafi

uporać się z takimi przeszkodami. Pewnie pan nie zamknął całkowicie szyb?

- Tak. Zostawiłem małe szparki dla przewiewu.
- Złodziej skorzystał z tego i za pomocą pętli z drutu wyciągnął do góry kołeczek blokujący zamek drzwi. A może zbił szybę lub wypchnął wywietrznik? Kiedy już się dostał do środka, połączył przewody poza stacyjką, a blokadę kierownicy po prostu rozmontował lub wyłamał. Zostawienie w tym miejscu innego auta pod pańskim pokrowcem było dobrym sposobem ukrycia kradzieży. Nawet pan, właściciel wozu, tego od razu nie spostrzegł.
- Synowa przyjeżdżała co parę dni podlewać kwiaty w naszym mieszkaniu. Także przechodziła koło tego samochodu - przyznał Kobyłkiewicz - i nic nie zauważyła.
- Trzeba było jej zostawić auto i kluczyki. Może by nie doszło do kradzieży?
- Takiego samochodu nie zostawia się nawet synowi. Zresztą po co? Oni mają swojego malucha.
- Czy pan kogoś specjalnie podejrzewa?
- Nikogo. Musicie ten wóz jak najprędzej znaleźć -Kobyłkiewicz znowu się zdenerwował — dopóki go nie przemalują albo nie sprzedadzą na części.
- Na pewno znajdziemy. Najdalej za parę dni - trochę na wyrost obiecał major - będziemy go szukać w całym kraju. Może pan być spokojny.
- Łatwo panu mówić „spokojny". Samochód za sześćset tysięcy złotych.
- Czy kapitan Zajączkowski wziął od pana wszystkie dane skradzionego wozu?
- Tak. Poza tym zostawiłem kolorową fotografię auta.
- To doskonale. Niech pan spokojnie czeka. Na pewno samochód znajdziemy w krótkim czasie.
- Oby tak było - Kobyłkiewicz pożegnał się i wyszedł.

Kaczanowski wyjął z szuflady magnetofon, na którym dyskretnie nagrał całą rozmowę, i poszedł z nim do zwierzchnika. Pułkownik Niemiroch także nie bardzo zmartwił się stratą fabrykanta, natomiast wyraźnie ucieszył się

odnalezieniem wiśniowego fiata.

- Wprawdzie to nie nasza zasługa - stwierdził - ale może nareszcie śledztwo ruszy z miejsca.

- Wątpię - tym razem major był pesymistą - z przebiegu wydarzeń wyraźnie widać, że mamy do czynienia z wyjątkowo sprytnymi łajdakami. Nie pozbawionymi także swoistego poczucia humoru. Najlepszy dowód, że poszukiwane przez milicję całego kraju auto schowali pod naszym bokiem. I to w jak przemyślny sposób. Oni nie popełnią tak naiwnego błędu, aby w tym samochodzie zostawić odciski swoich palców, jakiś inny ślad lub mikroślad.

- Jednak nawet teraz udzielili nam pewnej dość ważnej informacji.

- Myślisz o Kobyłkiewiczu?

- Tak - przyznał pułkownik - złodzieje, a przynajmniej jeden z nich, dobrze znają Kobyłkiewicza i jego zwyczaje. A także ten samochód i pokrowiec. Skąd inaczej wiedzieliby, że to wózek naszego przemysłowca?

- Mogli się tym w ogóle nie interesować.

- Co masz na myśli?

- W ich planach leżało, aby jak najdłużej ukryć przed nami wiśniowego fiata. Zauważyli, że na Nowolipkach stoi jakiś samochód w pokrowcu. Po warstwie kurzu na brezencie łatwo się domyślić, że auto nie jest używane. Przypuszczam, że tych spostrzeżeń dokonali jeszcze przed kradzieżą pieniędzy. Z autostrady pod Nadarzynem przestępcy przyjechali prosto tutaj, zdjęli pokrowiec, zauważyli, że w środku znajduje się piękny taunus. Być może to ich zaskoczyło? Nie szukali takiego luksusowego wozu, trudniejszego do uruchomienia. Ale jakoś sobie z tym poradzili. A fiat spokojnie pozostał pod pokrowcem. Tuż przy naszym gmachu. Wiadomo, pod lampą zawsze jest najciemniej.

- A co zrobili z taunusem?

- A co zrobili? Gdzieś podrzucili. Nie kradli go, aby jeździć nim lub go sprzedać. Po co? Ludzie mający w rękach przeszło siedem milionów złotych nie muszą ryzykować robieniem małych kantów.

- Nie takich znowu małych. Sześćset tysięcy to nie w kij dmuchał.

- Dla innych. Nie dla nich. Nie zapominaj o proporcjach. Dla każdego z nas duży kant. Dla właścicieli siedmiu milionów zaledwie kancik, a jeszcze pozostawienie śladu.

- Masz rację.

- Samochód znajdziemy bez trudu. Pewnie stoi gdzieś na parkingu. I to w Warszawie, bo nie przypuszczam, aby chcieli się narażać na dodatkowe niebezpieczeństwo.

- Mogli z dużo mniejszym ryzykiem znaleźć jakiś inny wóz stojący pod pokrowcem.

- Oczywiście, że mogli. Ale pozostawienie wiśniowego fiata prawie naprzeciwko Pałacu Mostowskich jest właśnie swoistym przejawem humoru tych złodziei.

- Dam ja im humor! - odgrażał się pułkownik. - Czy wydałeś już dyspozycje, aby dokładnie przeszukano odnaleziony wóz?

- Nie wydawałem, bo kapitan Zajączkowski ze służby ruchu zawiadomił mnie, iż sami zajmą się tą sprawą. Jutro dokonają ekspertyzy.

- Bądź przy tym obecny. Niech zwrócą uwagę na mikroślady.

- Dobrze - major stwierdził, że teraz jego potraktowano w identyczny sposób, jak on to uczynił z młodszyi kolegą, kapitanem Zajączkowskim. Przecież i bez tego polecenia od rana tkwiłby przy odzyskanym wiśniowym fiacie.

- Trzeba jednak zająć się bliżej otoczeniem Kobyłkiewicza. Przede wszystkim, kto u niego pracuje? Lub pracował do niedawna? Nie można wykluczyć, że przestępcy znali zwyczaje fabrykanta i wiedzieli, z czyjego pokrowca korzystają.

- Rozumiem - zgodził się major - w tej sprawie nie można zaniedbać najmniejszego drobiazgu. Zaraz wydam odpowiednie polecenie. Sprawa mi się rozrasta gigantycznie, a jeszcze właściwie nie ruszyliśmy jej z miejsca.

- Może ten samochód... - pułkownik nie tracił nadziei.

Rozdział szósty
Nareszcie pierwszy podejrzany

Tym razem major Janusz Kaczanowski miał rację. Nadzieje pułkownika Niemirocha okazały się złudne. Badanie samochodu nie pozwoliło rozwiązać zagadki zuchwałego zagarnięcia przeszło siedmiu milionów złotych. Na próżno najlepsi specjaliści biedzili się nad ekspertyzą odnalezionego fiata. Cały silnik był dokładnie wymyty naftą. Jej zapach jeszcze się zachował, pomimo że auto stało przeszło dwa tygodnie pod pokrowcem. Tym samym płynem umyto kierownicę, deskę rozdzielczą, pedały i siedzenia.

Nafta zmyła wszelkie ewentualne ślady odcisków palców i usunęła mikroślady. Z największym też wysiłkiem udało się zabezpieczyć znalezione odrobiny pyłu na oparciu siedzenia kierowcy. Niestety, z tej odrobiny Zakładowi Kryminalistyki udało się jedynie ustalić, że materiał, z którego ten pyłek pochodził, był koloru stalowego, takiego samego jak mundurowe marynarki milicjantów. Czy był to identyczny gatunek sukna, tego już nie potwierdzono. A więc nawet zagadka - prawdziwy czy fałszywy milicjant - nadal pozostała tajemnicą.

Natomiast fachowcy bez trudu przekonali się, że ich hipotezy o przerobieniu instalacji elektrycznej były słuszne. Wprawdzie instalacja ta została przez przestępców przywrócona do pierwotnego stanu, ale pozostały wyraźne ślady majstrowania przy rozruszniku. Zaś pod deską rozdzielczą, na prawo od stacyjki mieszczącej się, jak wiadomo, w osłonie kierownicy, odnaleziono dwa maleńkie otworki. Były one założone czarną szpachlówką i prawie niewidoczne, ale dokładne oględziny wozu rychło zdemaskowały ten kamuflaż. Nie ulegało dla fachowców żadnej wątpliwości, że w tym dyskretnym miejscu umocowany był wyłącznik przerywający prąd płynący z akumulatora do rozrusznika.

Przestępca, siedzący za kierownicą i manipulując kluczykiem od stacyjki, jednocześnie innymi palcami nacisnął guziczek wyłącznika. Silnik nie mógł zaskoczyć. Kiedy zaś

trzech mężczyzn pchało samochód pod górę, drugi ruch ręki przywracał dopływ prądu. Pomysł prosty, mało skomplikowany przy wykonaniu. Kabelek i wyłącznik można było przygotować odpowiednio wcześniej i następnie, przy nadarzającej się okazji dojścia do samochodu, całą instalację szybko zamontować.

Eksperci ze stoperem w ręku wyliczyli, że manipulacje te zajmowały zaledwie siedem do dwunastu minut. Przy pewnych ćwiczeniach, a niewątpliwie przestępcy takie próby musieli przeprowadzać, czas ten dawał się zredukować do pięciu minut.

Nie stanowiło więc specjalnego problemu dla złodzieja zakradnięcie się wieczorem lub w nocy pod wiatę. Kilkuminutowej operacji pod maską nikt nie zauważył.

Po oględzinach samochód zwrócono Zakładom Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Kierowca Jan Kowalski z tryumfem odwiózł go na miejsce. Dla niego był to rzeczywiście sukces. Odzyskał swój warsztat pracy i nie musiał odrabiać godzin przy naprawie innych wozów. Natomiast major Kaczanowski odnotował swoją kolejną porażkę.

Znowu upłynęło przeszło dwa. tygodnie. „Wtyczki" w Zakładach Aparatury Precyzyjnej pracowały tam nadal. Ci ludzie zadomowili się w fabryce i chyba nic tam się nie działo, o czym by oni nie wiedzieli. Flirt z przystojną Elą Jarot był coraz bardziej przyjemny, ale i dziewczyna pomimo najlepszych chęci nie wniosła niczego nowego do sprawy.

Prokurator zawiedziony ślamazarnym posuwaniem się Śledztwa zaprzestał codziennego telefonowania do Pałacu Mostowskich, aby się dowiedzieć, czy nie zaszło coś nowego. Pułkownik Niemiroch milczał, ale z wyrzutem patrzył na przyjaciela. Major sam dobrze wiedział, że nie ma się czym chwalić. ,Pomimo ogromnych wysiłków i zaangażowania ludzi sprawa nie ruszyła nawet o krok.

Jednakże pewnego październikowego dnia w Pałacu Mostowskich zjawił się starszy sierżant Stanisław Jastrzębski, jeden z dwóch ludzi oddelegowanych przez MO do pracy w Zakładach. Wywiadowca nie mógł opanować podniecenia. Rzeczywiście przyniósł „bombę".

Każdy, kto jeździ szosą z Pruszkowa do Żyrardowa, tuż przy wjeździe do tego drugiego miasta napotyka dużą tablicę. „Naprawy samochodów. Blacharstwo". Pod tym napisem jest strzałka wskazująca w prawo i objaśnienie, że warsztat znajduje się pięćset metrów dalej. Ci zaś, którzy kiedykolwiek skorzystali z pomocy tego warsztatu, wiedzą, że jego właścicielem jest stary, doświadczony mechanik samochodowy, pan January Godlewski. Zatrudniał on jednego pomocnika i dwóch uczniów. A że roboty wykonywane były solidnie i względnie tanio, Godlewski nie mógł się skarżyć na brak zajęcia. Wśród samochodów remontowanych w tej placówce nie brakowało także należących do pracowników fabryki w Nadarzynie.

January Godlewski już od paru lat narzekał, że ze zdrowiem nietęgo. Dokucza mu noga, w czasie wojny przestrzelona hitlerowską kulą, gnębił także reumatyzm. A i z sercem nie to, co dawniej. Wspominał, że chyba przyjdzie mu zlikwidować warsztat i przejść na zasłużoną emeryturę.

I oto rozmawiając z jednym z pracowników Zakładów Aparatury Precyzyjnej, wywiadowca Jastrzębski usłyszał ciekawą nowinę. Godlewski sprzedaje swój warsztat. Znalazł dobrego kupca. Dostaje sześćset tysięcy złotych. W zamian za oddanie placówki w pełnym ruchu. Nabywca będzie płacił staremu mechanikowi dodatkowo za to, że ten jeszcze jakiś czas popracuje na dawnym miejscu, aby przejście warsztatu w nowe ręce nie odstraszyło stałej klienteli.

Tym nowym nabywcą jest pracownik Zakładów, Marcin Lisek.

Jastrzębski od razu przeprowadził dyskretny wywiad o panu Lisku. Jest to młody człowiek, liczący sobie zaledwie dwadzieścia pięć lat. Lisek jest dobrym specjalistą, mechanikiem samochodowym. Pracuje w fabrycznym warsztacie remontowym przeszło trzy lata. Przed tym skończył „samochodówkę" w Łodzi, a w czasie służby wojskowej także był zatrudniony w swoim fachu. Nie ma zatem obawy, aby przejmowana przez niego placówka obniżyła standard swoich usług.

Skąd natomiast młody mechanik wziął ogromną, jak na jego możliwości zarobkowe, kwotę sześciuset tysięcy złotych?

Major Kaczanowski zainteresował się tą nowiną. Pasowała ona idealnie do hipotezy, że trzeci wspólnik złodziei jest także młodym mężczyzną. Potwierdzała przypuszczenia, że ludzie mający w swoich rękach przeszło siedem milionów złotych zaczną te pieniądze wydawać. Żeby zaspokoić swoje zachcianki lub żeby zapewnić sobie spokojną przyszłość. A własny warsztat samochodowy to zupełnie przyzwoite zapewnienie tej przyszłości. Zwłaszcza jeżeli ma się ze dwa miliony złotych w zanadrzu.

Marcin Lisek był mechanikiem samochodowym, zatrudnionym właśnie w warsztacie naprawczym. Mógł znaleźć czas i okazję, aby pracując w godzinach nadliczbowych „poprawić" wiśniowego fiata. Nie po raz pierwszy okazało się, że powiedzenie „ręczę głową za uczciwość moich ludzi" jest tylko pustym dźwiękiem, bo tak naprawdę nikt nie zna drugiego człowieka. A czy nawet zna samego siebie? Czy może przewidzieć, jak zareaguje na różne pokusy? Wielki pieniądz to ogromna pokusa. Na próżno więc majster Walendziak zapewniał majora, że żaden z jego ludzi nie miał do czynienia z kradzieżą.

Major postanowił działać bardzo ostrożnie, aby nie spłoszyć przestępcy. Ten człowiek, zaalarmowany przed zawarciem .transakcji i położeniem gotówki na stół, mógłby się wszystkiego wyprzeć. Oświadczyłby po prostu, że zrobił ze starego Godlewskiego „balona" albo że znając cenę sprzedaży warsztatu w Żyrardowie, chciał sam znaleźć kupca i zarobić na pośrednictwie.

Pojawienie się oficera milicji w Nadarzynie i jego wizyta w wydziale personalnym nie mogłaby ujść uwagi. W Zakładach aż się roiło od plotek na temat kradzieży i postępów śledztwa. Dlatego też oficer milicji postanowił uciec się do pomocy Elżbiety Jarot. Ku zdziwieniu majora dziewczyna zapytana o Marcina Liska od razu odpowiedziała:

- To ten, co kupił warsztat samochodowy w Żyrardowie. Odchodzi od nas. Już złożył wymówienie.

- Słyszałaś o tym?

- Cała fabryka o tym mówi. Udało się chłopakowi. Sześćset tysięcy za taki punkt i za już dobrze prosperujące przedsiębiorstwo to przecież prawie darmo. Teraz chodzi po fabryce i wszystkich właścicieli samochodów zawiadamia o tym, że przejmuje warsztat Godlewskiego i żeby z naprawami swoich wozów zwracali się do niego. Z Nadarzyna do Żyrardowa niedaleko.

- A skąd wziął sześćset tysięcy złotych na kupno warsztatu? O tym nie mówił?

Panna Ela roześmiała się.

- Nie mówił. Podejrzewasz go, Januszku?

- Ja wszystkich podejrzewam.

- Mnie także?

- No, może dla ciebie zrobię mały wyjątek. Co jeszcze słyszałaś o tym Lisku?

- Nic. Znam go bardzo mało. Pracuję w zaopatrzeniu i kierownik warsztatu, pan Walendziak, często składa zapotrzebowanie na części. Parę razy jeździłam z Liskiem do hurtowni po odbiór jakichś detali samochodowych. Wydawał mi się sympatycznym, zaradnym chłopakiem.

Dokładniejszych informacji major postanowił szukać w Żyrardowie, w tamtejszej komendzie MO. Tam naturalnie Januarego Godlewskiego dobrze znano. Miano o nim doskonałą opinię. Wiedziano także, że sprzedał swój warsztat. Nowy nabywca już załatwia niezbędne formalności i od pierwszego listopada oficjalnie przejmuje tę placówkę. W Żyrardowie nie robiono mu żadnych trudności. Wykształcenie odpowiednie, warsztat jest bardzo potrzebny, więc wszystko w porządku. Dalsza praca dawnego właściciela dawała gwarancję solidności usług.

Co do ceny nabycia, sześciuset tysięcy złotych, to tutaj uważano ją za niezbyt wysoką, ale i nie za specjalnie zaniżoną. Zdawano sobie sprawę, że taka sama placówka w stolicy byłaby znacznie więcej warta.

Milicja w Nadarzynie miała dość skąpe wiadomości o Marcinie Lisku. Wiedziano tylko, że mieszka wraz z żoną w

pobliskiej osadzie Siestrzeniu u swoich rodziców, którzy tam mają gospodarstwo rolne. Żona nie pracuje, zajmuje się wychowywaniem dwuletniego synka i pomaga w gospodarstwie teściów. Sama zresztą pochodzi także z rodziny chłopskiej gdzieś spod Grójca.

Po naradzie z pułkownikiem Niemirochem i prokuratorem major Kaczanowski postanowił przesłuchać Marcina Liska. Oficer milicji miał wielką ochotę na przeszukanie domu podejrzanego, ale na to prokurator stanowczo się nie zgodził.

- Gdyby ten człowiek mieszkał w mieście, choćby nawet w Nadarzynie - rozumował przedstawiciel prokuratury - nie miałbym nic przeciwko temu. Ale major wie, co to znaczy wizyta milicji i rewizja w małym osiedlu. A takim jest Siestrzeń. Z całej rodziny Lisków wiejska plotka zrobiłaby złodziei i bandytów. A przecież o Marcinie Lisku za trudno w tej chwili mówić, że jest podejrzany. Po prostu musimy sprawdzić jego osobę. Konkretnych zarzutów nie mamy.

- Sześćset tysięcy w rękach takiego młodego człowieka to nie dowód?

- To zaledwie poszlaka, i to słaba poszlaka - prokurator Boczkowski bronił swojego stanowiska - być może w toku dalszego śledztwa te poszlaki umocnią się. Ale także mogą i rozwiać się jak dym z mojego papierosa. Proszę bardzo, niech major go przesłucha, jeśli będzie trzeba, to przytrzyma się go przez czterdzieści osiem godzin. Ale proszę to zrobić jak najdyskretniej, aby nie rzucić podejrzenia na całą rodzinę Lisków. A potem zdecydujemy o planie działania.

Idąc za radą prokuratora, Kaczanowski porozumiał się z milicją w Żyrardowie. Pod pozorem załatwienia jakichś formalności z przejęciem warsztatu wezwano młodego człowieka na komendę MO. Tam już czekał na niego oficer. Marcin Lisek obrzucił ciekawym spojrzeniem Kaczanowskiego.

- Ja pana majora gdzieś widziałem? Już wiem, pan był u nas w fabryce w związku z tą kradzieżą.

- Byłem. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

- Pan major... Chcecie mnie wrobić? - młody człowiek zrozumiał cel wezwania go na milicję.

- Nikogo nie chcemy „wrabiać" - stanowczo odpowiedział oficer - poszukujemy przestępców i w związku z tym mam do pana kilka pytań.

- Słucham - Liska nie opuszczał spokój.

- Instalacja elektryczna fabrycznego fiata - wyjaśniał major - została przerobiona. Pod deską rozdzielczą umieszczono kontakt, który wyłączał dopływ prądu do rozrusznika.

- Rozumiem - odpowiedział mechanik - takie ukryte wyłączniki często się instaluje. Zwykle chodzi o wyłączenie przepływu prądu pomiędzy cewką a aparatem zapłonowym. Ale można i przy rozruszniku.

- Samochód Kowalskiego mógł być przerobiony tylko na terenie fabryki. W nocy stał albo w warsztacie, albo pod wiatą. Najłatwiejszy dostęp do tego samochodu mieli pracownicy warsztatu. W okresie kiedy dokonano tej przeróbki, wyście pracowali do późna w nocy.

- Remontowaliśmy dwa żubry - przyznał Lisek - ale ja samochodu Kowalskiego nie dotykałem.

- A kto?

- Nie wiem! Mało to ludzi pracuje na drugiej zmianie? Myśmy kończyli pracę zwykle około dziewiątej czy dziesiątej wieczorem. W tym czasie na pewno nikt do fiata nie podszedł, bo w warsztacie drzwi były otwarte i można

byłoby zauważyć, że ktoś grzebie w tym aucie. Ale później? Długo to trwa założenie takiego wyłącznika? Najwyżej dziesięć minut, jeżeli ma się wszystko przygotowane.

- Trzeba mieć narzędzia i materiał. A te są w warsztacie.

- Kawałek kabelka, wyłącznik i mała wiertareczka -roześmiał się Lisek - to można kupić na Marszałkowskiej, w pawilonach. Potem zaczaić się w nocy i zainstalować. Wielka mi sztuka!

- Właśnie komuś zatrudnionemu w warsztacie najłatwiej byłoby to zrobić. Nawet gdyby go zauważono, myślano by, że przeprowadza jakąś drobną naprawę.

- Panie majorze, proszę sprawdzić. Wchodząc i wychodząc z fabryki odbijamy karty. Nigdy nie wychodziłem później niż inni koledzy z warsztatu.

To był poważny argument. Znany zresztą oficerowi. Już przedtem, kiedy kierownik warsztatu zaręczał niewinność swoich pracowników, te karty bardzo szczegółowo sprawdzano. Rzeczywiście wszyscy mechanicy samochodowi wychodzili z pracy w jednej grupie.

- Pan kupił warsztat Januarego Godlewskiego?
- Kupiłem.
- Za sześćset tysięcy złotych?

Marcin Lisek roześmiał się.

- Pan major myśli, że to z tamtych pieniędzy? Rąbniętych na szosie?
- Skąd mieliście pieniądze na tę transakcję?

Młody człowiek sięgnął do kieszeni i wyjął książeczkę oszczędności.

- Proszę popatrzeć. Tu przez przeszło trzy lata są wpisywane moje wpłaty. A potem jednego dnia podjąłem dwieście tysięcy złotych.
- A reszta?
- Pan major wie. Moi rodzice mają gospodarkę w Siestrzeniu. Ja tam u nich mieszkam. Wiadomo, za utrzymanie

i życie nie płacę. Tyle co z żoną odrobimy na polu czy w obejściu. Dobrze zarabiając w Zakładach, mogłem przez cztery lata odłożyć na książeczkę więcej niż dwieście tysięcy. U nas w rodzinie ojciec już dawno postanowił, że na gospodarce zostanie najmłodszy syn. Teraz jest w szkole rolniczej. Inne dzieci dostaną fach i spłatę na urządzenie się. Dwie siostry wyszły za mąż. Ojciec kupił im mieszkania i umeblował. Do ręki także trochę grosza dostały. January Godlewski jest moim krewnym i chrzestnym ojcem. Sprzedaje mi warsztat za sześćset tysięcy, ale gotówką zgodził się wziąć czterysta. Dwieście moje, a dwieście dołożył ojciec. Nawet pożyczał u sąsiadów. To łatwo sprawdzić. Te brakujące dwie setki dołoży mój teść. On także ma gospodarkę i mojej żonie należy się spłata. Ale teraz nie mógł dać, bo wykańcza dużą chlewnię. Za rok będzie mu już lżej i Godlewski zgodził się poczekać. Przy warsztacie jest małe mieszkanko. Tam się z żoną i dzieckiem przeprowadzimy od moich rodziców. Później na tyłach placu

planuję pobudować własny dom, bo miejsca jest dosyć. My z żoną chłopskie dzieci, roboty się nie boimy.

January Godlewski potwierdził te zeznania. Także paru mieszkańców Siestrzenia przyznało, że pożyczali pieniądze Wincentemu Liskowi, ojcu Marcina. Właśnie na spłatę.

Cały gmach nadziei Janusza Kaczanowskiego znowu runął jak domek z kart. Chcąc nie chcąc, trzeba było uznać niewinność młodego człowieka, który zresztą swoim zachowaniem się w czasie składania zeznań zdobył pełną sympatię oficera milicji.

W tych dniach wyjaśniła się także sprawa skradzionego białego taunusa. I znowu to nie milicja odszukała samochód przemysłowca Edmunda Kobyłkiewicza. Właśnie do milicji, do służby ruchu, zgłosił się kierownik garaży przy hotelu „Forum". Podając numer samochodu, prosił oficera milicji o odszukanie nazwiska i adresu właściciela tego wozu. Jak bowiem wyjaśnił, przed przeszło miesiącem zaparkowano tam białego taunusa. Nawet nie zamknięto na kluczyk drzwiczek wozu. Od tego czasu samochód stoi w garażu i nikt się nie zgłasza, aby go zabrać lub choćby uregulować należne opłaty.

Naturalnie te słowa zelektryzowały funkcjonariuszy milicji. Pan Kobyłkiewicz był przecież prawie codziennym ich gościem i bynajmniej nie krył, co sądzi o pracy służby ruchu, która nie potrafi znaleźć tak znacznego i tak -przemysłowiec nie omieszkał tego zawsze podkreślać - drogiego samochodu.

Ekipa milicji natychmiast pojechała do garażu „Forum". Samochód zgodnie ze wskazówkami kierownika znajdował się na piątym piętrze gmachu, w samym rogu. Drzwi samochodu były rzeczywiście nie zabezpieczone. Poza tym samochód nie wykazywał żadnych uszkodzeń ani żadnych przeróbek. Widocznie złodzieje zadbali o to, aby i tutaj nie zostawić żadnych śladów i przywrócić stan, w jakim auto znaleźli pod pokrowcem na ulicy Nowolipki.

Cały wóz był dokładnie umyty naftą. Nie można więc było ustalić jakichkolwiek śladów czy nawet mikrośladów.

Edmund Kobyłkiewicz bardzo się ucieszył wiadomością, że samochód został odnaleziony. Natomiast ze znacznie

mniejszym entuzjazmem przyjął nowinę, iż musi uregulować należność za przechowywanie auta w garażu. A wyniosło to dość znaczną sumę, prawie dwa tysiące złotych. Przemysłowiec usiłował dowodzić, że tą kwotą należy obciążyć milicję, bo tak długo nie potrafiła odnaleźć zguby. W końcu z dość kwaśną miną położył gotówkę na stole i pojechał taunusem do swojej fabryki.

Tak więc incydent ze skradzionymi samochodami został rozwiązany. Oba wozy wróciły do właścicieli. Ale śledztwo nie posunęło się naprzód.

Rozdział siódmy
Nowym tropem

Major Kaczanowski nie miał czasu martwić się nową porażką. Dotychczasowe niepowodzenia nie osłabiły jego energii. Z jeszcze większą pasją zajął się wiązaniem nowych nici śledztwa. Tym razem nieocenioną pomoc okazała panna Elżbieta Jarot. Kiedy znowu pewnego dnia zjawiła się w kawalerce oficera milicji, dużo opowiadała o tym, jakim sposobem udało się jej wcześniej przyjechać do Warszawy.

- Wiesz, mamy bardzo sympatycznego gońca. Pawła Wyganowskiego. On mnie lubi.

- Pewnie z nim flirtujesz?

- Ale skądże? Chłopak ma dopiero osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Na wiosnę zrobił maturę w szkole dla dorosłych, bo normalną naukę musiał przerwać po śmierci ojca. Mnie na pewno uważa za staruszkę. Ale parę razy wyrządziłam mu małe grzeczności i tym zdobyłam jego sympatię. Dzisiaj także, kiedy go spotkałam na korytarzu, powiedział, że jeden z brygadzistów, Marian Celka, jedzie zaraz po pracy do Warszawy, bo wypisuje ze szpitala żonę. Mogłabym się z nim zabrać zamiast czekać na fabryczny autobus.

Kaczanowski słuchał paplania miłej dziewczyny bez większego entuzjazmu, jednak dla przyzwoitości zapytał:

- Przecież pracujesz do czwartej, a robotnicy z pierwszej zmiany kończą robotę o drugiej.

- Mam trochę godzin w zapasie. Przy inwentaryzacji pracowaliśmy często do wieczora i jeżeli nie ma nic pilnego, to sobie teraz odbieramy. Kierownik zgodził się i dzięki temu już wpół do trzeciej byłam w domu. Celka był tak uprzejmy, że odwiózł mnie aż pod bramę.

- Ładny ma samochód? Syrenkę czy „malucha”?

- Nie. Jechaliśmy naszym fabrycznym fiatem.

Majora nagle zainteresowały słowa dziewczyny.

- Tym wiśniowym?

- Tak. Celka otrzymał pozwolenie od samego naczelnego.

- Kowalski prowadził wóz?

- Miał prowadzić Kowalski, ale trafiła mu się jakaś robótka i dał Celce kluczyki i papiery wozu. On bardzo dobrze jeździ. Miał, jak mówił, własnego wartburga. Sprzedał go niedawno i teraz rozgląda się za czymś innym. Ale, naturalnie, wobec choroby żony zamiary zeszły na dalszy plan. Wiadomo, chociaż szpital bezpłatny, choroba zawsze kosztuje.

- Długo chorowała? Mówił ci coś na ten temat?

- Oczywiście. Ludzie lubią opowiadać o swoich zmartwieniach. Żona Celki choruje już drugi rok. Parę razy była w szpitalu. Wspominał, że jakieś komplikacje poporodowe. Początkowo podejrzewano nowotwór. W końcu lekarze zdecydowali się na operację. Wszystko się udało i właśnie dzisiaj brygadzista zabierał chorą z kliniki.

- Nie mówił z której?

- Tej na Karowej.

- Żonę także odwoził samochodem?

- Tego nie wiem.

- A kiedy ją zabrano na Karową?

- O ile sobie przypominam, Celka wspominał coś o pierwszym września. Ale nie jestem pewna.

Major sięgnął po słuchawkę telefonu. Nakręcił numer szpitala i poprosił o połączenie z rejestracją.

- Mówi komenda stołeczna MO. Moje nazwisko: major Janusz Kaczanowski. Proszę o sprawdzenie, jak długo

przebywała u was w klinice obywatelka Celka. Zamieszkała w Nadarzynie. Imienia nie znam. Ale nazwisko niezbyt popularne. Dzisiaj ją zresztą wypisano... Powiada pani, że od drugiego września? Bardzo pani dziękuję. Janusz położył słuchawkę.

Dziewczyna wpatrywała się w swojego najdroższego szeroko otwartymi oczyma.

- Po co ci ta wiadomość?

- Może się przydać. - Oficer lekko przyciągnął do siebie Elę i pocałował. - Pamiętaj, ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Zaraz na drugi dzień Kaczanowski poinformował o swoim odkryciu pułkownika Niemirocha.

- Jeżeli Kowalski „pożyczał" służbowy wóz Marianowi Celce - dowodził - to wszystko wskazuje na to, że mógł powierzać samochód i innym swoim kumplom. Któryś z nich bez trudu dokonał tych poprawek w instalacji elektrycznej. Mógł to być i sam Celka. Jego żona przebywała w szpitalu na Karowej od drugiego września. A więc w tym dniu tam ją przywieziono. Być może znowu wiśniowym fiatem i bez asysty Kowalskiego.

- Dziwne, że kierowca nie wspomniał ani słowem o tej sprawie - zauważył pułkownik - chyba przesłuchiwałeś go dokładnie.

- Kowalski szczegółowo wyspowiadał mi się, co robił w ciągu tych dni od wyjścia fiata z naprawy aż do momentu zawładnięcia nim przez przestępców na autostradzie. Ale ani jednym słówkiem nie wspomniał o tym, że dał wóz trzeciej osobie.

- Mógł go nie dawać nikomu więcej niż Celce.

- Albo ukrył ten fakt, bo jest w zmowie z przestępcą?

- To może zbyt pochopny wniosek - pułkownik był ostrożny - należy jednak dokładnie sprawdzić.

- Dam ja temu Kowalskiemu! - odgrażał się major. -Niech tylko spróbuje coś kręcić. Zamknę go z miejsca i poproszę prokuratora o sankcje na przetrzymanie go tak długo, aż zupełnie skruszeje.

- Postraszyć go możesz - zgodził się pułkownik - ale żeby prokurator Boczkowski dał sankcję na areszt przy tak wątłych

poszlakach, bardzo wątpię. Już prędzej zgodziłby się na zamknięcie Mariana Celki, gdyby podejrzenia w tym kierunku potwierdziły się w dalszym śledztwie.

Wezwany do Pałacu Mostowskich, Jan Kowalski nie próbował kłamać czy zaprzeczać. Przeciwnie, od razu przyznał się, że w dniu drugiego września dał klucze wozu brygadziście, gdyż on odwoził chorą do szpitala.

- Ale - bronił się kierowca - Celka miał pozwolenie samego naczelnego dyrektora.

- Na to, żeby jechać wozem fabrycznym. Przecież macie drugiego fiata bez kierowcy. Dlaczego dyrektor nie dał mu tamtego wozu?

- Tamtym samochodem najczęściej jeździ nasz główny mechanik. Jeszcze się nie dorobił swojego, a za to bardzo przyzwyczaił do naszego. Dlatego dyrektor Nadolny kazał wziąć mój wóz.

- Czy dyrektor wydał polecenie, że macie oddać Celce kluczyki wozu, a sami zostać w Nadarzynie?

Jan Kowalski zmieszał się.

- Nie - przyznał - dyrektor kazał mi odwieźć Celków do Warszawy. Ale po co miałem się tłuc bez potrzeby? Celka to nie tylko brygadzista na tokarkach precyzyjnych, ale także stary szoferak. Ma zawodowe prawo jazdy. Parę lat przepracował w Warszawskim Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym. Jeździ lepiej ode mnie. A ja właśnie naprawiałem wózek zastępcy dyrektora. Jemu bardzo się śpieszyło, bo wybierał się na urlop do Bułgarii. Szkoda mi było tracić paru godzin po próżnicy.

- Dyrektor Nadolny wiedział o tym?

- Pewnie, że nie wiedział. Ochrzaniłby mnie porządnie. On tak się trzęsie nad tym fiatem, jak kura nad złotym jajem.

- Przesłuchiwałem was, Kowalski, dwa razy. Przedtem jeszcze rozmawialiśmy tak półprywatnie w fabryce. Dlaczego słówkiem nie wspomnieliście o tym, że wiśniowym fiatem jeździli jeszcze inni ludzie?

- Jacy inni? Nikomu prócz Celki nie dawałem wozu. Mogę przysiąc.

- Dużo są warte te wasze przysięgi? Przecież przy poprzednich przesłuchaniach byliście uprzedzeni, że za fałszywe zeznania grozi surowa kara. A pomimo to kłamaliście.
- Nie kłamałem - bronił się Kowalski - ja tylko nie powiedziałem o Celce.
- Dla sądu to żadna różnica.
- Pan mnie chce zamknąć? - nie na żarty przestraszył się kierowca.
- Jeżeli powtórnie złapię was na kłamstwie czy, jak wy to nazywacie, „niepowiedzeniu", jak mi Bóg miły, skieruję sprawę do prokuratora. A tam już żartów nie ma. Skończy się w sądzie. Tego możecie być pewni.
- Niczego nie ukryłem ani niczego nie skłamałem -Kowalski naprawdę się przestraszył.
- Nikomu więcej nie dawaliście wozu?
- Czasem dawałem.
- Kiedy?
- Było to na wiosnę. W pierwszej połowie czerwca. Koleżka Michalak jechał na wesele siostry i chciał się pochwalić własną gablotą.
- A jeszcze?
- To było w lipcu - Kowalski był coraz bardziej skruszony. - Maksio Głowacki, też kierowca, tylko ciężarówki, pojechał pod Lublin do znajomego badylarza po truskawki. Bo tam były dużo tańsze. A chłop chciał parę groszy zarobić.
- Do Nadarzyna przywoził truskawki? Coś bujacie. To jakby do Polski importować węgiel.
- Nie. Nie do Nadarzyna. On je zawiózł do Sopotu. Ale obrócił od soboty po południu do poniedziałku rano. Wóz odstawił w zupełnym porządku.
- Dałby wam dyrektor Nadolny za te jazdy, oj dałby!
- Pewnie - Kowalski podrapał się za uchem - ale pan major nie powie? Pan major rozumie, jak to między ludźmi, dziś tobie, jutro mnie. Kiedy w sierpniu nawaliła w naszym fiacie skrzynia biegów, to Michalak wykombinował zapasowe części, a Maksio robił z nim i ze mną całą noc, żeby gablota na rano była gotowa. Nikt im za to grosza nie zapłacił. A orali nie

przymierzając jak woły. Najmarniej wóz stałby tydzień w naszym warsztacie, zanim znaleźliby części i zmontowali na nowo skrzynię biegów. Może nawet musieliby dawać nową. Teraz łatwiej kupić całą niż części do niej.

Majorowi zabrakło argumentów. Zwolnił Kowalskiego, bo cóż miał robić? Sam przecież wiedział, że w tym, co mówi kierowca, jest sporo prawdy. Rozumiał to także naczelny dyrektor Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie, Mieczysław Nadolny, i szedł na różne „kompromisy" z dobrymi fachowcami, aby ich utrzymać w fabryce. Dyrektor na pewno dobrze by obrugał kierowcę za samowolę i niedozwolone kursy, ale przecież ani by sprawy nie skierował na drogę sądową, ani by Kowalskiego nie wyrzucił z roboty. Bo gdzie znalazłby nowego mechanika i mieszkanie wolne dla niego?

Tym razem major Kaczanowski postanowił iść na całego. Miał nareszcie w rękach człowieka, który był mechanikiem samochodowym i tym samochodem rozporządzał w krytycznym okresie pomiędzy pierwszym i szóstym września. Odwoził do szpitala chorą żonę. To fakt. Ale wracał sam i miał aż nadto czasu i okazji, aby odpowiednio spreparować wiśniowego fiata. Nie był wprawdzie młodzieńcem - bo Marian Celka dobiegał czterdziestki - ale to o niczym nie świadczyło. Nie jest nigdzie powiedziane, że wspólnikiem, a może przywódcą dwóch młodych przestępców, nie może być człowiek, który skończył trzydzieści dziewięć lat.

Prokurator Boczkowski, chociaż niechętnie, podpisał nakaz przeszukania mieszkania brygadzisty. Major nie był naiwny. Nie spodziewał się znalezienia w domu podejrzanego milionów złotych. Wiedział, że pieniądze na pewno są doskonale ukryte poza mieszkaniami przestępców. Najbardziej szczegółowa rewizja tam ich nie znajdzie. Jednakże oficer milicji liczył na to, że w mieszkaniu uda się wykryć jakieś narzędzie przestępstwa. Choćby na przykład kabelek tego koloru i tego rodzaju, z jakich sporządzone są przewody elektryczne polskiego fiata. Bo na pewno posłużono się identycznymi, gdyż inny rodzaj kabla mógł zainteresować Kowalskiego, gdyby przypadkowo podniósł maskę, i przed czasem ujawnić przeróbkę w wozie. Może więc

znajdzie się ręczna wiertareczka z wiertłem odpowiadającym dwu otworkom wywierconym pod deską rozdzielczą? Może przestępca pożałował i nie wyrzucił wyłącznika? Albo na wszelki wypadek kupił od razu dwa?

Doświadczony oficer milicji wiedział, że na takich pozornie nic nie znaczących drobiazgach pośliznął się niejeden najbardziej ostrożny przestępca. Należy te drobiazgi tylko odnaleźć i zabezpieczyć. Na takim, na przykład, znalezionym wiertle może uda się pod mikroskopem wykryć maleńkie cząsteczki masy, z której sporządzona jest deska rozdzielcza. A to byłby już dostateczny dowód nie tylko dla milicji, lecz nawet dla najbardziej przezornego prokuratora czy dla sądu.

A może przestępca widząc, że wszystko stracone, zacznie szukać okoliczności łagodzących? Przecież liczy się każdy rok więzienia. Rozpiętość kary może być dość duża. To poważna różnica - zainkasować dziesięć czy siedem lat. Wskazanie miejsca ukrycia pieniędzy, wyjawienie nazwisk dwu pozostałych wspólników przestępstwa, takie argumenty w ustach zręcznego obrońcy mogą przekonać sąd o „czynnej skrusze" winowajcy i skłonić sędziów do łagodniejszego potraktowania człowieka siedzącego na ławie oskarżonych.

Kaczanowski wybrał najlepszych specjalistów od przeszukiwania, jacy byli w całej stołecznej milicji. We wczesnych godzinach rannych zapukano do mieszkania Mariana Celki. Przezornie nie podjechano pod dom milicyjnym autem, lecz zostawiono je na sąsiedniej ulicy.

Zaskoczenie było całkowite. Żona i dzieci brygadzisty jeszcze spały. On sam dopiero co się umył i właśnie był w trakcie golenia. Otworzył drzwi myśląc, że to sąsiad i kolega z miejsca pracy. Trzymał maszynkę w ręku i lewy policzek miał cały namydlony. Na widok milicyjnych mundurów bardziej się zdziwił niż przestraszył.

- Panowie do mnie? Dlaczego?

- Sami dobrze wiecie, dlaczego. Oto nakaz przeszukania - major podał Celce urzędowy papierek.

Brygadzista przeczytał nakaz przeszukania.

- Szukajcie. Nie wiem czego, ale wiem, że niczego nie

znajdziecie. Tylko proszę wziąć pod uwagę, że żona niezbyt zdrowa. Niedawno wróciła ze szpitala.

- Mamy ze sobą funkcjonariuszkę milicji - wyjaśnił Kaczanowski. - Pan obudzi żonę i dzieci. Ubiorą się przy niej.

Celka wzruszył ramionami i poszedł spełnić żądanie oficera. Żona wystraszyła się, ale dwójka dzieci, ośmioletni chłopczyk i mająca chyba z pięć lat dziewczynka, z ciekawością obserwowała czynności milicjantów. Ci zaś bez zwłoki wzięli się do swojej roboty. Systematycznie przeszukiwano mebel po meblu. Zaglądano do pieców i na piece. Nie pominięto tapczanów i bielizny pościelowej. Sztuka po sztuce. Skontrolowano skrzynię na węgiel. Zbadano kubeł na śmieci. Dwaj funkcjonariusze zainteresowali się także śmietnikiem i piwnicami.

Jak to u tokarzy, znaleziono sporo różnego żelastwa.

Były tam kawałki metalu, różne druty i nawet kable ze starej stojącej lampy. Ale różniły się od kabelków używanych do instalacji elektrycznej w samochodach. Nie brakowało różnych obcęgów, płaskoszczypów. Były młotki i przecinaki. Znalazła się lutownica. Ale nie znaleziono ani wiertarki, ani wierteł. Również ani śladu jakichś wyłączników.

Przeszukanie trwało przeszło pięć godzin. Milicja przepytała sąsiadów - a prawie wszyscy pracowali w Zakładach Aparatury Precyzyjnej - czy czasami w sierpniu lub na początku września Marian Celka nie pożyczał od nich wiertarki albo wyłącznika elektrycznego bądź kawałka kabelka. Nikt tego nie potwierdził.

Podejrzanego zawieziono do fabryki i przeszukano tutaj jego szafkę w szatni i te tokarki, do których jako brygadzista mógł mieć dostęp. Członkom brygady Celki zadawano te same pytania, co jego sąsiadom.

- O co wam chodzi? Czego szukacie? - denerwował się brygadzista.

- Sami dobrze wiecie, czego szukamy - major tym razem nie umiał zachować spokoju. Zdawał sobie doskonale sprawę, że negatywny wynik przeszukania będzie nowym bankructwem całego dotychczasowego dochodzenia.

A jednak na to wyszło. Niczego podejrzanego przeszukanie

nie wykryło. Wielkich pieniędzy także nie znaleziono. Pomimo to oficer milicji kazał się ubierać Marianowi Celce i nie zważająca protesty i na płacz jego żony zabrał go do Warszawy. Tam natychmiast przystąpiono do przesłuchiwania podejrzanego.

- Odwoziliście żonę fabrycznym fiatem do Warszawy w dniu drugiego września?

- Odwoziłem.

- To był samochód Jana Kowalskiego. Ten, który później został skradziony?

- Ten sam.
- Kto z wami jechał? Kowalski?
- Nie. Sam jechałem.
- Mieliście pozwolenie dyrekcji na wzięcie samochodu?
- Dyrektor Nadolny pozwolił, aby Kowalski odwiózł moją żonę do szpitala.
- Ale wyście woleli jechać sami?
- Mnie było wszystko jedno. To Kowalski wolał zostać, bo naprawiał samochód wicedyrektora - wyjaśniał Marian Celka.
- Kto jeszcze z wami jechał?
- Nikt. Tylko ja z żoną.
- Dziwne. Przecież tylu pracowników fabryki mieszka w Warszawie. Nie mogliście wziąć paru, aby nie musieli czekać na autobus?
- Spieszyłem się. Żona źle się czuła. Zresztą nie jechaliśmy w tym czasie, kiedy ludzie wychodzą z pracy. Żona miała stawić się w szpitalu przed godziną jedenastą.
- Była taka doskonała okazja, aby dzieci się przejechały samochodem. Dzieci to bardzo lubią.
- Syn chodzi do szkoły.
- A córeczka? Na pewno chciałaby się przejechać z tatusiem.
- Irenkę odprowadziłem do sąsiadów. Ona jest bardzo przywiązana do matki. Nie brałem jej ze sobą, bo bałem się, że będzie płakać, kiedy żona zostanie w szpitalu. Zresztą także i dla Hani także pożegnanie byłoby trudne. Przecież kobieta zdawała sobie sprawę, na jak ciężką idzie operację. Lekarze

wprawdzie zapewniali, że to nie nowotwór, ale w takich przypadkach oni nigdy prawdy nie chcą powiedzieć.

- No dobrze. Powiedzmy, że to wyjaśnione. Więc zawieźliście żonę do szpitala i co dalej?
- Nic nie było dalej. Wróciłem do Nadarzyna, bo wóz mógł być potrzebny. Wiedziałem, że Kowalski się denerwuje. Miałem wrócić wcześniej, a w szpitalu zeszło nam z półtorej godziny, zanim wszystkie formalności zostały załatwione.
- Sami wracaliście?
- Sam.
- Nie braliście żadnych łebków po drodze?
- Co pan major? Jechałem wozem fabrycznym. Nie dość, że mi pan dyrektor grzeczność zrobił, jeszcze miałbym się narażać dla paru groszy?
- A dlaczego zatrzymywaliście się po drodze?
- Gdzie?
- Jak już skręciliście w Jankach na szosę katowicką.
- Nigdzie się nie zatrzymywałem.
- Ejże?
- W Warszawie, to przyznaję, zatrzymywałem się. Na Grójeckiej. Wypiłem dwie szklanki wody sodowej z sokiem. To było prawie przy placu Narutowicza. Pamiętam, że wózek obsługiwał starszy facet z siwą brodą.
- Macie doskonałą pamięć. Tylko nie możecie sobie jakoś przypomnieć, że na autostradzie zjechaliście na pobocze.
- Na pewno nie zjeżdżałem.
- Widziano was jednak. Nie tylko jak staliście na poboczu, ale nawet wysiedliście i podnieśliście maskę wozu.
- To nieprawda.
- A jednak was widziano.
- Dlaczego miałbym to robić? Wóz był w doskonałym stanie. Prawie prosto po przeglądzie.
- Pan dobrze wie dlaczego. Dlatego, żeby tam założyć kawałek kabelka.
- Kabelka? - Celka, jeśli udawał, że nie wie, o co chodzi, robił to jak wytrawny aktor.
- Tak. Kabelka i wyłącznika. Pod deską rozdzielczą.

Bardzo sprytne urządzenie. Wystarczy jeden ruch małym palcem i można długo kręcić kluczykiem w stacyjce. Rozrusznik nie zaskoczy.

W całym Nadarzynie nie było chyba człowieka, który nie wiedziałby, w jaki sposób złodzieje wywabili pasażerów z samochodu i później tym wozem uciekli w siną dal wraz z siedmioma milionami złotych. Nic więc dziwnego, że Marian Celka teraz zrozumiał, co znaczyło szczegółowe przeszukanie jego mieszkania i to obecne przesłuchanie.

A jednak ten człowiek nie przestraszył się grożącego mu niebezpieczeństwa. Przeciwnie, wybuchnął głośnym śmiechem.

- To o to panu majorowi chodzi? Źle zeście trafili. Nie mam nic wspólnego z kradzieżą tych pieniędzy.

- Nie mówię, żeście byli na autostradzie, kiedy uprowadzono samochód, lecz jedynie przerobiliście instalację elektryczną. Kim są wasi wspólnicy i gdzie ukryliście pieniądze?

- Nie mam żadnych wspólników. Żadnych pieniędzy w życiu nie ukradłem.

- Słuchajcie, Celka - tłumaczył major - przyznaję, to było bardzo sprytnie zrobione. Ale trudno, wydało się. Grozi wam kara więzienia nawet do dwudziestu pięciu lat. Sami rozumiecie. Macie dzisiaj trzydzieści dziewięć, a wyszlibyście na wolność w wieku sześćdziesięciu czterech. W więzieniu nikt nie młodnieje. Wsypa już jest faktem. Czy nie lepiej przyznać się szczerze do wszystkiego? Ja sam, kiedy będę zeznawał w sądzie, powiem, żeście z własnej woli wszystko w czasie śledztwa prawdziwie zeznali. Sąd to uwzględni. Wyrok może być dużo niższy. Tamtych dwóch nie ukrywajcie i nie żałujcie. My ich i tak, prędzej czy później, złapiemy. Teraz ostatnia chwila dla ratowania własnej skóry.

- Jestem niewinny - uporczywie twierdził Marian Celka.

- Dobrze, dobrze. Jutro znowu porozmawiamy ze sobą. Ma pan sporo czasu. Niech się pan namyśli. I tak już wszystko stracone. Zupełnie szczerze radzę przyznać się do współudziału w kradzieży tych milionów. Mówię to tylko w pańskim interesie.

- Jestem niewinny - powtórzył Marian Celka.

Zatrzymany i nazajutrz nie zmienił zdania. Na nic się nie przydały jak najsprytniej zastawiane pułapki i podchwytliwe pytania zadawane przez zmieniających się w czasie przesłuchania oficerów milicji. Major uznał bo wiem, że może ktoś inny zdoła przekonać upartego podejrzanego, iż przyznanie się do winy jest jego jedynym ratunkiem.

Pułkownik Niemiroch wysłuchał sprawozdania swoich podwładnych i zadecydował natychmiastowe zwolnienie Mariana Celki. Kazał go nawet odwieźć służbowym samochodem do Nadarzyna. Wprawdzie major upierał się, aby wystąpić do prokuratury o sankcję na dalszy areszt, ale naczelnik wydziału uznał, że poszlaki są zbyt słabe.

- Ten człowiek jest winny - upierał się Kaczanowski.

- Może jest winny, a może jest niewinny - odparł pułkownik - to my musimy mu udowodnić winę. Dopóki tego nie zrobimy, trzeba go uważać za niewinnego. I dlatego należy go przeprosić i jak najprędzej zwolnić. Jednocześnie polecam ci nadal prowadzić śledztwo w tym kierunku. Zbierzesz więcej dowodów przeciwko niemu, wtedy z nim znowu pogadamy.

Chciał nie chciał, Kaczanowski zastosował się do poleceń zwierzchnika.

Rozdział ósmy
O jeden dzień za późno

Mijały dnie, tygodnie i miesiące. Na próżno major Kaczanowski i jego ludzie dwoili się i troili, dochodzenie jak utknęło na martwym punkcie, tak nie mogło ruszyć z miejsca. Marcin Lisek, raczej ku zadowoleniu licznych klientów, prowadził i rozbudowywał swój warsztat. Gnieździli się wraz z żoną i dzieckiem w malutkim pokoiku, który staremu Januaremu Godlewskiemu służył za kantorek. Żona jednak była zadowolona. Ciasno, ale na własnym i nie ze świekrą. Na wiosnę Lisek projektował dobudowanie większej izby. Tam się przeniosą, zanim stać ich będzie na postawienie prawdziwego własnego domu.

Ó tym wszystkim major doskonale wiedział, gdyż jego ludzie dyskretnie „opiekowali się" byłym mechanikiem z Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Nie mogli jednak w tym żywocie człowieka raczej poczciwego dopatrzyć się niczego podejrzanego, co by mogło spowodować jakiś szczęśliwszy zwrot śledztwa.

Także o Marianie Celce oficer milicji miał aktualne informacje. Trochę się z brygadzisty pośmiano w fabryce, że „kiblował" w piwnicy Pałacu Mostowskich i tam uchodził za milionera Żona Celki wreszcie wróciła do zdrowia. Od razu cały dom poweselał. Naczelny dyrektor Zakładów dał brygadziście przydział na zakup jednej z dwóch skód, jakie otrzymano z ministerstwa w nagrodę za wykonanie planu. Ten przydział, który wywołał w fabryce pewne niezadowolenie „góry" technicznej, nastąpił zresztą przy cichej interwencji pułkownika Niemirocha. Miał on bowiem trochę wyrzutów sumienia, że zbyt lekkomyślnie zgodził się na przetrzymanie Celki przez czterdzieści osiem godzin w areszcie milicyjnym. Tak więc brygadzista nie krzywdował sobie, przeciwnie, raczej był zadowolony, że w swoim czasie major Kaczanowski wykazał zbytnią zapalczywość.

Sprawa finansów przy dokonywaniu zakupu nowej skody także została dokładnie zbadana przez MO. Ustalono, że Celka sprzedał wartburga za około sto tysięcy złotych. Trochę też miał zaoszczędzonego grosza, resztę pożyczył w kasie zapomogowej i od przyjaciół. Nie można się było do niczego przyczepić.

Inni pracownicy fabryki w Nadarzynie zachowywali się całkowicie normalnie. Pracowali lepiej lub gorzej. Niektórych z nich trzeba było zwolnić. Kilku przeniosło się do roboty, którą uważali za lepszą, łatwiejszą lub bardziej popłatną. Zdarzyły się drobne zajścia, czasami jakieś rozróby „po pijaku". Słowem - „normalka".

Nikt z tych ludzi niczym się nie zdradził, że jest posiadaczem sporej fortuny. A przecież na tym „nacisku pieniądza" dochodzenie budowało swoje plany. To miała być ta nić, która doprowadzi do kłębka.

Nastąpiło wreszcie to, co musiało nastąpić. Zgodnie z

przepisami kodeksu postępowania karnego prokuratura umorzyła śledztwo. Major Kaczanowski tę decyzję odczuł jak wymierzony mu policzek. W długiej i ładnej karierze tego oficera taka historia jeszcze się nie zdarzyła. Poszedł więc poskarżyć się przyjacielowi i zarazem przełożonemu, pułkownikowi Niemirochowi.

- Prokurator jest związany przepisami. Znasz przecież kodeks. Nie masz się co dziwić Boczkowskiemu ani obrażać na niego. Ja także zresztą jestem gotów spisać tę sprawę na straty. Przez tyle miesięcy dochodzenie właściwie nie ruszyło z miejsca. A zatrudniliśmy przy tym wielu ludzi. Tamtych dwóch z Nadarzyna także odwołam. Nie ma sensu, aby siedzieli w fabryce. Są potrzebni gdzie indziej. Nie mówię, że pokpiłeś sprawę. Znam ją dobrze i wiem, że zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Niestety, na razie mamy zbyt mało danych...

- Dlatego trzeba zostawić przynajmniej tych dwóch w fabryce. Tam musi być wspólnik przestępców - bronił się major. - Jeżeli stracimy kontakt z fabryką, tym bardziej nie ruszymy z miejsca.

- Nie przeczę, że bandyci operujący na autostradzie mieli wspólnika w Nadarzynie. Ale ten człowiek przywarował i może siedzieć cicho jeszcze przez rok lub dłużej. Trzymanie wywiadowców w Zakładach mija się z celem. On na pewno doskonale się orientuje, że dyskretnie obserwujemy pracowników fabryki. Jestem za tym, aby naszych wywiadowców wycofać, i to w taki sposób, żeby cała załoga dowiedziała się, jaką oni rolę spełniali w Nadarzynie. Także trzeba rozgłosić, że prokuratura umorzyła śledztwo. Niech temu człowiekowi zdaje się, że mu nic już nie grozi. My przecież nie powiesimy sprawy na kołku, tylko będziemy do niej często wracać. A plotki z Nadarzyna można zbierać w inny sposób. Choćby przy pomocy tamtejszej milicji. Zresztą - pułkownik uśmiechnął się znacząco - ty masz tam swoją prywatną informatorkę. Chyba jej nie zwolnisz? Od dawna nie słyszałem o twoich nowych flamach. Podobno nawet w kasynie bywasz rzadko i zawsze sam. Niektórzy aż się temu dziwią.

Ukłucie było celne. Janusz nieco się zmieszał.

- Naturalnie, że podtrzymuję tę znajomość, aby wiedzieć, co się dzieje w Nadarzynie. Ale robię to tylko dla dobra śledztwa. Tym bardziej teraz nie zrezygnuję, skoro chcesz stamtąd zabrać naszych ludzi.

- No, jeśli chodzi ci tylko o informację, to pochwalam -Niemiroch wyraźnie bawił się zmieszaniem przyjaciela -już podejrzewałem, że to coś poważniejszego.

- Ale skądże znowu! - gorąco zaprotestował Kaczanowski - to bardzo miła dziewczyna - dodał ni w pięć, ni w dziewięć.

A tymczasem informatorka raz, dwa razy w tygodniu odwiedzała kawalerkę oficera. Nigdy mu się nie narzucała, niczego nie żądała. Czasami nawet robiła w małym mieszkanku generalne porządki, czasami smażyła majorowi placki kartoflane. Dobrze przyrumienione i chrupiące w zębach. Nie zadawała tak denerwujących mężczyznę pytań „czy bardzo mnie kochasz"? Nigdy też nie mówiła o swojej miłości. Zaledwie parę razy stwierdziła, że Janusza „trochę lubi". Kaczanowski z pewnym, ukrywanym zresztą, niezadowoleniem zauważył, że w planach przyszłości, o jakich Ela nieraz mu mówiła, nie było w ogóle miejsca dla pewnego oficera milicji.

A poza tym panna Jarot naprawdę przejęta była rolą honorowego współpracownika wydziału kryminalnego stołecznej milicji. Zawsze zdawała majorowi szczegółowe sprawozdanie ze wszystkiego, co się działo na terenie fabryki. Odnotowywała sobie najdrobniejsze ploteczki i powiedzonka. A że była ładną dziewczyną i do tego mającą służbowy kontakt ze wszystkimi działami wielkich zakładów, więc zawsze uzbierało się tego dość sporo. Niestety, nie było w tych sprawozdaniach niczego, co przydałoby się do popchnięcia sprawy.

Naturalnie myliłby się ktoś, kto by sądził, że z chwilą wydania przez prokuratora decyzji o umorzeniu śledztwa sprawa powędrowała do archiwum. Jej akta nie tylko nadal znajdowały się w stalowej szafie stojącej w pokoju majora, ale także bardzo często leżały na jego biurku. Co i raz Kaczanowski podejmował próby odnalezienia sprawców. Jego ludzie zjawiali się na giełdach samochodowych całego kraju, obserwowali transakcje, zainteresowania młodych ludzi kupnem wozów.

Nie pomijano innych możliwości wydawania pieniędzy. Zwracano uwagę na gości w restauracjach, kto i jakie rachunki płaci w knajpach kategorii „S". Przyglądano się młodym ludziom pragnącym wyjechać na Zachód. Nawet „cinkciarze" handlujący dolarami i bonami PKO rozumieli, że w ich własnym interesie będzie szepnięcie znajomemu wywiadowcy milicji, że jacyś chłopcy gwałtownie potrzebują dewiz i niezbyt się targują o wysokość kursu.

Kaczanowski sam nieraz żartował, że jest jak ten pająk, który szeroko rozstawił swoje sieci i teraz czeka, aż biedna mucha w nie wpadnie. Ale dni mijały za dniami, a mucha nie chciała zaplątać się w majorową pajęczynę.

Elżbietka Jarot mocno współczuła majorowi, bo chociaż przynosiła najświeższe informacje z Zakładów, niewiele się one przydawały. Mimo to nie zrezygnowała ze skrupulatnego opowiadania o zdarzeniach mających jakikolwiek związek z Nadarzynem. Pewnego dnia, a było to pod koniec lutego następnego roku po kradzieży siedmiu milionów złotych, tak relacjonowała Kaczanowskiemu:

- Wiesz, kiedy szłam do ciebie, spotkałam Pawła Wyganowskiego. Nawet mnie nie poznał i nie ukłonił się. Chłopak wyprzystojniał i bardzo wyeleganciał. Paraduje w modnym kożuchu. Dżinsy, założyłabym się, że prawdziwe „lewisy", „obuw" na wysokim obcasie także nie krajowego pochodzenia.

- Jaki Wyganowski?

- Kiedyś ci o nim wspominałam. Mieliśmy takiego gońca. Widziałeś go zresztą sam, kiedy poderwałeś mnie na korytarzu fabrycznym. Wtedy pierwszy raz przyjechałeś do naszych Zakładów. Ja go prosiłam, aby pokazał ci drogę do gabinetu naczelnego.

- Nie przypominam sobie. A przede wszystkim nikogo nie podrywałem. Nie mam takiego zwyczaju. Prawdą natomiast jest, że pewna przystojna osóbka zaczepiła mnie w budynku dyrekcji fabryki. I do tej chwili nie mogę się od niej uwolnić.

- Jak ty bezczelnie kłamiesz. Mam zaraz wyjść?

- No, skoro już jesteś, to możesz zostać. Teraz przypominam

sobie, że ten młody człowiek podkochiwał się w tobie i organizował ci przejazdy z Nadarzyna do Warszawy, aby jego ideał nie gniótł się z pospólstwem w autobusie. Tak było?

Panna Ela wydęła usteczka i udając obrażoną milczała.

- Więc powiedz, co z tym twoim Pawełkiem? Nadal pracuje w Zakładach?

Dziewczyna nie dała się długo prosić.

- Nie. On zasadniczo przestał pracować pierwszego września ubiegłego roku. Jeszcze przedtem, nim się poznaliśmy. Ale dyrektor nie miał akurat żadnego kandydata na gońca i prosił Wyganowskiego, aby jeszcze przez miesiąc przychodził do fabryki. Jakoś to mu Nadolny później wyrównał. Pewnie z funduszu na prace zlecone albo ze swoich reprezentacyjnych. Wyganowski zrobił maturę w szkole dla dorosłych i udało mu się ze studiami wyższymi. Wprawdzie na Politechnikę Warszawską go nie przyjęto z braku miejsc, ale dostał się do Poznania. Dlatego przestał u nas pracować.

- Rozumiem - major powiedział to raczej do siebie niż do dziewczyny. Milicja prowadziła dokładną ewidencję ludzi, którzy zwalniali się z pracy po pierwszym września. Pawła Wyganowskiego na tej liście nie było, bo oficjalnie przestał on pracować przed tą datą. Stąd nazwisko „Wyganowski" było całkowicie obce oficerowi milicji.

—¦ Paweł pochodzi z bardzo biednej rodziny - wyjaśniła Ela. - Matka owdowiała z czwórką dorastających dzieci. Sama nie miała żadnego fachu. Pracowała w fabryce jako sprzątaczka. Pomagano jej z funduszów socjalnych i z kasy zapomogowej. Potem dyrektor zgodził się przyjąć Pawła na gońca. Nasi inżynierowie podciągali chłopaka w nauce. Dzięki temu zdał dobrze maturę i miał otwartą drogę do wyższej uczelni.

- Więc powiadasz, że teraz tak dobrze jest ubrany? - ten szczegół zainteresował Janusza.

- Byłam zdziwiona. W tym eleganckim młodym człowieku z trudem poznałam naszego dawnego gońca.

Kiedy dziewczyna wyszła, major głęboko zastanowił się nad jej słowami. Czyżby nowy, nareszcie właściwy trop? A może i nie? Pamiętał przecież, że nie kto inny, ale właśnie Ela

„napuściła” go na Mariana Celkę. A tamta akcja zakończyła się kompromitacją oficera milicji. Nie tylko musiał on zwolnić z aresztu brygadzistę, ale jeszcze go osobiście przeprosić za przetrzymanie w „dołku” przez czterdzieści osiem godzin. Na dobitkę ani pułkownik, ani prokurator Boczkowski nie kryli wówczas swojego niezadowolenia i wręcz zarzucali majorowi lekkomyślność i niesubordynację.

Żeby teraz nie powtórzyła się podobna historia.

A jednak? Im dłużej Kaczanowski zastanawiał się nad opowiadaniem Elżbiety, tym coraz więcej faktów przylegało do tej pozornie błahej opowieści. Goniec widział ich razem w gmachu dyrekcji. Może także później zobaczył majora z Elżbietą w kawiarni lub na ulicy. Orientował się doskonale, że to właśnie Janusz prowadzi śledztwo. Mógł się domyślać, że urzędniczka działu zaopatrzenia jest nie tylko sympatią oficera, lecz także jego informatorem. A że chłopak widział Celkę prowadzącego samochód Kowalskiego, celowo poprzez dziewczynę podrzucił ten ślad milicji. Numer przeszedł, co przestępcy pozwoliło spokojnie wycofać się z pracy w Zakładach bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń jego osobą.

Pociągnięcie, aby zwolnić się z pracy z dniem trzydziestego pierwszego sierpnia, a zatem na parę dni przed kradzieżą, było sprytne. A pomimo zwolnienia pozostać w Zakładach. Już nie był na liście pracowników, ale jeszcze swobodnie poruszał się po całym terenie wielkiej fabryki. Gońca wszyscy znali. Wiedzieli, że jest zaufanym człowiekiem dyrektora. Mógł przekraczać bramy Zakładów zarówno w dzień jak i w nocy. Nie odbijał karty na zegarze w portierni. Był tak wszędzie widoczny, że nikt na niego nie zwracał najmniejszej uwagi.

Cóż znaczyło dla tego chłopca wejść wieczorem na teren fabryki? Najwyżej w portierni posiedziałby magiczne zdanie „z poleceniem od dyrektora”. Dalsza droga do stojącego pod wiatą wiśniowego fiata i kilka ruchów pod maską wozu to zupełny drobiazg. Nikomu także nie przyszło by łatwiej zgarnięcie zapasowych kluczyków do tego samochodu, wiszących w gablocie portierni.

Wprawdzie z tego, co mówiła Elżbieta, wynikało, że goniec

nie ma wykształcenia technicznego, ale operacja przy samochodzie nie wymagała takich umiejętności. Można się jej było nauczyć na pamięć i wypróbować na jakimś innym aucie tej samej marki. Przestępcy dali dowód, że cała akcja została najbardziej drobiazgowo przygotowana, a zatem i takie próby na pewno przeprowadzano.

Janusz tak się przejął nową koncepcją śledztwa, że całą noc nie zmrużył oka. Już od siódmej rano tkwił w stołecznej komendzie milicji, nie mogąc się doczekać pułkownika Niemirocha. Wreszcie naczelnik zjawił się w swoim gabinecie, gdzie bez zwłoki przyjął majora. Wysłuchał tej nowej hipotezy, po czym ostrożnie zauważył:

— Domniemania pasują do tego młodego człowieka. Ale pamiętaj, Januszku, że równie dobrze pasowały do jego poprzedników. Tego Liska i Celki. Nie mówię, że nie będziemy się interesowali Pawłem Wyganowskim. Nawet polecam ci sprawdzić wszystkie fakty, ale działaj wyjątkowo ostrożnie. Bez pochopnego zamykania ludzi w areszcie. Jeśli uznasz za potrzebne, weź delegację do Poznania i na miejscu osobiście zbadaj sytuację. Ale najpierw rozejrzyj się tutaj w Warszawie w otoczeniu młodego człowieka.

— On nie mieszka w Warszawie. Jego matka ma mały domek na skraju Nadarzyna.

— Tym lepiej. Łatwiej ci będzie zasięgnąć języka. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Ale sam się w Nadarzynie nie pokazuj. Za bardzo jesteś znany na tamtym terenie. Niech ten wywiad pod jakimś pozorem przeprowadzi tamtejsza milicja. A twoja narzeczona niech także trochę się rozpyta o matkę Wyganowskiego.

Major bez słowa protestu połknął słowo „narzeczona". A może po prostu tak był zbulwersowany nowym aspektem dochodzenia, że nie zastanawiał się na tym określeniem.

W Nadarzynie wszyscy znają wszystkich. Tym bardziej miejscowa milicja znała historię pani Wyganowskiej i jej ciężkie zapasy z losem, aby dzieciom dać jeść i wychować je na ludzi. O tryumfie Pawła, którego przyjęto na politechnikę w Poznaniu, także tam wiedziano. Widziano też młodego

człowieka na ulicach miasteczka, gdyż na początku lutego przyjechał do domu w odwiedziny. Rzeczywiście modnym strojem imponował nawet miejscowej „złotej młodzieży". Mówił, że ma stypendium i dorabia sobie bardzo dobrymi korepetycjami z matematyki.

Sprzątaczka także w fabryce nie mogła się nachwalić synem i jego powodzeniem. Nie dość, że profesorowie stawiają go innym za wzór pracowitości i dają nagrody, to jeszcze znalazł dodatkowy zarobek. Kiedy przyjechał, to całej rodzinie przywiózł ładne prezenty. Ona dostała materiał na suknię. Młodszy brat garnitur, zaś obie siostry pantofelki i rajstopy. Takie dziecka to prawdziwy skarb.

Wszystkie opowieści różnymi drogami trafiały na biurko majora. Nie było w nich niczego nadzwyczajnego. Zdarzają się przecież zdolni studenci, których profesorowie nie mogą się nachwalić. Są nagrody dziekańskie. Nie brakuje takich, którzy doskonale zarabiają korepetycjami i przygotowywaniem uczniów do egzaminów na wyższe uczelnie. Kaczanowski wiedział, że lekcje, zwłaszcza z matematyki, są nieraz płatne i po dwieście złotych za godzinę. Wystarczyło młodemu Wyganowskiemu mieć dwie godziny takich korepetycji dziennie, aby jego dzisiejsza zamożność była całkowicie usprawiedliwionym faktem. A słowa starej sprzątaczki najszczerszą prawdą.

Oficer postanowił jednak sprawdzić to osobiście w Poznaniu.

Niespodzianki zaczęły się już od pierwszej wizyty w rektoracie politechniki. Bez trudu odnaleziono akta studenta Wydziału Inżynierii Wodnej, Pawła Wyganowskiego. Niestety nie był on gwiazdą wydziału. Przeciwnie. Groziło mu nawet usunięcie z uczelni po pierwszym semestrze. W końcu zdołał tego uniknąć, ale miał spore zaległości w nauce. Czy zdoła się utrzymać na politechnice także i po drugim semestrze? Sprawa była nad wyraz wątpliwa. Chyba że młody człowiek radykalnie zmieni swój stosunek do nauki. Co ciekawsze, właśnie matematyka była jego najsłabszą stroną.

W domu akademickim czekała majora następna zaskakująca

informacja. Tutaj rzeczywiście mieszkał taki student, ale wytrwał niecały miesiąc. Potem zrezygnował ze stypendium mieszkaniowego i wyprowadził się nie podając nowego adresu. Mieszkał tak krótko, że towarzysze ze wspólnego pokoju nie mogli o nim nic bliższego powiedzieć. Tak się złożyło, że byli w innej grupie uczących się.

Ustalenie prawdziwego adresu Pawła Wyganowskiego nie stanowiło żadnego problemu dla poznańskiej milicji. Była to elegancka willa położona przy jednej z bocznych od ulicy Grunwaldzkiej. Doskonały punkt, znakomita komunikacja ze śródmieściem.

Na dzwonek drzwi otworzyła starsza, dostatnio ubrana kobieta.

- Czy pana Pawła Wyganowskiego zastałem w domu?

- Proszę bardzo - gospodyni zaprosiła majora do ładnie umeblowanego holu. - Pan spocznie. Zaraz sprawdzę, ale dzisiaj nie widziałam pana Wyganowskiego. W garażu także nie ma jego auta. Zdaje się, że wczoraj wyjechał z przyjaciółmi na wycieczkę i do tej pory nie wrócił.

- To on ma samochód?
- Bardzo piękny. Niedawno ojciec przysłał mu z Anglii.
- Ojciec? - major naprawdę był zdziwiony. Starszy pan Wyganowski zmarł przed przeszło dziesięcioma laty. Zaś nieboszczycy nie przysyłają prezentów. Nawet z Anglii.
- Tak. Ojciec. Pan Paweł dużo mi opowiada o swoim hojnym ojcu. Ile to przysyła mu pieniędzy na studia i jak się opiekuje synem - pani domu była gadatliwą niewiastą -no, ale pójdę zobaczyć.

Za chwilę kobieta wróciła.

-Nie myliłam się - powiedziała - pan Paweł nie wrócił na noc.

- Jaki samochód przysłał mu ojciec? - major postanowił przedłużyć rozmowę, aby dowiedzieć się więcej o obecnym trybie życia młodego człowieka.
- Śliczny! Niebieski, metalizowany. Firma... Jakieś litery. Zdaje się, że MBC czy coś podobnego.
- Może BMW?
- Właśnie! - ucieszyła się niewiasta. - BMW. Teraz

doskonale sobie przypominam. A jak wygodnie jeździ się takim wozem. Pan Paweł był tak miły, że mnie parę razy zabrał na przejażdżkę. Nie jedzie, a po prostu płynie.

- Mógłbym zobaczyć jego pokój?
- To są dwa pokoje z osobnym wejściem przez werandę
- sprostowała właścicielka willi. - Z tamtej strony domu. A przepraszam pan kto?
- Jestem starym znajomym jego matki - skłamał Kaczanowski - prosiła mnie, żebym przy okazji pobytu w Poznaniu odwiedził jej syna i zobaczył, jak mu się tu powodzi.
- Dziwne, że ta pani dopiero teraz przypomniała sobie, że ma syna.
- Zawsze o nim pamięta.
- Pan Paweł mi opowiadał, jak to jego matka uciekła z domu z innym mężczyzną, zostawiając męża i małe dziecko. Ograbiła rodzinę z pieniędzy i biżuterii. Ojciec,

nie mogąc sam wychować synka, oddał go w opiekę jakiejś krewnej i wyjechał do Anglii. Na szczęście tam się dorobił znacznego majątku. Dzięki temu Paweł może spokojnie studiować nie troszcząc się o nic. Po studiach on także wyjedzie za granicę, do ojca.

Kaczanowski nie protestował i nie usiłował wyprowadzić z błędu starszej pani. Ona zaś otworzyła jedne drzwi wiodące do holu. Za nimi znajdowały się dwa dostatnio umeblowane pokoje. Jeden z nich służył za sypialnię, drugi był gabinetem do pracy. Na biurku leżały jakieś podręczniki, a w kącie pokoju rulon zarysowanej kalki technicznej.

- Bardzo tu ładnie - pochwalił oficer.

- Dopóki mąż żył, mój mąż, proszę pana, był sławnym na cały Poznań lekarzem. Na pewno pan słyszał do nazwisko: Wartecki.

- Oczywiście! -major łgał jak najęty - doktor Wartecki, chluba medycyny. Któż tego nie wie?

- Właśnie. To był mój mąż. Teraz, kiedy córka ze swoim mężem -mieszkają na Śląsku, to mieszkanie było dla mnie za duże. Jestem zadowolona, że trafił mi się tak dobry lokator. A te trzy tysiące, które pan Paweł płaci mi miesięcznie, także się

przydają. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy wszystko tak drożeje. Jak ta kawa ostatnio podskoczyła w górę. A ja muszę przynajmniej dwie filiżanki dziennie, bo mam niskie ciśnienie.

- Jaka piękna szafa - pochwalił major i udając podziw dla zresztą niebrzydkiego mebla uchylił jego drzwi. Wewnątrz wisiało sześć zupełnie nowych garniturów. Półki na bieliznę także wypełnione były nowymi, wytwornymi rzeczami. Młody człowiek miał dobry gust i nie hołdował wyłącznie modzie nastolatków.

- Serdecznie pani dziękuję i pozwoli pani, że ją pożegnam - Kaczanowski szarmancko cmoknął starszą panią w rękę.

- A co mam powiedzieć panu Pawłowi? - zapytała pani domu odprowadzając gościa do wyjścia.

- Niech się Szanowna pani nie fatyguje. Będę w Poznaniu jeszcze parę dni. Zdążę więc Pawełka odwiedzić.

- Proszę bardzo.

Po ponownej wymianie ukłonów major znalazł się na ulicy. Pomimo nie najlepszej marcowej pogody zdjął kapelusz, aby się ochłodzić. Wrażenie było kolosalne. Nareszcie dochodzenie złapało prawdziwy trop. Te bajeczki o zamożnym ojcu z Anglii, ten apartament za trzy tysiące złotych, szafa pełna ubrań i samochód wart co najmniej pół miliona złotych, wszystko to wskazywało wyraźnie, skąd pochodzą pieniądze młodego człowieka. Najgorsze i wcale niepotrzebne były te łgarstwa o matce.

Kaczanowski nie wahał się ani chwili. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć do Komendy Wojewódzkiej MO. Stamtąd natychmiast przed willę pani Warteckiej skierowano dwóch wywiadowców. Polecono im zawiadomić majora, jak tylko Paweł Wyganowski zjawi się w domu. A także zatrzymać go, gdyby usiłował opuścić willę pani doktorowej.

Major połączył się telefonicznie z pułkownikiem Niemikrochemiczny. Naczelnik Wydziału Kryminalnego ucieszył się otrzymanymi wiadomościami. Bez zastrzeżeń aprobował zatrzymanie i natychmiastowe przywiezienie do Warszawy studenta politechniki. Tak długo nie wykryte

poważne przestępstwo było zadrą na honorze doświadczonego kryminologa. A na pewno „góra" nie chwaliła go za to.

Napięcie nerwowe nie opuszczało Kaczanowskiego. Czekał na sygnał wywiadowców i tkwił w gmachu komendy, rezygnując z pójścia na obiad. Jednakże godziny mijały, budynek pustoszał, a telefon milczał jak zaklęty. Wreszcie wieczorem odezwał się jeden z wywiadowców.

- Panie majorze - raportował - ciągle naszego klienta nie ma. Co mamy robić?

Oficer spojrzał na zegarek. Tamci stali przed willą już jedenaście godzin. Na zimnie, w padającym pod wieczór śniegu.

- Niedługo was zluzują - zapewnił milicjanta - zaraz wam przyślemy zmianę.

Dla następnych dwóch wartowników udało się majorowi uzyskać samochód. Mogli w nim dyżurować. Co prawda nie było im o wiele cieplej, bo silnika raczej nie należało uruchamiać, ale przynajmniej śnieg nie sypał się za kołnierz. Można też było siedzieć w kożuchu i w filcowych butach.

Dopiero po godzinie jedenastej wieczorem Kaczanowski uznał, że dalsze czekanie w gmachu komendy nie ma wielkiego sensu. Poszedł do hotelu, polecając przedtem oficerowi dyżurnemu, aby go natychmiast obudził w razie jakichś nowych wiadomości. Tym razem zmęczenie i odprężenie nerwowe sprawiły, że gdy tylko Janusz przyłożył głowę do poduszki, zasnął kamiennym snem. Kiedy otworzył oczy i spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta rano.

Natychmiast zatelefonował do komendy.

- Przy willi pani Warteckiej - poinformował oficer dyżurny - stoi już trzecia zmiana. Wszystko wskazuje na to, że nasz ptaszek został przez kogoś uprzedzony i wyfrunął ze swojej pięknej klatki.

- Zaraz będę u was - Kaczanowski piorunem ubrał się i nie upłynęło pół godziny, jak zjawił się w gabinecie poznańskiego odpowiednika pułkownika Niemirocha.

- Posterunek utrzymujemy - objaśnił kolegę major Dobrzyński - ale niezależnie od tego rozpoczynamy

poszukiwania Pawła Wyganowskiego Mamy już jego fotografię z akt w politechnice. Rozesłaliśmy pytania do wszystkich miast naszego województwa i na razie do różnych uzdrowisk.

- A samochód? Macie jego numer rejestracyjny?

- Z tym jest gorzej. Żadnego wozu nie zarejestrowano w naszym województwie na nazwisko Wyganowskiego. Zawiadomiliśmy teleksem inne województwa. Odpowiedzi zaczną napływać najwcześniej jutro. Spróbujemy także ustalić, kto ma u nas niebieskie, metalizowane BMW. Jeżeli zajdzie potrzeba, poszukamy tego wózka także w innych stronach kraju.

- Wóz jest znaczny. Niewiele takich w Polsce.

- Ale trochę ich jeździ po naszych szosach. Nie ma jednak obawy, znajdziemy go.

- Może dać znać do Warszawy, aby i tam jednocześnie rozpoczęli poszukiwania? To warszawiak. Takiemu najłatwiej ukrywać się w swoim rodzinnym mieście.

- Rozmawiałem bezpośrednio z pułkownikiem Niemirochem. Przekazałem mu informacje o aktualnej sytuacji i jestem pewien, że i on także rozpoczął pościg. Jak więc widzicie, drogi majorze, nie zasypiamy gruszek w popiele.

- Jestem wam mocno zobowiązany. Chciałbym jak najprędzej mieć faceta w ręku.

- Wcale się nie dziwię. Znam perypetie tego dochodzenia. No, ale teraz już macie z górki.

Niestety i tym razem poznański oficer mylił się. Sprawa nie była tak bliska rozwiązania, jak to się obu majorom zdawało. Cały dzień upłynął na bezskutecznych poszukiwaniach Pawła Wyganowskiego. Odnaleziono go dopiero nazajutrz.

Leśniczy Kórnickich Lasów, Leon Niemusiał, z samego ranka wybrał się w obchód swojego rewiru, aby na świeżym śniegu policzyć tropy zwierzyny. Sądził, że przy okazji uda mu się zniszczyć wnyki kłusowników. Ale przede wszystkim chciał zbadać, czy para łosi, które tutaj zawędrowały późną jesienią i zapadły gdzieś w miejscowych bagnach, trzyma się jeszcze tej okolicy i zamierza osiedlić się na stałe.

Leśniczy wziął ze sobą pieska ułożonego znakomicie do

wystawiania zwierzyny. Kiedy tak szli przecinką, pies nagle skoczył w krzaki i zrobił stójkę. Leśniczy niczego nie dostrzegł w tym gąszczu, ale na wszelki wypadek krzyknął:

- Bierz!

Pies jednak nie skoczył w kierunku - jak to domniemywa Niemusiał - ukrytego dzika, lecz przebiegł z metr i gorączkowo zaczął odgrzebywać śnieg. Kiedy leśniczy doszedł do tego miejsca, wiemy wyżeł wygrzebał właśnie spod śniegu męski but. A w bucie tkwiła ludzka noga. Dalej pod śniegiem zarysowały się ciemne spodnie przykryte gałązkami jodły. Mały pagórek zdradzał, że pod nim kryje się reszta zwłok.

Niemusiał odciągnął psa i prawie biegiem ruszył do domu. Zatelefonował do Kórnika, skąd wysłano milicyjny radiowóz. Z trudem pokonywał śnieżne wydmy i różne zagłębienia terenu, wreszcie dotarł leśną przecinką w pobliże makabrycznego odkrycia.

Ostrożnie odgarnięto śnieg i usunięto gałęzie. Pod nim znajdował się trup jakiegoś młodego człowieka. Ten mężC2yzna ubrany był w kurtkę podbitą futerkiem. Pod nią miał marynarkę w brązową kratkę. Takież same spodnie. Był z gołą głową. Powód śmierci był jasny dla każdego. Z tyłu głowy widniała duża, krwawa rana. Tego człowieka zabito uderzeniem jakimś ciężkim przedmiotem. Ciało było całkowicie zmarznięte.

Pod zwłokami nie było śniegu. Tylko mały upływ krwi z rany świadczył, że mężczyznę zabito gdzie indziej, zaś zwłoki przeniesiono czy przewieziono tutaj i ukryto w krzakach. I to jeszcze nim spadł ostatni śnieg, a więc co najmniej przed dwoma dniami. Gdyby nie czujność psa Leona Niemusiała, zwłoki przeleżałyby w krzakach bardzo długo. Kto wie, czy nie wykryto by ich dopiero na wiosnę albo jeszcze później?

Ponieważ cały teren zasypany był świeżym śniegiem, milicja nie mogła odnaleźć żadnych śladów. Wprawdzie leśniczy twierdził że przed dwoma dniami słyszał, jak gdyby lasem jechał samochód, jednak nie widział tego auta i tylko przypominał sobie, że było to gdzieś około godziny dziesiątej rano.

Ekipa milicyjna dokonała normalnych w takich wypadkach

czynności. Sfotografowano zwłoki i cały teren, który także starannie przeszukano, lecz bez powodzenia. W kieszeniach zmarłego nie znaleziono żadnego drobiazgu. Mordercy dokładnie zrewidowali swoją ofiarę.

Wezwano przez radiotelefon karetkę i zwłoki przewieziono do prosektorium w Poznaniu. O całym wydarzeniu milicja w Kórniku zawiadomiła Komendę Wojewódzką.

Major Dobrzyński, któremu zakomunikowano o odkryciu w Lasach Kórnickich, podzielił się tą wiadomością z warszawskim kolegą.

- Obawiam się - powiedział - że spóźniliście się o dwadzieścia cztery godziny i wasz ptaszek już wam nic nie powie.

- Co się stało? - dopytywał się Kaczanowski - znaleziono go nieżywego?

- Tak. W lesie pod Kórnikiem. Wprawdzie przy zwłokach nie było żadnych dokumentów, ale jest to młody człowiek. Przypuszczam, że to wasz klient. Ponieważ mamy zdjęcie Pawła Wyganowskiego, zaraz pojadę do prosektorium. Spróbuję zidentyfikować zwłoki.

Rozdział dziewiąty
Kto zabił?

Nie było żadnych wątpliwości. W Lasach Kórnickich zamordowano Pawła Wyganowskiego. Świadectwo lekarza milicyjnego było zgodne z zeznaniami leśniczego. Ten człowiek zginął mniej więcej przed czterdziestu ośmu godzinami. Wprawdzie mróz i śnieg utrudniały ścisłe określenie godziny zgonu, wszystko jednak wskazywało na to, że tajemniczy samochód, którego warkot słyszał Leon Niemusiał, przywiózł morderców i ich ofiarę na to właśnie miejsce.

Pani Wartecka także zidentyfikowała zabitego. W mieszkaniu doktorowej przeprowadzono dokładną rewizję. Poza osobistymi rzeczami zmarłego znaleziono ukrytą za kaloryferem w pokoju sypialnym Pawła paczkę, w której

znajdowało się przeszło trzysta tysięcy złotych w banknotach pięćset i tysiączłotowych. Wprawdzie w Narodowym Banku Polskim, który w dniu napadu wypłacał pieniądze kasjerce Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie, nie odnotowano numerów banknotów, ale było prawie pewne, że pieniądze znalezione w willi wdowy po lekarzu pochodzą z tego rabunku.

A zatem jeden z przestępców, ten , który odpowiednio spreparował wiśniowego fiata, został odnaleziony. Niestety o dwadzieścia cztery godziny za późno.

Kaczanowski szybko podliczył: samochód BMW mógł kosztować około pół miliona. Najwyżej sześćset tysięcy złotych. Ubranie znalezione w willi - powiedzmy - sto tysięcy. Wydatki młodego człowieka w Poznaniu, w tym komorne za dwa wynajmowane pokoje oraz garaż chyba także nie przekroczyły stu tysięcy złotych. Gotówka trzysta tysięcy.

Młody przestępca zdołał z przypadającej na niego części zrabowanych pieniędzy wydać około miliona złotych. Na autostradzie pod Nadarzynem bandyci zagarnęli siedem milionów trzysta osiemdziesiąt sześć tysięcy. Najprawdopodobniej podzielili te pieniądze na trzy równe części. Na Pawła Wyganowskiego przypadało dwa miliony czterysta sześćdziesiąt tysięcy złotych. Gdzie w takim razie podziała

się pozostała kwota i gdzie jej szukać? Mało prawdopodobne, aby mordercy także obrabowali swojego wspólnika.

Doktorowa Wartecka zeznała, że przed trzema dniami, w godzinach popołudniowych, odwiedziło jej willę dwóch młodych ludzi. Specjalnie im się nie przyglądała, ale pamięta, że byli oni raczej średniego wzrostu. Obaj nosili modny zarost - taki mniej więcej na dwa palce - naokoło całej twarzy. Krótkie wąsiki. Zarost był ciemny. Młodzi mężczyźni nie odbiegali wiekiem od Pawła. Kolor oczu ukrywali za ciemnymi okularami. Nosili kurtki ortalionowe. Ten nieco wyższy brązową w jasne pasy, drugi ciemnoniebieską. Pytali o Pawła Wyganowskiego.

Student był właśnie w domu. Serdecznie przywitał gości i

zaprosił do swoich apartamentów. Wkrótce potem Paweł wyszedł na krótko z domu, zostawiając swoich przyjaciół. Prawdopodobnie udał się zakupy do pobliskiego sklepu spożywczego, aby zorganizować przyjęcie dla niespodziewanych gości. Przypuszczenia Warteckiej potwierdziły się, bo na drugi dzień po wizycie młodych ludzi sprzątając pokoje znalazła dwie butelki po winie, resztki wędlin, pudełko po sardynkach i szprotkach oraz szklanki z resztkami kawy.

- Czy pani wymyła te naczynia? - z odrobiną nadziei w głosie zapytał się major Dobrzyński.

- Oczywiście - odpowiedziała mocno dotknięta - zawsze wszystko dokładnie sprzątam. Przecież sam pan major widział, jaki porządek panuje w moim domu. Kurze ścieram codziennie. Pokoje pana Pawła są w największym porządku.

- Niestety! - westchnął Dobrzyński.

Poczciwa wdowa działając w najlepszej wierze zatarła ślady, jakie ewentualnie pozostawili w willi dwaj młodzi ludzie. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to właśnie ci dwaj „przyjaciele" pozbyli się lekkomyślnego wspólnika.

- Czy widziała pani ponownie tych gości ?

- Nie widziałam, kiedy wychodzili z mieszkania. Zapewne pan Paweł wypuścił ich przez werandę. Ale do późnej nocy słyszałam jakieś rozmowy w jego pokojach. Bawili więc dość długo. Zobaczyłam ich dopiero na drugi dzień.

- Znowu przyszli do mieszkania? A może nocowali?

- Na pewno nie nocowali. Znalazłabym jakieś ślady w pokojach pana Wyganowskiego. Jeśli weszli do mieszkania, to rano i przez werandę, bo nie dzwonili. W pewnym momencie usłyszałam, że pan Paweł wyprowadza samochód z garażu. Wyjrzałam oknem i zobaczyłam tych młodych ludzi, jak czekali na ulicy przed bramą wilii. Paweł wyjechał z garażu, zamknął bramę. On był zawsze bardzo porządny pod tym względem. Wtedy ci panowie wsiedli do auta i razem odjechali.

- Która mogła być godzina?

- Parę minut przed dziesiątą. Doskonale pamiętam, że zaraz po odjeździe samochodu słuchałam dziennika w radiu. A oni

nadają o dziewiątej.

- Dla mnie sprawa jest zupełnie jasna - stwierdził major Kaczanowski, kiedy już Wartecka wyszła z gmachu komendy MO - wspólnicy Pawła Wyganowskiego dowiedzieli się, jaki tryb życia prowadzi ich kumpel. Słusznie przewidywali, że ten piękny samochód, wynajmowanie apartamentu, eleganckie ubrania muszą zwrócić uwagę milicji na młodego człowieka. Bali się, że Wygnanowski po dostaniu się w nasze ręce zacznie sypać. Woleli go więc przedtem wyciszyć.

- I zrobili to z całą bezwzględnością - dodał Dobrzyński.

- Kiedy ratuje się własną skórę, w kąt idą przyjaźnie.

- To prawda. Szczególnie wśród młodych przestępców.

- Psiakrew - zaklął Kaczanowski - że też musiałem się spóźnić ten jeden dzień.

- Mnie się wydaje - zauważył poznaniak - że o pechu nie może tutaj być mowy. Ci dwaj dobrze wiedzieli, że muszą się śpies2yć i że lada dzień milicja zjawi się w willi doktorowej Warteckiej.

- Przecieki z naszej komendy? Niemożliwe!

- Może nawet gorzej niż przecieki - uśmiechnął się Dobrzyński - znam sprawę, bo kiedyś byłem na odprawie w KG MO w Warszawie i tam omawiano napad na samochód w Nadarzynie. Przecież tam występował umundurowany milicjant. Nie ma żadnych dowodów, że w milicyjnym mundurze występował człowiek nie pracujący w aparacie.

- Nie ma także dowodów - bronił się Kaczanowski - że to był prawdziwy milicjant.

- To racja. Ale musimy brać pod uwagę obie te ewentualności. To mógł być milicjant nawet z naszej Stołecznej Komendy. Takiemu stosunkowo łatwo byłoby się dowiedzieć, kim ostatnio zainteresował się major Kaczanowski.

- To okropne!

- Nie można wykluczyć, że tak było. Ale przecieki mogły nastąpić także w Nadarzynie. W takim małym mieście nic się nie ukryje. Znam to z własnego doświadczenia, bo tkwiłem przez sześć lat na stanowisku komendanta powiatowego w Poznańskiem. Zaś Nadarzyn to jeszcze mniejsze miasto niż

nasze siedziby byłych powiatów. Wystarczyło, żeby któryś z milicjantów zapytał matkę Wyganowskiego lub jej sąsiada, jak się Pawłowi powodzi w Poznaniu i skąd te eleganckie ubrania byłego gońca, żeby obudzić czujność przestępców.

- To by znaczyło, że przynajmniej jeden z nich mieszka w Nadarzynie.

- Niekoniecznie. Wystarczy, że ma kontakt z tamtejszym środowiskiem. Wydaje mi się, że wszyscy przestępcy stale dokładnie się obserwowali. Widzieli, że na miejscu nie pozostawili żadnych śladów i milicja prowadzi śledztwo po omacku. Orientowali się, że tylko ich własne

zachowanie może skierować na nich podejrzenie. Dlatego śledzili jeden drugiego, czy któryś się nie wychyli. Wychylił się właśnie Wyganowski. Myślał, że jeżeli zmieni miejsce zamieszkania, będzie zupełnie bezpieczny i zacznie spożywać słodkie owoce przestępstwa. Te pieniądze po prostu paliły mu ręce. Mieć przeszło dwa miliony złotych i w czwórkę mieszkać w akademiku oraz chodzić na chudą zupkę do studenckiej stołówki, zamiast jadać obiadki w „Polonezie”? Nie wytrzymał. Dlatego musiał zginąć.

- To prawda.

- Sądzę - ciągnął dalej Dobrzyński - że los Pawła i tak był już przypieczętowany. Wasz wywiad tylko przyśpieszył jego śmierć. Żyłby zapewne trochę dłużej i zginął w jakimś upozorowanym wypadku. Może by się utopił w Wiśle?

- Teraz zima. Wisła zamarznięta.

- Może dożyłby do wiosny? Albo wpadłby pod samochód prowadzony przez pirata drogowego. Zapił na śmierć? Możliwości jest bardzo wiele.

- Przestępcy znaleźli się w dziwnej sytuacji - roześmiał się Kaczanowski - każdy z nich ma w swoim ręku prawdziwą fortunę. Cóż z tego? Nie mogą używać pieniędzy, bo wiedzą, że to ich zdemaskuje.

- Na pewno jakie drobne sumki wydają ze swojego skarbu. Dwa, trzy tysiące miesięcznie. Takie małe podniesienie stopy życiowej jest nie do uchwycenia. Ale z milionów nie mają pożytku. Jeden z nich spróbował i gdyby nie leżał w naszej

kostnicy, to znajdowałby się w naszym więzieniu.

- A co z pozostałymi dwoma?

- Wydałem wszelkie konieczne zarządzenia - Dobrzyński uspokajał warszawskiego kolegę. - W całym kraju poszukuje się niebieskie BMW, a także dwóch młodych ludzi z zarostem na twarzy w ortalionowych kurtkach.

- Zarost zgolili, kurtki gdzieś wyrzucili, zaś samochód postawili na jakimś parkingu, jak to już zrobili raz w Warszawie. Przypuszczam, że natychmiast po morderstwie wrócili do Poznania lub dojechali do pierwszej stacji kolejowej i udali się do Warszawy. Na tym BMW im nie zależało.

- Nie wiadomo. Niech major nie zapomina, że to są młodzi ludzie. Tacy mogą dużo zaryzykować, aby się przejechać pięknym wozem. Także i w...

- Hotel - powiedział Kaczanowski.

- Jaki hotel? - major Dobrzyński w pierwszej chwili nie zrozumiał, co jego kolega miał na myśli. Jak zwykle, kiedy człowiekowi nagle przerwie się wątek rozumowania.

- Doktorowa Wartecka kategorycznie stwierdziła, że młodzi ludzie, którzy odwiedzili jej sublokatora, nie nocowali w pokojach Wyganowskiego. Gdzieś jednak musi się spędzić noc. Trzeba natychmiast sprawdzić hotel.

Poznaniak w głos się roześmiał.

- Warszawiacy uważają, że zjedli wszystkie rozumy świata, a inni na niczym się nie znają. Od razu po zeznaniach właścicielki willi moi ludzie przejrzeli księgi meldunkowe wszystkich miejsc noclegowych, w tym także hoteli i przesłuchali recepcjonistów, czy nie pamiętają takich młodych. Ale to spryciarze, takiego głupiego błędu nie popełnili.

- Pewnie przekimali na dworcu w poczekalni?

- Dworce kolejowe i autobusowe także mamy pod obserwacją. Wprawdzie ruch tam duży, ale nasi ludzie zwracają specjalną uwagę na tych, którzy te miejsca traktują jako dom noclegowy. Dwóch takich młodych chłopaków wpadłoby im w oczy. Sprawdziłem i tam, nikogo podobnego nie zauważyli.

- Przecież nie rozpłynęli się w powietrzu. Teraz zimno, nie mogli spędzić nocy w parku lub w krzakach nad Wartą.

- To prawda, ale w dużym mieście zawsze są jakieś możliwości noclegowe. Mogli mieć innych kolegów studiujących na tutejszych uczelniach. Przewaletowanie w akademiku nie jest takie trudne. Albo mieszkają tu jacyś ich krewni lub przyjaciele. Ten ślad jest całkowicie Spalony.

- W ogóle uważam, że cały Poznań jest spalony. Tutaj już nikogo ani niczego nie znajdziemy. Zbrodnię odkryto stosunkowo bardzo wcześnie, ale i tak dopiero w dwa dni po śmierci Wyganowskiego. Dla nas grubo za późno. Byłoby dziwne, gdyby przestępcy spokojnie siedzieli na miejscu, u was.

- Mogli gdzieś w pobliżu przywarować i czekać na rozwój wypadków. Na to, czy zwłoki zostaną odnalezione? Przecież to nie są zawodowi mordercy i nie wiadomo, jak się zachowali po zabójstwie. Zabił zresztą tylko jeden. Obdukcja zwłok stwierdziła, że Wyganowskiego pozbawiono życia jednym, bardzo silnym uderzeniem w tył głowy.

- Cóż z tego?

- Dla drugiego ze wspólników mógł to być ogromny wstrząs. Co innego w sprytny sposób ukraść nawet siedem milionów złotych, a co innego zabić człowieka. I to takiego, który był ich przyjacielem. Ten drugi mógł także uświadomić sobie, że teraz kolej na niego, żeby w jakimś innym lesie leżeć z rozwaloną głową.

- Nasza dyskusja podobna jest akademickim rozważaniom „co by było, gdyby". A mnie zależy - zaznaczył Kaczanowski - na jak najszybszym złapaniu przestępców i odzyskaniu reszty pieniędzy. Znowu nie mamy żadnych śladów.

- Samochód. To w tej chwili najważniejszy punkt śledztwa.

- Tak - przyznał Janusz - odnalezienie samochodu jest naszą szansą. Może tym razem mordercy popełnili jakiś błąd?

Tymczasem z całego kraju napływały do Poznania meldunki o niebieskich BMW. Okazało się, że tych wozów jest w Polsce więcej, niż to obaj oficerowie milicji przypuszczali. Na przykład w Olsztynie zatrzymano taki samochód. Przy kierownicy siedział młody człowiek. Miał nawet zarost. Towarzyszyła mu dziewczyna. Wóz posiadał rejestrację gdańską. Na szczęście chłopak, syn jednego z kapitanów żeglugi morskiej, wykazał się

niezachwianym alibi. Skończyło się więc na wylegitymowaniu.

W Krakowie zatrzymano samochód z poznańską rejestracją. Inżynier z „Cegielskiego" jechał z żoną na wczasy do Zakopanego. W Łodzi także dwóch młodych ludzi znalazło się w dość nieprzyjemnej sytuacji. Wraz z niebieskim BMW musieli udać się do Wojewódzkiej Komendy MO, gdzie ich dokładnie wyspowiadano, co robili w krytycznym czasie śmierci Pawła Wyganowskiego.

Najwięcej niebieskich BMW było w Warszawie. Tutaj ludzie majora Kaczanowskiego mieli pełne ręce roboty. Tym bardziej że dla milicji nie ulegało wątpliwości, iż mordercami studenta są mieszkańcy stolicy lub jej najbliższych okolic.

Całą tę „sieczkę", która do Poznania nadchodziła dalekopisami ze wszystkich stron kraju, major Dobrzyński pobieżnie przeglądał.

Ale oto z małego miasteczka Czmoń nadszedł telefon, który nie tylko zelektryzował naczelnika wydziału kryminalnego, ale całą milicję województwa poznańskiego postawił na nogi.

Rozpoczęła się wielka akcja milicyjna - pogoń za mordercami.

Rozdział dziesiąty
W pogoni za niebieskim BMW

Do Poznania zatelefonował komendant posterunku milicji w miasteczku Czmoń, leżącym około dziesięciu kilometrów na południe od Kórnika. Oto sam komendant zobaczył jadące przez miasto auto. Właśnie niebieskie BMW. W samochodzie siedziało dwóch młodych ludzi. Starszy sierżant wyskoczył na asfalt jezdni i ruchem ręki kazał się zatrzymać.

Na ten znak wóz przyśpieszył. Milicjant w ostatniej chwili zdążył odskoczyć na bok. Samochód zwiększając ciągle szybkość znikł na szosie w kierunku Śremu. Z posterunku milicji natychmiast połączono się z komendą MO w Śremie z prośbą o zablokowanie szosy w miejscowości Zbrudzewo, gdzie droga z Kórnika do Śremu łączy się z szosą Śrem-Środa

Wielkopolska. Na wszelki wypadek, gdyby akcja milicji śremskiej okazała się spóźniona i przestępcy już zdążyli osiągnąć Zbrudzewo, gorliwy sierżant uprzedził także posterunek milicji w miejscowości Zaniemyśl, leżącej przy szosie prowadzącej ze Śremu do Środy Wielkopolskiej, jak również Komendę Miejską MO w Środzie.

Po załatwieniu tych telefonów komendant posterunku w Czmoniu połączył się z Komendą Wojewódzką w Poznaniu i złożył jej szczegółowy raport ze swojego odkrycia i z przedsięwziętych czynności.

- Przedziwna historia. Aż mi się wierzyć nie chce -stwierdził major Kaczanowski. - Na trzeci dzień po morderstwie przestępcy przebywają jeszcze w pobliżu miejsca morderstwa i spokojnie jadą samochodem zrabowanym swojej ofierze.

- Po prostu nie domyślają się, że tak szybko wykryto zwłoki Pawła Wyganowskiego. Zatrzymali się w Kórniku lub w pobliskim Rogalinie i odpoczywali po przeżyciach. A teraz albo bocznymi szosami chcą się wydostać z naszego rejonu, albo wybrali się na wycieczkę krajoznawczą pięknym autem.

- To wprost nieprawdopodobne.

Tymczasem major Dobrzyński wydawał najrozmaitsze polecenia. Milicji we wszystkich miastach w szerokim rejonie naokoło Czmonia nakazał patrolowanie dróg wylotowych, zaś w razie pojawienia się niebieskiego BMW podjęcie pościgu przez radiowozy. Wszystkie radiowozy i wszystkie komendy milicji mają być w stałym kontakcie z Poznaniem albo bezpośrednio z majorem Dobrzyńskim, który osobiście objął dowództwo pościgu.

- Jedziemy na lotnisko - Dobrzyński po wydaniu poleceń swoim ludziom zwrócił się do majora Kaczanowskiego.

- Lecimy samolotem?

- Nie. Czeka na nas helikopter. Z niego będę kierował całą akcją. Z helikoptera będziemy utrzymywali łączność radiową z Komendą Wojewódzką w Poznaniu i z placówkami MO w tym okręgu, gdzie pojawia się poszukiwany przez nas samochód.

Przejazd „na syrenie" na lotnisko zajął nie więcej niż dziesięć minut. Tam już czekał helikopter, gotowy do startu. Gdy tylko

obaj oficerowie zajęli miejsca, maszyna powoli uniosła się w górę. Po uzyskaniu odpowiedniej wysokości skierowała się w stronę Śremu.

- Są jakieś nowiny? - Dobrzyński zapytał siedzącego obok pilota radiotelegrafistę.

- Komenda Wojewódzka milczy. Śrem stale melduje, że niebieskie BMW nie pojawiło się w Zbrudzewie, gdzie zrobiono blokadę przy pomocy dwu zatrzymanych ciężarówek.

- Na pewno się spóźnili ze swoją blokadą - złościł się poznaniak - z Czmonia do Zbrudzewa jest zaledwie dwanaście kilometrów. Zanim sierżant z Czmonia dodzwonił się do Śremu, BMW już było w Zbrudzewie.

- Śrem meldował, że nikt w Zbrudzewnie nie widział niebieskiego samochodu. Taki wóz także nie przejechał przez Śrem.

- A jakie wiadomości ze Środy Wielkopolskiej?

- Zaraz się z nimi połączę - za chwilę radiotelegrafista zaczął wywoływać - tu „żuraw", tu „żuraw", „brzoza", odezwij się, „brzoza", odezwij się.

- Tu „brzoza", tu „brzoza" - radiotelegrafista przełączył na głośnik, aby obaj oficerowie mogli słuchać - u nas bez zmian. Blokada w Zaniemyślu. Żaden niebieski wóz nie przejeżdżał przez to miasto. Ani przez Środę. Gzy trzymać blokadę dalej?

Dobrzyński spojrzał na zegarek. Od momentu odebrania telefonu z Czmonia minęło przeszło pięćdziesiąt minut. Szybkie „BMW" mogło teraz być już sto kilometrów dalej. Ale w jaki sposób minęli Śrem lub Środę, że ich nikt nie zauważył? Utrzymywanie blokady na tych szosach nie miało już żadnego sensu.

- Odwołuję blokadę — major polecił radiotelegrafiście przekazać ten rozkaz - ale radiowozy niech trzymają w pogotowiu.

- Jadąc ze Zbrudzewa w stronę Środy Wielkopolskiej -Dobrzyński miał mapę okolicy w głowie - można nie dojeżdżając do Zaniemyśla skręcić w prawo, w stronę Książa Wielkopolskiego. Zapytajcie, czy komenda w Środzie uprzedziła tamtych.

Operator znowu wywołał „brzozę”. Major z zadowoleniem usłyszał, że jego podkomendni w terenie spisują się na medal. Uprzedzono nie tylko Książ Wielkopolski, ale i inne miejscowości. Książ jest bowiem dość dużym węzłem dróg lokalnych. Można stąd dostać się do Świętomierza i dalej do Nowego Miasta nad Wartą lub w przeciwnym kierunku do Chrząstowa, Grzymisława i dalej do Śremu lub na południe do Dolska, który zresztą ma bezpośrednią szosę łączącą go z Książem. Wreszcie jest jeszcze jedna droga do miejscowości Mchy, skąd można jechać albo na Chwałkowo, albo na Niedźwiady. W tym labiryncie lepszych czy gorszych traktów BMW mogło się przemykać bezkarnie. Na szczęście zarówno Komenda MO w Śremie, jak i ta w Środzie Wielkopolskiej uprzedziły te miejscowości i kazano tamtejszej milicji uważać na pojazdy przejeżdżające tymi drogami.

Stale jednak nadchodziły ze wszystkich kierunków negatywne odpowiedzi. Nikt nie widział niebieskiego samochodu.

- Rozpłynął się w powietrzu? - denerwował się Kaczanowski.

Helikopter nadlatywał właśnie nad ten teren. Pilot wskazał na widniejące na wschodzie wielkie, równe, białe płaszczyzny. Wyglądające z góry i z daleka jak jakiś sznur parówek.

- Jeziora ciągnące się od Kórnika aż po Zaniemyśl. Osada z dymiącymi kominami to właśnie Zaniemyśl. A teraz przelatujemy nad Czmoniem.

Widać było asfaltową wstęgę szosy biegnącej wśród lasów rosnących po obu stronach drogi. Z daleka można też było dostrzec wijącą się kręto Wartę, a na południe większe zabudowania starego miasta Śremu.

Lecieli teraz nad tą szosą. Nagle pilot wykrzyknął:

- Tam! Jest! Widzicie? Wyskoczył z lasu.

Rzeczywiście, kilka kilometrów przed nimi nagle z lasu, a właściwie z bocznej drogi biegnącej wśród lasów, wyskoczyło niebieskie auto. Pędziło ile tylko mocy w silniku i za chwilę zginęło z oczu lecących helikopterem. Skryło się za pierwszymi domami Śremu. Radiotelegrafista zaczął wywoływać milicję w Śremie.

- Skąd on wyskoczył? - zdziwił się Kaczanowski. -Przecież nie przejeżdżał przez Zbrudzewo.

- Cwaniacy - pokwitował Dobrzyński. - Po minięciu Czmonia musieli skręcić na jakąś leśną przecinkę i dojechać nią do drogi Ozmoniec, Niesłabin, Śrem. Właśnie z niej wyskoczyli przed samym miastem.

Tymczasem nadszedł meldunek ze Śremu. Niebieskie BMW łamiąc wszystkie przepisy drogowe jak piorun przeleciało przez miasto. Kierowca skręcił na most przez Wartę i na szosę w stronę Czempinia. Milicyjny radiowóz pognał za nim.

- Jakie mają samochody? - zapytał Kaczanowski.

- Pewnie starą warszawę. Fiaty przydzielamy dość skąpo. Szybszych wozów potrzebujemy przede wszystkim w Poznaniu.

- Ta warszawa może do końca świata gonić BMW.

- My będziemy szybsi - pochwalił się pilot - moja maszyna, chociaż wolna, jednak prześcignie BMW. Ja w powietrzu mogę wyciągnąć i dwie setki na godzinę. Oni tego na tej drodze nie potrafią. Może na autostradzie?

Pilot nie przechwalał się. Zmusił swoją maszynę do maksymalnego wysiłku i już mieli pod sobą szosę do Czempinia. Na niej w dali poruszał się niebieski punkcik. Znacznie bliżej była jasna warszawa. Obserwatorzy z helikoptera ocenili, że odległość pomiędzy tymi dwoma pojazdami stale się powiększa.

- Zawiadomić Czempiń - denerwował się Dobrzyński.

- Już zawiadomiony - przyszła odpowiedź ze Śremu - przygotowują blokadę przed miastem.

Tymczasem helikopter wyraźnie zbliżał się do uciekającego samochodu. Coraz lepiej widać było jasnoniebieski wóz.

- Obniżcie się - polecił major - może uda nam się odczytać numer rejestracyjny. To by się przydało. Chociażby dlatego, aby przez omyłkę nie zatrzymano na trasie jakiegoś innego podobnego wozu.

Uciekający samochód znowu przyśpieszył. Szosa dobrze była oczyszczona ze śniegu. Soli także drogowcy nie żałowali. Radiotelegrafista wyciągnął lornetkę i starał się odczytać białe cyfry, figurujące na czarnej tablicy.

- Rejestracja poznańska - powiedział - to widać, ale reszta tak jest zachlapana błotem, że nie mogę odcyfrować.

- Musieli naumyślnie zapaćkać tablice rejestracyjne -powiedział Kaczanowski - stary kawał.

- To nic - pocieszał pilot - w Czempinie i tak ich złapią.

Jednakże pędząca maszyna nagle zwolniła bieg i gwałtownie skręciła w lewo. Wpadła w poślizg, ale jakoś się z tego jej kierowca wykaraskał. Teraz jechali wąską, boczną drogą. Tutaj śnieg nie był uprzątnięty. Tylko przejeżdżające pojazdy ubiły go w twardą skorupę. Pomimo to BMW doskonale trzymało się drogi i niewiele zredukowało swoją szybkość. Helikopter leciał nad nim. Operator łączył się ze Śremem i z Czempiniem podając im sytuację na trasie.

- Tu zaraz jest strzeżony przejazd kolejowy - powiedział Dobrzyński. Ten człowiek znał całe województwo chyba lepiej niż własną kieszeń. - Na nieszczęście nie mamy z nimi łączności, a nie zdążymy w inny sposób dać znać kolejarzom, aby opuścili zapory.

- Już przeskakują tor kolejowy - Kaczanowski nie spuszczał z oczu samochodu.

- Uprzedzić Turew - rozkazywał dowódca pościgu.

Zaraz jednak nadeszła odpowiedź, że Turewa nie można zawiadomić. Linia telefoniczna została w czasie ostatniej śnieżycy uszkodzona i jeszcze jej nie zdołano naprawić. W tej miejscowości nie ma radiotelefonu.

- W takim pościgu dopiero widać, jak jesteśmy nie doinwestowani - złościł się poznaniak - w każdej gminie powinna być łączność radiowa.

- A dużo major miał takich pościgów w ostatnich czach? - złośliwie zapytał Kaczanowski.

- Nigdy żadnego nie miałem - uczciwie przyznał poznaniak.

- Każda gmina ma już teleks. To zazwyczaj wystarcza, lamy pecha, że akurat wczoraj wichura uszkodziła linię.

- Do dzisiaj powinni naprawić.

- Oni także nie przewidywali pościgu. Naprawiali bardziej potrzebne połączenia - Kaczanowski już się uspokoił. Przecież lecieli nad ściganym samochodem. Uciec im nie mógł. Będzie

kluczył, próbował się wymknąć, ale ostateczny koniec akcji jest łatwy do przewidzenia.

A jednak tamci w aucie nie dawali za wygraną. Przejechali Turew i skierowali się na oddaloną od niego o pięć kilometrów Kopaszewkę. Ale nie dojechali do niej, lecz znowu nagle skręcili. Tym razem w jakąś leśną drogę. Las tu był gęsty, dróżka wąska, tak że helikopter od razu stracił ich z pola widzenia.

- Uciekli nam - zawołał radiooperator.

- Nie uciekną, nie uciekną. Muszą wyjechać z tego lasu. To nie żadna puszcza.

- Może porzucą samochód i będą uciekali pieszo? -zastanawiał się Kaczanowski.

- My będziemy patrolować szosę Kościan-Kunowo -polecał Dobrzyński - radiowóz ze Śremu niech stoi w Grabianowie. Przejazd kolejowy niech będzie stale zamknięty. Przeprowadzać wszystkie samochody i wozy tylko po dokładnym wylegitymowaniu jadących i spisaniu ich adresów. Niebieskie BMW zatrzymać. Czempiń niech obstawi wyloty dróg z Gorzyczki i Witówki. Zaś Kościan wszystkie drogi wylotowe ze szczególnym uwzględnieniem tej z Witówki. Jeśli będzie potrzeba, przygotować grupy operacyjne do przeczesania całego terenu w trójkącie Śrem, Kościan, Czempiń.

- Teraz nam się nie wymkną - cieszył się pilot - nie mają żadnej drogi, która nie byłaby obstawiona.

Helikopter wolniutko poruszał się na pewnej wysokości nad szosą do Kościana. Biegła ona wzdłuż linii kolejowej. I właśnie kiedy przelatywali nad stacją kolejową Racot, znowu zobaczyli niebieskie BMW. Ukazało się ono na przejeździe kolejowym, podjechało pod niewielki dworzec i nie skręcając na szosę zaczęło posuwać się wzdłuż torów kolejowych w stronę Kościana. Jak zwykle, tak i tutaj, koło torów biegła polna droga.

- Ale cwaniaki! - w głosie pilota brzmiał niekłamany podziw. - Do Kościana mają niecałe pięć kilometrów i tędy ominą blokadę.

Tymczasem radiotelegrafista już nadawał do komendy milicji w Kościanie odpowiedni meldunek o tym, że przestępcy zmierzają do miasta wzdłuż torów.

- Nie uciekną nam - pocieszał się major Dobrzyński -wyjazdy z Kościana są zablokowane. Żarty już się skończyły.

Samochód jechał dość wolno, bo na polnej drodze były zarówno zaspy śniegu, jak i wyboje. Trzeba je było wymijać, aby auto nie zawadziło o coś miską olejową. Mimo to do Kościana było tak blisko, że tamtejsza milicja na pewno nie zdąży zablokować i tej dróżki. Helikopter cały czas posuwał się nad niebieskim BMW.

Już zaczynały się ulice. Teraz samochód skręcił w jedną z nich i nie przyśpieszając specjalnie, skierował się do centrum. Przejechał kilka ulic, pokonał zakręty w prawo i w lewo i w końcu piękne BMW zatrzymało się przed jednym z bardziej okazałych budynków.

- Co do diabła! - zaklął Dobrzyński - przecież to miejska komenda milicji.

Z wozu wysiadło dwóch młodych ludzi i szybko weszło do środka gmachu

- Poddali się - zawołał radiotelegrafista - zrozumieli, że nie mają żadnych szans ucieczki.

- Musimy natychmiast wylądować - zadecydował Dobrzyński.

- Tu obok jest szkoła z boiskiem. Spróbuję tam usiąść -wyjaśnił pilot.

Tym razem absurdalny pomysł jakiegoś biurokraty z Ministerstwa Oświaty, by wyasfaltować wszystkie w kraju boiska szkolne, aby się nie nadawały do uprawiania jakiegokolwiek sportu, wyszedł milicji na dobre. Helikopter z warkotem wirnika delikatnie opuścił się w dół i dotknął płozami ziemi.

W szkole przerwano lekcje. Pomimo zimna otworzyły się wszystkie okna. W nich głowa przy głowie. Zarówno uczniów, jak i „ciała pedagogicznego". Także za siatką odgradzającą boisko od ulicy momentalnie zebrał się ciągle rosnący tłum gapiów. Taka sensacja! Helikopter w środku Kościana.

Jak tylko płozy stalowej ważki dotknęły asfaltu, Major Dobrzyński wyskoczył z maszyny i nie zważając na dostojeństwo piastowanej władzy, wysoki stopień służbowy oraz, co tu dużo mówić, dość zaawansowany wiek, biegiem pognał w kierunku pobliskiej komendy milicji. Jak burza wpadł do środka. Kaczanowski i radiowiec starali się nadążyć za naczelnikiem wydziału kryminalnego. Przy helikopterze pozostał jedynie pilot.

Dobrzyński wtargnął do pokoju przyjęć.

- Gdzie oni są? - zapytał.

- U komendanta - odpowiedział jeden ze znajdujących się w pomieszczeniu milicjantów i wskazał drzwi. Major otworzył je i wszedł do środka.

Za biurkiem siedział komendant MO w Kościanie, kapitan Nowicki. Przed biurkiem stało dwóch młodych ludzi. W ich pobliżu dwaj milicjanci. Na widok wchodzącego majora z Poznania kapitan poderwał się.

- Obywatelu majorze, melduję, że zgłosiło się tych dwóch i oświadczyło, że znaleźli i przyprowadzili pod komendę niebieski samochód BMW.

Dobrzyński przywitał się z kapitanem, przedstawił mu kolegę z Warszawy i zająwszy krzesło obok miejscowego komendanta, rozpoczął przesłuchanie.

- Imię i nazwisko? - zapytał stojącego z lewej strony przestępcę.
- Wacław Małkowski.
- Miejsce zamieszkania?
- Wieś Wólka Nowa pod Kórnikiem.
- Co?

-Wieś Wólka Nowa pod Kórnikiem - powtórzył młody człowiek.

- Dokumenty.

Chłopak sięgnął do kieszeni i położył na stole dość sfatygowany dowód osobisty. Major spojrzał na podany mu dokument i obecnym wydało się, że własnym oczom nie wierzy.

- A ty? - zapytał drugiego młodzieńca.
- Bogusław Pajdek.
- Skąd?

- Także ze wsi Wólka Nowa pod Kórnikiem - młody człowiek nie czekając na zaproszenie położył na biurku swój dowód.
- Skąd macie ten samochód? Niebieskie BMW?
- Znaleźliśmy - jednocześnie odpowiedzieli chłopcy.
- Tylko mi nie bujać.
- Kiedy naprawdę znaleźliśmy.
- Niech jeden mówi. Mów ty - major wskazał na wyższego z dwójki młodych. - Opowiadaj od początku
- Nasza wioska - rozpoczął swoją relację Bogusław Pajdek - leży trzy kilometry od Kórnika. W stronę Mieczewa i Rogalina. Koleżka i ja pracujemy w POM-ie w Kórniku. Do pracy dojeżdżamy przeważnie motorem. Obaj mamy WSM-ki. Ale że mieszkamy obok siebie, więc na zmianę jeździmy do pracy raz moją, raz jego. Przedwczoraj jechaliśmy jego gratem. Do nas jedzie się przez las. Droga wąska. Napadało przedtem dużo śniegu. Motor nie chciał ciągnąć i w połowie drogi całkiem nawalił. Akurat przy leśnej drodze, która prowadzi do dawnej gajówki, co ją hitlerowcy w czasie wojny spalili. Teraz tą drogą czasami wożą drewno z lasu.
- Mów o samochodzie - zniecierpliwił się major.
- Właśnie opowiadam, jak było - młody człowiek wcale się nie speszył. - Wacuś wziął się za dłubanie przy silniku, ja odszedłem trochę tą drogą. Po prostu za swoją potrzebą. Z daleka zobaczyłem jakiś biały pagórek. Zaciekawiło mnie to. Podchodzę bliżej, czy mnie oczy nie mylą, bo to chyba samochód? Rzeczywiście stoi gablota, i to jaka! Odgarniam śnieg, próbuję za klamkę. Drzwi otwarte. W środku nie ma nikogo, a kluczyki tkwią w stacyjce.
- Komu te bajeczki opowiadacie?
- Jak Boga kocham, prawdę mówię. Zawołałem Wacka, on także nie mógł się nadziwić. Odgarnęliśmy śnieg. W wozie była szczotka. Samochód nowiutki. Obejrzeliśmy naokoło, nie uszkodzony. Usiadłem za kierownicą. Obracam kluczyk w stacyjce. Rozrusznik od razu zaskoczył. Co robić dalej? Wacek mówi, żebyśmy zabrali wózek do siebie. Do stodoły. Jak się ktoś zgłosi, oddaliły., Nagroda za znaleźne przecież się należy.

- Nie kłam - przerwał major Dobrzyński.

- No... Może o nagrodzie tośmy nie mówili. Wyprowadziłem samochód na szosę. Wacek jakoś swój motocykl naprawił i jedziemy do Wólki. Podjechałem pod stodołę, otworzyłem wierzeje i wprowadziłem wóz na klepisko. Zamknąłem wszystko. Chyba nikt tego nie zauważył. Ojciec na drugi dzień dopiero spostrzegł, kiedy poszedł po siano dla krów, że mu w gospodarce coś przybyło. Ja już byłem w pracy.

- Dlaczego nie zameldowałeś milicji o znalezionym samochodzie?

- Komu miałem meldować?

- Milicji w Kórniku.

- BMW ma rejestrację z Kościana. Co kórnickiej milicji do tego wozu? Kiedy wróciłem po pracy, ojciec z miejsca do mnie z pyskiem, że jestem złodziej, że kradnę samochody. Nawet Wackowi nie chciał wierzyć. Kazał zaraz samochód odwieźć w to samo miejsce, gdzie stał. Ja się także wystraszyłem, bo w pracy koledzy opowiadali, że pod Kórnikiem, ale przy szosie do Poznania, w lesie znaleźli jakiegoś trupa. Myślę, może to ten od naszego BMW?

- Wiedziałeś o zabitym, a milczałeś o samochodzie -złościł się Dobrzyński.

- Postanowiliśmy więc z Wackiem, że nie będziemy odwozić gabloty do lasu, tylko dostawimy ją do milicji w Kościanie.

- A dlaczego nie w Kórniku? Przecież bliżej.

- Taka jest rejestracja. W Kórniku jeszcze by myśleli, żeśmy ten wózek rąbnęli i tego truposza przy okazji też. Woleliśmy do Kościana.

- Czego bujasz? Przecież uciekaliście przed milicją. Sam was ścigałem w helikopterze. Na szosach były blokady. Może nie tak było?

- Być może, że było, jak pan major mówi. Ale nie mogliśmy się zatrzymać. Gdyby nas złapano z tym samochodem na szosie, dla milicji bylibyśmy złodziejami. Atak, to w Kościanie oddajemy zgubę. Dobrowolnie przyjechaliśmy pod komendę, postawiliśmy wózek przed wejściem, a sami poszliśmy zawiadomić dyżurnego, że znaleźliśmy samochód i oddajemy

go do dyspozycji władzy.

Słuchający wywodów wiejskiego filozofa milicjanci, prócz majora Dobrzyńskiego, z trudem ukrywali śmiech.

- Kluczyliście jak zające.

- My tu, panie majorze, znamy wszystkie ścieżki i dukty leśne - dodał Wacław Małkowski. - Jako chłopcy włóczyliśmy się po tych lasach za grzybami czy też z wędką łapać ryby w jeziorach. A teraz czy to żniwa, czy orka, kiedy się jakaś maszyna rolnicza zepsuje, jedzie się do niej najkrótszą drogę i jak najprędzej. Radiowozom to byśmy tak uciekli, że i za miesiąc by nas nie znaleźli. Gorzej z helikopterem, ale i tak przed Kościanem nikt nas nie zatrzymał.

- Chcieliście przejechać komendanta milicji w Czmoniu. Będziecie za to odpowiadać.

- Widzieliśmy, że jakiś milicjant machał ręką - tłumaczył się Bogusław Pajdek - bo to ja prowadziłem wóz, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że nas chce zatrzymać. Myślałem, że chce dostać się do Śremu.

- To dlaczego nie jechaliście prosto do Śremu? Gdzie skręciliście z głównej drogi?

- Jakieś trzy kilometry za Czmoniem - wyłgiwał się Pajdek - jest leśny dukt do Niesłabii. Pojechaliśmy tamtędy, bo Wacek zna w Niesłabii dziewczynę, i chcieliśmy ją podwieźć.

- To gdzie ona?

- Po drodze Wacek przypomniał sobie, że Marysia wyjechała na tydzień do ciotki w Koszalińskie. Dlatego nie zatrzymywaliśmy się w tej wsi.

- W Śremie także nie zatrzymaliście się.

- A po co mieliśmy tam stawać? Przecież jechaliśmy do Kościana. Nikt nas w Śremie nie usiłował zatrzymać. W ogóle nikt nas nigdzie nie zatrzymywał. Nie widzieliśmy po drodze ani jednego milicjanta, krom tego w Czmoniu.

- Dlaczego nie pojechaliście prosto do Kościana, lecz kluczyliście po bocznych drogach i polnych traktach?

- Myśmy nie uciekali przed nikim - wiejski filozof omal do apopleksji nie doprowadził przesłuchującego go majora Dobrzyńskiego - gdybyśmy wiedzieli, że nas ścigają, to

stanęlibyśmy. Prawda, woleliśmy unikać po drodze milicji, bo jak się jedzie cudzym wozem bez żadnych dokumentów, to ze spotkania z władzą mogą wyniknąć nieprzyjemności. Najpierw zamkną, a dopiero później każą się tłumaczyć.

- To nawet helikoptera nie widziałeś?

- Widziałem. Helikopter leciał nad nami. Myśleliśmy, że lotnik robi jakieś ćwiczenia. Może panowie i krzyczeli do nas coś z góry, ale nie słyszeliśmy. Tylko warkot maszyny.

- Wziąć ich do „dołka" - rozkazał Dobrzyński. Nie mógł dłużej słuchać tych kłamstw pomieszanych z wyraźną kpiną.

- Za co, panie majorze? - protestował Wacław Małkowski. - Za to, żeśmy z dobrej woli przywieźli znaleziony samochód aż do samego Kościana? Nawet dzień pracy przez to straciliśmy.

Bogusław Pajdek nic nie mówił, tylko się uśmiechał opuszczając w towarzystwie przyjaciela i dwóch milicjantów gabinet komendanta.

- A to franty! - roześmiał się kapitan. - Co mam z nimi robić?

- Wypuśćcie ich za dwie godziny. Przedtem niech złożą zeznania do protokołu. Niech się nimi dalej martwi prokurator.

- Chyba nie będzie się martwił, po prostu umorzy sprawę. Ze względu na małą szkodliwość społeczną. Zarzut usiłowania zabójstwa sierżanta w Czmoniu nie przejdzie. Pozostaje jedynie niezatrzymanie się na żądanie milicji. Wykroczenie, za które można im kropnąć jakąś grzywnę - tłumaczył Kaczanowski.

- Wiem o tym i dlatego diabli mnie biorą. Rozwinęliśmy ogromną akcję. Helikopter, kilkanaście radiowozów, blokady na szosach. Co najmniej ze stu ludzi ciężko pracowało. l nic z tego.

- Szukaliśmy wielkiej ryby, a złapaliśmy dwie malutkie ploteczki.

- Sprawdźcie, czyj to samochód.

- Znamy ten wózek - roześmiał się kapitan - reprezentacyjne auto Kościana. To Stasia Bąkowskiego.

- Co to za Stasio?

- Bąkowski ma w Kościanie największy warsztat. Blacharka samochodowa. To BMW, zresztą nie takie nowe, jak wygląda, kupił od jakiegoś cudzoziemca, który rozbił samochód tu w

pobliżu, pod Śmigielem, na szosie E-83. Orzeczono, że wóz nadaje się wyłącznie do kasacji. Bąkowski nabył je dosłownie za grosze. Trochę w to pieniędzy wsadził, bo niektóre części musiał sprowadzać z zagranicy, resztę zrobił we własnym warsztacie. Ale już od dwóch miesięcy nie widziałem tego samochodu na ulicach Kościana - wyjaśniał komendant miejscowej milicji. - Słyszałem, że sprzedał, ale samochodu nie wyrejestrował.

- Dajcie tu tego Bąkowskiego - polecił Dobrzyński.

Za niecałe dziesięć minut do pokoju wszedł człowiek średniego wzrostu, o charakterystycznym długim nosie i z lekka kręconych włosach. Tak około czterdziestki. Był w mocno poplamionym kombinezonie, ręce także miał uwalane smarem.

- Co to znaczy, panie komendancie? - złościł się blacharz. - Przychodzi do warsztatu dwóch milicjantów i ciągnie mnie pod konwojem przez całe miasto jak pospolitego złodzieja. Teraz wszyscy w Kościanie będą mnie palcem wytykać. Klientelę mogę stracić.

- Nie przez całe miasto, a przez dwie ulice. Nie udawaj pan, panie Bąkowski, takiego świętego. Mam panu przypomnieć, jak po weselu Dobrowolszczaka nocował pan u nas w „dołku" za rozróby na Rynku?

- To było po pijaku. To co innego, to nie hańba. Ale dzisiaj, w biały dzień?

Milicjanci rzeczywiście trochę przesadzili. Zamiast wezwać właściciela warsztatu do Komendy MO, po prostu tam go doprowadzili. Mała, ale istotna różnica.

- Panie Bąkowski, co z pańskim niebieskim BMW?
- Widziałem przed chwilą, że stoi koło budynku.

Nie o to mi chodzi

- Sprzedałem ze dwa miesiące temu.
- Dlaczego?
- To dla mnie za elegancki wóz. Nawet w Urzędzie Finansowym dziwili się, że jeżdżę taką limuzyną za pół miliona złotych. Wolałem nie czekać, aż mi to podliczą.
- Gdzie i komu pan ją sprzedał?

- Jakiemuś Pawłowi Wyganowskiemu. Studentowi z Poznania.

- Za ile?
- Za dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Jego koszta. Pan przecież wie, kapitanie, że wózek nie był nowy, a po wypadku. Miał także już przeszło sto tysięcy zrobionych kilometrów. Za nowy wziąłbym dwa razy tyle.
- Pan znał tego Wyganowskiego?
- Pierwszy raz zobaczyłem go na giełdzie.
- Dlaczego pozostała stara rejestracja?
- Nabywca prosił, aby jeszcze rok nie zmieniać rejestracji.
- To wbrew przepisom. Samochód powinien być przerejestrowany w ciągu dwóch tygodni po zmianie właściciela.
- To prawda, ale jak się trafił nabywca i dobrze zapłacił, to co miałem robić? Zresztą spisaliśmy umowę, pokwitowałem mu odbiór pieniędzy i ustaliliśmy datę nowej rejestracji. A co on? Zabił kogoś?
- Gorzej dla niego. Sam został zabity.
- Ooo! - zdziwił i przestraszył się blacharz - przez kogo? Wypadek drogowy?
- Nie, zwykła zbrodnia. Poszukujemy morderców.
- To na pewno nie ja.
- Wcale pana o to nie posądzam. Czy Wyganowski mówił, dlaczego nie chce rejestrować samochodu na swoje nazwisko?
- Tak. Powiedział mi, że wygrał kilkaset tysięcy w totolotka. Mówił, że gdyby się rodzinka dowiedziała, że chłopak ma taki piękny, wózek, musiałby się przyznać do tej forsy, a wtedy oskubaliby go co do grosza.
- Muszę pana zmartwić, panie Bąkowski. Wyganowski pewnie wcale nie grał w totolotka. Te pieniądze pochodzą z rabunku. To był bandyta. Będzie pan musiał zwrócić dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy.
- Przecież to był student - blacharzowi nie mogło pomieścić się w głowie, że słuchacz wyższej uczelni może być bandytą - sam oglądałem jego legitymację politechniki poznańskiej.
- Studentem też był - uśmiechnął się Kaczanowski -miał dwa fachy. Łgarzem także był pierwszej klasy.
- Jak władza każe, to pieniądze zwrócę - zgodził się blacharz - ale BMW w takim razie wraca do mnie. Prawda, panie

majorze? Przecież jest rejestrowane na moje nazwisko. Nawet ubezpieczenie i podatek drogowy zapłaciłem w tym miesiącu.

- O pieniądzach i samochodzie będzie pan rozmawiał z prokuratorem, który prowadzi śledztwo. Nie my o tym decydujemy. Na razie samochodem zaopiekuje się komenda MO w Kościanie. Dokładnie obejrzymy i przeszukamy cały wóz. Może znajdziemy jakieś ślady morderców.

- To opieczętujcie wózek, a ja go schowam w swoim garażu. Po co ma się niszczyć stojąc na ulicy czy u panów na podwórzu. Przecież w waszych garażach i tak nie ma miejsca.

- Mnie wszystko jedno - zgodził się Dobrzyński - niech kapitan decyduje.

- Pogadamy o tym później, panie Bąkowski. Po oględzinach wozu. Na razie dziękuję panu i przepraszam za to doprowadzenie przez moich ludzi.

- Nie ma za co. Sam teraz rozumiem. Morderstwo!

- Niech pan jutro przyjdzie z dokumentami i umową kupna-sprzedaży. Musimy spisać formalny protokół.

Kiedy blacharz wyszedł, major Dobrzyński powiedział:

- Nic tu już po nas. Wracamy do Poznania. Przez tych dwóch cholernych chłopaków zaharowaliśmy się wszyscy. Z przyjemnością bym ich potrzymał dłużej w areszcie. Ale cóż, praworządność! Tylko nie zapomnijcie zdjąć im odciski palców. Do widzenia, kapitanie. Przyślijcie mi protokoły przesłuchań.

Tym razem wrócili prosto do Poznania, bez żadnych kluczeń po drodze. Marcowe słoneczko przebijało się przez chmury. Lecieli dość wysoko, więc major Kaczanowski z prawdziwą przyjemnością obserwował z góry panoramę pięknej i gospodarnej Ziemi Poznańskiej.

Rozdział jedenasty
A może dziewczyna?

Jeszcze jeden dzień major Kaczanowski pozostał w Poznaniu. Trzeba było pozałatwiać formalności związane z wyjazdem służbowym, zamienionym tak nagle w nieudany

pościg za mordercami Pawła Wyganowskiego. Zgodnie z przewidywaniami obu oficerów milicji samochód BMW miał całą masę odcisków palców. Znalazły się tam ślady Bąkowskiego i pracowników jego warsztatu blacharskiego. Były także odciski palców Pawła Wyganowskiego i dwóch szczęśliwych znalazców tego samochodu: Wacława Małkowskiego oraz Bogusława Pajdka. Ale żadnych innych. Mordercy byli zbyt sprytni, aby operować bez rękawiczek.

Odkryto jednak ciekawy przyrząd. Pomimo że BMW ma bardzo skomplikowane urządzenie blokady kierownicy, takie, że polscy złodzieje samochodowi, nie znający podobnych mechanizmów, nie potrafiliby sobie z nim poradzić, to auto miało dodatkowe zabezpieczenie. Prąd z cewki nie szedł bezpośrednio do aparatu zapłonowego, lecz specjalnym kabelkiem był prowadzony pod deską rozdzielczą. Tutaj znajdował się wyłącznik tak ukryty, że niewidoczny dla kierowcy. Dopiero przesunięcie wyłącznika pozwalało na uruchomienie wozu.

Poprzedni właściciel samochodu, Stanisław Bąkowski, kategorycznie stwierdził, że tego urządzenia w aucie dawniej nie było. Musiał je założyć Paweł Wyganowski. Rodzaj śrubek i ich rozstaw w podstawce wyłącznika ściśle pasował do otworków, jakie przestępca wywiercił pod deską wiśniowego fiata.

To był kolejny, wprawdzie pośredni, lecz bardzo ważny dowód, że właśnie Paweł Wyganowski był tym człowiekiem, który przerabiał fiata i umożliwił w ten sposób swoim wspólnikom zagarnięcie siedmiu milionów trzystu osiemdziesięciu sześciu tysięcy złotych, wiezionych na wypłatę do Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Przestępca pożałował wyłącznika i użył go ponownie w nabytym przez siebie samochodzie. Gdyby Wyganowski żył, taki maleńki przedmiot posłałby go na wiele lat do więzienia. W żadną bajeczkę o wygraniu w totolotka nikt by nie uwierzył.

Z mieszanymi więc uczuciami wracał do stolicy major Janusz Kaczanowski. Ogromnie żałował, że spóźnił się o dwadzieścia cztery godziny. Ujęcie Pawła Wyganowskiego

całego i żywego prawdopodobnie już by zakończyło całą sprawę. Student na pewno wsypałby resztę wspólników, aby dzięki temu uratować się przed bardziej surowym wyrokiem.

Ale trudno, stało się. Pomimo to Kaczanowski uważał, że odniósł sukces. No, może jeszcze niewielki sukces, ale przynajmniej sukcesik. Plama na jego milicyjnym honorze, jaką była decyzja prokuratury o umorzeniu śledztwa, została zmyta. Jednego z trzech przestępców udało się zdemaskować. Odzyskano także około sześciuset tysięcy zrabowanych pieniędzy, bo pan Bąkowski już na drugi dzień zwrócił te dwieście dziewięćdziesiąt otrzymane od Pawła Wyganowskiego za samochód. A więc pierwszy krok zrobiono.

Teraz, o tym major nie wątpił, mając nowe fakty w ręku, prokurator Boczkowski wznowi śledztwo. Teraz także najważniejszym zadaniem będzie szybkie odnalezienie reszty pieniędzy z „doli" Pawła Wyganowskiego.

Zdanie majora podzielał pułkownik Niemiroch, który bardzo życzliwie powitał powrót z Poznania swojego podwładnego. Również pewna dziewczyna wyraźnie się z tego powrotu ucieszyła i słówka nie powiedziała, że spodziewała się choćby jakiegoś małego kwiatka w podziękowaniu za przysługę. Ale Janusz nie miał teraz głowy do myślenia o takich drobiazgach.

Przede wszystkim dokonano szczegółowego przeszukania domku, w którym mieszkała matka zabitego, pani Janina Wyganowska. Pieniędzy tam nie znaleziono, natomiast wykryto wciśniętą w kąt strychu paczkę z szarego papieru, owiązaną sznurkiem. W paczce znajdowała się mała ręczna wiertareczka, parę wierteł i około trzech metrów kabelka. Takiego samego, jaki jest używany w instalacjach elektrycznych samochodów polski fiat. Był tam również jeszcze jeden wyłącznik.

Ostatnie wątpliwości, jeśli je ktokolwiek miał, co do roli, jaką w napadzie odegrał Paweł Wyganowski, obecnie zniknęły.

Jeżeli chodzi o pieniądze, major nie spodziewał się ich znaleźć w małym domku pod Nadarzynem. Nawet zdziwiło go wykrycie wiertarki. Taki sprytny chłopak i popełnił tak zasadniczy błąd? Widocznie żal mu było pozbyć się zupełnie nowego narzędzia i uważał, że milicja nie potrafi dobrze

szukać.

Przesłuchanie matki zabitego, Janiny Wyganowskiej, nie było najprzyjemniejszą czynnością, jaką major pełnił w zawodzie milicjanta. Biedna kobieta spłakała się w gabinecie oficera milicji.

- Pawełek był takim dobrym, grzecznym dzieckiem. Zawsze mi pomagał. Kiedy przejeżdżał z Poznania, nigdy nie zjawił się z pustymi rękoma. Pamiętał o mnie i o całej trójce rodzeństwa.

Major milczał. Byłoby niepotrzebnym okrucieństwem stwierdzenie, że prezenty to „dobre dziecko" kupowało za zrabowane pieniądze.

- Ja tam nie wierzę - ciągnęła dalej Janina Wyganowska - żeby Paweł ukradł jakieś pieniądze. Kiedy pracował w Zakładach, przecież pan dyrektor kazał mu różne rzeczy kupować w Warszawie, a syn nigdy nie wziął cudzego grosika. Nawet wtedy, kiedy udało mu się kupić coś taniej. Mało to razy nosił pieniądze panom dyrektorom? Po kilka tysięcy złotych albo i więcej. Nigdy nie złakomił się na cudze.

- Niestety, pani Wyganowska, mamy zupełnie pewne dowody, że Paweł brał udział w napadzie na przewóz pieniędzy z Warszawy do Nadarzyna. Zresztą w jego mieszkaniu znaleźliśmy trzysta tysięcy złotych w gotówce. Odnaleźliśmy także samochód, za który zapłacił dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy. Poza tym jugosłowiański kożuch, kurtka na futrze, osiem garniturów, krawaty, koszule. Za samo mieszkanie, a wynajmował aż dwa pokoje, płacił trzy tysiące złotych i jeszcze pięćset za garaż. Przecież nie z tego stypendium, które rzekomo dostawał.

- Pawełek ciężko pracował, dawał korepetycje - serce matki ciągle nie mogło uwierzyć oczywistym faktom - na uczelni chwalili go, dawali mu wysokie nagrody. On był bardzo pracowity.

- Pani Wyganowska... - Kaczanowski chciał kobiecinie wyjaśnić, że jej syn ledwie nie wyleciał z uczelni, nigdy żadnej nagrody nie dostał i nikomu żadnych korepetycji nie dawał, ale po namyśle doszedł do wniosku, że i tak matki nie przekona. Dla niej Pawełek pozostanie zawsze najlepszym, ukochanym

dzieckiem.

- To wszystko przez telewizję i przez kino. Takie filmy pokazują. Uczą, jak zabijać i rabować pieniądze. Albo inne zgorszenie. A powtarzałam Pawłowi, żeby tych świństw nie oglądał. A teraz go zabili - kobieta znowu zaczęła płakać.

Kaczanowski odczekał, aż się pani Wyganowska trochę uspokoi, i zapytał:

- Syn miał jakichś przyjaciół?

- Kiedy pracował w Zakładach, odwiedzali go koledzy. Ci, którzy z nim jeszcze chodzili do powszechniaka. Ale potem, kiedy zaczął dojeżdżać do Warszawy, do szkoły dla dorosłych, nie miał już czasu dla koleżków. Musiał się uczyć.

- A z kim tu się przyjaźnił?

Wyganowska wymieniła kilka nazwisk. Major skwapliwie je zanotował.

- Może miał jakąś dziewczynę?

- Paweł? Taki młody! Ale skądże.

Paweł Wyganowski w chwili śmierci skończył właśnie dwudziesty rok życia, ale matka widziała w nim nadal małe dzieciątko.

- Ostatnio nikt się o Pawła nie pytał? Nie dowiadywał się o jego adres w Poznaniu? Nie przychodziły tutaj jakieś listy do niego?

- Nie. To był taki dobry chłopiec... - matka znowu zaczęła płakać. - A co z nim? Bardzo się męczył przed śmiercią? Znęcali się nad nim?

- Zginął natychmiast. Nawet nie wiedział, że umiera -Kaczanowski tylko w ten sposób mógł pocieszyć matkę. -Uderzono go z tyłu. Nie spodziewał się tego.

- A co z ciałem? Przecież trzeba mu zrobić chrześcijański pochówek. Chciałabym go pogrzebać koło ojca. Na naszym cmentarzu.

- Ciało jest w Poznaniu, w kostnicy. Decyzja o wydaniu zwłok zależy od tamtejszego prokuratora. Ale nie przypuszczam, żeby się sprzeciwiał. Jeśli pani chce, zwrócimy się teleksem z zapytaniem do prokuratury poznańskiej.

- Bardzo bym była panu majorowi wdzięczna. Może pan

dyrektor Nadolny dałby samochód dla przewiezienia trumny?

Kobieta ciągle wycierając oczy cichutko opuściła gabinet oficera milicji. Kaczanowski zaś poszedł do pułkownika Niemirocha zdać mu relację z wyników przeszukania domku w Nadarzynie i z przesłuchania Janiny Wyganowskiej.

- Trzeba zainteresować się tymi chłopakami, dawnymi przyjaciółmi Pawła - postanowił pułkownik - i rozejrzeć się w szkole dla dorosłych. Ustalić, z kim Wyganowski zdawał maturę. Przeprowadzić wywiady z tymi ludźmi. Może oni wiedzą coś więcej o jego kontaktach i przyjaźniach?

- Przepraszam, pułkowniku, chciałbym tobie zadać jedno pytanie.

- No to wal.

- Gdybyś miał dwadzieścia lat i dwa miliony złotych, które musisz schować, jak byś to zrobił?

Niemiroch uśmiechnął się.

- To proste. Dałbym je swojej ukochanej dziewczynie z prośbą, aby schowała. Powiedziałbym jej, że od tego zależy cała nasza miłość i cała nasza przyszłość.

- Ja bym zrobił to samo - przyznał Kaczanowski.

- Ty byś podzielił pieniądze na kilkanaście części i każdą część dał innej swojej ukochanej - roześmiał się pułkownik - przecież ciebie znam, ty Turku. A jak ta mała z Nadarzyna? Już ją puściłeś w trąbę?

- Ale skądże znowu! - szczerze oburzył się Janusz i szybko dodał jako usprawiedliwienie - ja muszę mieć jakiś kontakt z Nadarzynem.

- To dobrze, że ci tylko o dobro śledztwa chodzi -Niemiroch powiedział to takim tonem, że Janusz nie wiedział, czy pułkownik mówi serio, czy też sobie z niego kpi. Wolał jednak nie dyskutować na ten śliski temat.

Pułkownik zerknął na zegarek. Jak zwykle każda minuta jego czasu była ściśle wyliczona. Więc jedynie dodał:

- No to dogadaliśmy się. Szukaj dziewczyny.

Na wniosek prokuratury generalnej śledztwo w sprawie zabójstwa Pawła Wyganowskiego połączono ze śledztwem o napad na samochód Zakładów Aparatury Precyzyjnej w

Nadarzynie. Obie sprawy przejął prokurator Boczkowski. Prokuratura poznańska przekazała swoje akta do Warszawy. Jeszcze przedtem prokuratura ta wyraziła zgodę na wydanie Janinie Wyganowskiej zwłok jej syna.

Dyrektor Nadolny miał dobre serce. Nie widział syna -bandyty, a tylko zbolałą matkę, długoletnią sprzątaczkę biura Zakładów. Posłał samochód do Poznania, dał Wyganowskiej zapomogę na koszty pogrzebu. A za benzynę zapłacił bodaj z własnej kieszeni.

Za trumną szła Janina Wyganowska z trojgiem pozostałych dzieci. Dalej trochę sąsiadów, a także grupa starszych kobiet i mężczyzn. Na pewno koledzy i koleżanki Janiny Wyganowskiej. Uderzała bardzo mała liczba młodzieży. Mimo że chowano człowieka, który przeżył zaledwie dwadzieścia lat.

Major Kaczanowski trzymał się z tyłu konduktu pogrzebowego. Na cmentarzu także stanął z boku. Dzięki temu miał lepszą perspektywę i mógł widzieć całość ceremonii oraz wszystkich jej uczestników. Oficer milicji z ironią przypomniał sobie ludową mądrość, że zabójca zawsze bierze udział w pogrzebie swojej ofiary. Tutaj na pewno zabójcy nie było. Na to był zbyt mądry.

Natomiast uwagę Kaczanowskiego zwrócił właśnie fakt, że tak mało młodych ludzi kroczyło za trumną. Prawdę więc mówiła matka, że Paweł Wyganowski w ostatnich czasach zerwał większość znajomości i przyjaźni ze swojego nadarzyńskiego otoczenia. Młodzi ludzie na ogół nie są anachoretami czy samotnikami. Paweł także nim chyba nie był? Jeśli decydował się na tak ryzykowny skok zdobycia milionów, robił to raczej z przyjaciółmi niż z przygodnie poznanymi „elementami" z „marginesu". Gdzie zatem szukać tych młodych zaprzyjaźnionych, a przynajmniej często stykających się z Wyganowskim? Czy będą mogli i chcieli udzielić jakichś wskazówek milicji, które by doprowadziły do ujęcia zabójców tego chłopaka?

Spostrzegawcze oko majora wyłowiło w tym niezbyt wielkim tłumku żałobników dwie młode dziewczyny. Jedna rozglądała się ciekawie po najwidoczniej nie znanym jej otoczeniu. Druga,

średniego wzrostu, sympatyczna babeczka o regularnych rysach twarzy i wyrazistych szarych oczach nie kryła przygnębienia. A gdy grabarze spuścili na pasach trumnę w głąb mogiły i na drewniane wieko zaczęły z głuchym łoskotem padać grudy ziemi, ocierała chusteczką załzawione oczy.

Kaczanowski dyskretnym ruchem ręki przywołał do siebie jednego z wywiadowców. Jak zwykle, przekorny oficer, także i na tę smutną uroczystość wziął kilku swoich ludzi. Okazało się, że są potrzebni.

- Te dwie - powiedział major półgłosem - ta w brązowym kożuchu wysoka brunetka i ta mniejsza, blondynka.

Chciałbym o nich wiedzieć coś bliższego. Gdzie mieszkają? Co robią? Ale tak, żeby niczego się nie domyśliły.

- Można je poderwać? Ta czarna nie byłaby od tego -wywiadowca był młodym człowiekiem i naprawdę przystojnym mężczyzną.

- Tego ci nie mogę zabronić - uśmiechnął się Kaczanowski - bądź jednak ostrożny. Żeby się, broń Boże, żadna nie domyśliła, w jakiej roli występujesz. Położyłbyś całą sprawę. Ale jeżeli już zapoznasz się z dziewczynami, wypytaj je o młodego Wyganowskiego. Skąd go znają? Czy wiedzą, w jaki sposób zginął i że brał udział w przestępstwie? Ale to musi być koronkowa robota.

- Zrobi się - wywiadowca odsunął się od majora i wmieszał w tłum żałobników.

Już na drugi dzień sprytny milicjant meldował Kaczanowskiemu:

- Ta starsza to Wiśka Kosińska. Pracuje w „Samie" spożywczym na Solcu. Mieszka w nowych blokach przy ulicy Kijowskiej. Fajna babka. Z Wyganowskim zdawała razem maturę. Przyszła na pogrzeb dlatego, że ta druga ją o to prosiła. Nie chciała być sama. Jagoda Olesiak, ta blondynka, była dziewczyną Wyganowskiego. Chodziła do tej samej szkoły dla dorosłych, co on, ale była o dwie klasy niżej. Dopiero w tym roku będzie robiła maturę. Z Wiśką znają się od dawna, ponieważ mieszkały w jednej kamienicy przy ulicy Wroniej. Potem Wiśka dorobiła się własnej chaty na Kijowskiej, zaś

Jagoda pozostała z rodzicami na Wroniej. Pod numerem sześćdziesiątym trzecim.

- Co mówiły o Pawle?

- Dopóki Wiśka była z Jagodą, żadna nie puściła farby. Dopiero kiedy zaproponowałem, żebyśmy poszli do „Hortexu" na lody, Jagoda bez humoru i widząc, że podrywam Wiśkę, spłynęła. Wtedy Wiśka wygadała się, że wie coś niecoś. Ja także napomykałem, że z Pawłem nie było wszystko w porządku. Wiśka wiedziała, że Wyganowskiego zabili i że były to jakieś porachunki o pieniądze. Ale o napadzie nic nie mówiła. Chyba się nie orientuje, że Paweł uczestniczył w tym skoku.

- A co mówiła o Jagodzie?

- Niewiele. Jagoda podobno bardzo się zadurzyła w tym chłopaku. Dostała od niego pierścionek. Złoty z rubinowym oczkiem. Paweł zapłacił u „Jubilera" aż siedem tysięcy złotych za to cacko.

- Miał z czego - roześmiał się major.

- Jagoda także chwaliła się Wiśce, że Paweł obiecywał jej, iż na jesieni, a najpóźniej w zimie tego roku, pobiorą się. Jagoda miała jechać do Poznania i tam pracować, a Paweł uczyłby się dalej. Wiśka uważała, że to nieprawda i że Jagoda tak się przechwalała przed przyjaciółką. W ogóle odniosłem wrażenie, że Wiśka nie bardzo lubiła Pawła. Określiła go jako zarozumiałego smarkacza.

- Nie wiecie dlaczego?

- Panie majorze - odpowiedział wywiadowca - jak na krótki czas, to i tak dobrze wyspowiadałem dziewczynę. Umówiłem się z nią na sobotę, do dyskoteki.

- Widzę, że idziesz na całość.

- Zawsze biorę przykład ze swoich zwierzchników -dość bezczelnie odpowiedział Adam Dziuba. Ale zaraz się tego przestraszył, bo dodał: - Ja tylko dla dobra służby i z polecenia obywatela majora.

Kaczanowski nie poczuł się dotknięty.

- Dobrze, dobrze - powiedział - nic mnie nie obchodzi, w jaki sposób zdobywacie materiał. Bylebym tylko miał dobry wywiad.

- Major może na mnie polegać. W poniedziałek zgłoszę się z nowymi wiadomościami.

Już drogą administracyjną, przez dzielnicowego, Kaczanowski ustalił, że Jagoda Olesiak ma zajęcie u pewnego prywaciarza z pawilonów na Marszałkowskiej. Posiada młodszego brata, który chodzi do powszechniaka. Ojciec Jagody jest kolejarzem na Dworcu Gdańskim, zaś matka pracuje u „Róży Luksemburg". Rodzina spokojna. Nigdy żadnych awantur ani sporów z sąsiadami. Mieszkanie dość duże, przedwojenne. Odziedziczone jeszcze po rodzicach Olesiaka.

W szkole Jagoda uważana była za jedną z najlepszych i najpilniejszych uczennic. Zwierzała się opiekunce klasowej, że jeszcze w tym roku wychodzi za mąż. I to za chłopaka, którego poznała właśnie w tej szkole. Nauczycielka zresztą znała Pawła Wyganowskiego, gdyż i on był jej uczniem. Nieraz widziała tych dwoje razem i domyślała się, że łączy ich coś więcej niż przygodna szkolna znajomość.

O Pawle Wyganowskim wykładowcy w szkole dla dorosłych przy ulicy Świętokrzyskiej niewiele mogli powiedzieć. Wiedzieli, że jest to niezamożny chłopak. Widać to było po jego ubraniu. Raczej nie utrzymywał bliższych znajomości z kolegami z tej samej grupy. Według profesorów główną tego przyczyną było właśnie ubóstwo młodego człowieka.

Natomiast profesorowie podkreślają ogromną jego ambicję. Uczył się nieźle, chociaż nie był prymusem. Każde nawet drobne niepowodzenie głęboko przeżywał. Nigdy nie wspominał o sobie ani o swojej rodzinie. Tę postawę przyjmowano ze zdziwieniem. W szkole dla dorosłych przedział pomiędzy wykładowcami i słuchaczami jest znacznie mniejszy niż w szkołach normalnych. Granica wieku zaciera się i często się zdarza, że uczeń jest starszy od profesora.

Sprytny wywiadowca, Adam Dziuba, znowu przyniósł garść wiadomości o Pawle. Informatorką była oczywiście Wiśka Kosińska. Wyganowski kiedyś się przechwalał, że jest na drodze do wielkiego wynalazku, który przyniesie mu sławę i ciężkie pieniądze. Te ostatnie były dla młodego człowieka

wszystkim. Ich zdobycie celem życia. Nie lubił i nie umiał się bawić. Ekspedientka z „Samu" dziwiła się swojej młodszej koleżance, że ta tak się zadurzyła w tym nieciekawym chłopaku. Próbowała jej to wyperswadować, ale bezskutecznie.

Paweł dziwnie krył się ze swoją miłością do dziewczyny. Wymógł na Jagodzie, że nic o tym nie powie swoim rodzicom. Ani razu też nie zabrał jej do Nadarzyna. Jagoda w ogóle nie znała Janiny Wyganowskiej ani rodzeństwa narzeczonego. Tylko Wiśka była wtajemniczona w ten romans i to zresztą ku wielkiemu niezadowoleniu młodego człowieka.

To były drobiazgi. Ale z tych drobiazgów major Kaczanowski zbudował sobie sylwetkę przestępcy i jego dziewczyny. Uważał, że teraz może przystąpić do decydującej akcji. Był zupełnie pewien, gdzie ukryte są pieniądze zrabowane w wiśniowym fiacie. Kiedy Jagoda Olesiak skończyła pracę i wyszła na ulicę, podszedł do niej jakiś mężczyzna i zapytał:

- Pani Jagoda Olesiak?

Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na nieznajomego. Nie robił wrażenia podrywacza. Ale skąd znał jej nazwisko?

- MO - wyjaśnił wywiadowca pokazując legitymację -w związku ze śmiercią Pawła Wyganowskiego musimy panią przesłuchać. Pojedziemy do Pałacu Mostowskich. Samochód czeka. Proszę ze mną.

Kilkanaście metrów dalej stał jasny fiat. Ze zwykłą rejestracją, ale z kierowcą w milicyjnym mundurze. Dziewczyna bez protestu wsiadła do auta.

Przesłuchanie major Kaczanowski zorganizował według wszelkich reguł. Prowadził je osobiście, w asyście swojego pomocnika, porucznika Smulskiego. Przy maszynie do pisania zasiadła jedna z funkcjonariuszek milicji.

Zarówno ona, jak i porucznik byli w mundurach. Na stole stał przygotowany magnetofon.

Oficerowi milicji chodziło o to, aby dziewczyna widziała, że przesłuchanie to nie żadne przelewki, lecz sprawa poważna. A wszelkie kłamstwa i matactwa mogą Jagodzie jedynie zaszkodzić.

Po ustaleniu danych personalnych i po pouczeniu Jagody

Olesiak, że jest przesłuchiwana w charakterze świadka oraz że fałszywe zeznania są surowo karane, Kaczanowski zapytał:

- Przed paru miesiącami, było to we wrześniu albo w październiku ubiegłego roku, Paweł Wyganowski dał pani pewną paczkę, może to była teczka, z prośbą o przechowanie. Prawda?Dziewczyna żachnęła się, ale odpowiedziała spokojnie.
- Nie.

Kłamie - stwierdził w myśli Kaczanowski, a głośno zapytał:

- Pani była narzeczoną Pawła?
- Byłam.
- Mieliście się pobrać jesienią albo na Boże Narodzenie.
- Tak, ale Paweł nie żyje.
- Czy pani wie, jak zginął Paweł?
- Wiem, że zmarł tragicznie. Słyszałam, że zabili go jacyś chuligani.
- A my wiemy, że Paweł Wyganowski dał pani pewną paczkę. Mówił, że to są plany wielkiego wynalazku, który przyniesie mu sławę i pieniądze. To bardzo ładnie, że pani dochowuje lojalności nawet nieżywemu.

Dziewczyna milczała.

- Niestety - ciągnął dalej oficer - muszę powiedzieć coś, co na pewno będzie dla pani przykrym zaskoczeniem i zburzy jej obraz ukochanego człowieka.

Jagoda Olesiak ze zdziwieniem spojrzała na majora.

- Paweł Wyganowski nie był żadnym wynalazcą. Był bandytą! - brutalnie powiedział Kaczanowski.

Dziewczyna zerwała się z miejsca. Przez chwilę milicjanci myśleli, że rzuci się z pięściami na oficera. W porę opanowała odruch.

- To nieprawda, nieprawda! - prawie krzyczała. - Paweł był najlepszym człowiekiem na świecie - załamana, usiadła z powrotem na krześle i zaczęła płakać.

Porucznik Smulski nalał do szklanki wody i podał ją Jagodzie. Trzęsącą ręką doniosła szkło do ust. Wypiła parę łyków. Otarła oczy chusteczką.

- Niestety, to prawda - poważnie stwierdził major. -Wyganowski brał udział w rabunku siedmiu milionów złotych

w Zakładach Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Napad zorganizowano w dniu szóstego września ubiegłego roku. Wszystko wskazuje na to, że Pawła zabili jego wspólnicy.

- Dlaczego?

- Wyganowski w Poznaniu zaczął prowadzić rozrzutny tryb życia. Wynajmował dwa luksusowe pokoje. Kupił futro i kilka drogich ubrań oraz luksusowe auto za trzysta tysięcy złotych. Zresztą kiedy Wyganowski przyjeżdżał do Warszawy, sama pani zauważyła zmiany w jego trybie życia. Opowiadał, że udziela dobrze płatnych korepetycji. To takie same bajeczki, jak te o wielkim wynalazku. Wspólnicy słusznie obawiali się, że taki styl życia młodego człowieka, dawniej raczej bardzo niezamożnego, zwróci uwagę milicji i zagrozi także ich bezpieczeństwu. Dlatego postanowili zamknąć Wyganowskiemu usta na zawsze.

Dziewczyna milczała, ale szarpanie trzymanej w rękach chusteczki świadczyło o jej zdenerwowaniu.

- W mieszkaniu Wyganowskiego, w Poznaniu, znaleźliśmy ukryte trzysta tysięcy złotych. Inne jego wydatki na życie, kupno ubrań i samochodu wyniosły plus minus około czterystu tysięcy. Jeśli więc w napadzie brały udział, jak przypuszczamy, trzy osoby, to z podziału zrabowanej kwoty wynika, że każdy uczestnik otrzymał przeszło dwa miliony czterysta tysięcy. Pawłowi Wyganowskiemu pozostało więc jeszcze około miliona siedmiuset tysięcy złotych. Te pieniądze ukrył u pani.

Dziewczyna milczała.

Kaczanowski otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął z niej kartkę papieru. Podał Jagodzie Olesiak.

- To jest - wyjaśnił - nakaz przeszukania mieszkania pani rodziców, z którymi pani żyje pod jednym dachem. Nakaz podpisany przez prokuratora.

Dziewczyna przeczytała podany jej dokument. Zaś major kończył swoją myśl:

- Niech się pani zastanowi. Przecież tę paczkę i tak znajdziemy. Wtedy pani będzie kamie odpowiadała za pomoc w przestępstwie. Jaki wstyd nie tylko dla pani, ale przede wszystkim dla ojca i matki. Aresztowanie na parę miesięcy

przed maturą przekreśla pani plany. Co innego, jeśli pani nam tę paczkę odda dobrowolnie. Przecież pani nie wiedziała, co ona zawiera. Wprowadzono panią w błąd. A beznadziejnym uporem łamie sobie pani życie.

Znowu zapadło milczenie. Znowu przerwał je major.

- Chciałbym dać pani dowód mojego życzliwego stosunku do niej. Pani sama pójdzie do domu i przyniesie tutaj tę paczkę. Rozpakujemy ją wspólnie. Jeżeli me będzie tam pieniędzy, a tylko jakieś plany czy opisy wynalazku, nawet nie będę tego czytał i w całości pani zwrócę. Daję na to słowo honoru.

- Ja... Ja naprawdę nie wiem, co jest w tej teczce wyjąkała Jagoda. - Nigdy do niej nie zaglądałam. Przysięgłam Pawłowi, że nigdy nie będę tego sprawdzać i nikomu jej nie oddam.

- Pani nie odda. Pani sama w tym pokoju otworzy teczkę. Jeśli są w niej pieniądze pochodzące z rabunku, trzeba będzie je zwrócić prawowitemu właścicielowi . Paweł nie żyje i nie zobowiązuje już przysięga wobec zmarłego.

Znowu zapanowała cisza. Tym razem pierwsza odezwała się dziewczyna:

- Wierzę panu, majorze. Przyniosę wam tę teczkę.
- Dla bezpieczeństwa będzie pani towarzyszył jeden z naszych ludzi. W cywilnym ubraniu.

Jagoda Olesiak wyszła z gabinetu wraz z wezwanym tu wywiadowcą. Porucznik Smulski bardzo podniecony zawołał:

- Wygraliśmy! Przyniesie te pieniądze.
- I tak znaleźlibyśmy je podczas przeszukania. To uczciwa dziewczyna. Paweł na pewno nie wtajemniczał jej w swoje brudne interesy. Powierzonej jej paczki Jagoda nie ukrywała. Przypuszczam, że trzyma ją wraz ze swoimi rzeczami. Cieszę się, że przyjęła nasze warunki. Szkoda by było zamykać ją w więzieniu.

- Jak pan do tego doszedł, że pieniądze są u niej? -dopytywał się porucznik.

Kaczanowski uśmiechnął się z zadowoleniem. Podziw młodego oficera sprawił mu prawdziwą przyjemność.

- Znajomość życia - odpowiedział - a poza tym było się kiedyś młodym.

Po półgodzinie panna Jagoda wróciła w towarzystwie czuwającego nad jej bezpieczeństwem milicjanta. Położyła na stole starą, mocno podniszczoną raportówkę.

- Nie ruszałam jej i nigdy nie zaglądałam do środka -powiedziała.

- Proszę, niech ją pani otworzy.

Jagoda Olesiak wyjęła z teczki cienki pakiet z szarego papieru, obwiązany sznurkiem i ostemplowany ośmioma czerwonymi lakowymi pieczęciami.

Oficerowie milicji byli zaskoczeni. Wiedzieli przecież, że z samochodu zrabowano wielką, pękatą skórzaną torbę. Była ona wypełniona głównie banknotami po sto i po pięćset złotych. Banknotów tysiączłotowych było tam stosunkowo mało. Ani jednej dwutysiączki. Jeżeli bandyci podzielili się po równo, paczka powinna być co najmniej dziesięciokrotnie większa. Chyba że Paweł Wyganowski podzielił swój skarb i oddał na przechowanie w różne ręce.

- Zgodnie z naszą umową - powiedział Kaczanowski -pani sama otworzy tę paczkę. Jeśli to są jakieś plany, nie będziemy ich badać. Proszę, oto nożyczki.

Dziewczyna rozcięła sznurki i rozerwała pieczęcie. Rozwinęła szary papier. Wewnątrz ukazały się zadrukowane papiery. Dopiero po odwróceniu ich obecni w pokoju poznali, że są to sześcioprocentowe bony oszczędnościowe PKO. Każdy bon na dziesięć tysięcy złotych. Jagoda, która pierwszy raz widziała takie papiery wartościowe, musiała je dokładnie przeczytać, aby się zorientować, że trzyma w ręku poważną fortunę.

Porucznik Smulski wziął bony i zaczął uważnie liczyć. Było w paczce równo sto sześćdziesiąt sztuk. Po dziesięć tysięcy każdy, razem milion sześćset tysięcy złotych. O sto tysięcy mniej, niż to zakładał major Kaczanowski. Widocznie Paweł Wyganowski był bardziej rozrzutny, niż go oceniał major.

- Sama pani widzi, jak wyglądają wynalazki Pawła Wyganowskiego - zauważył porucznik Smulski. - Chce pani sprawdzić sumę?

Jagoda Olesiak nie odpowiedziała. Wybuchnęła głośnym

płaczem. Zapewne nie żałowała zmarłego narzeczonego, lecz swoich zawiedzionych nadziei i tego, że człowiek, którego niewątpliwie kochała, okazał się tak fałszywy i tak podły. Ani obaj oficerowie, ani kobieta, funkcjonariuszka milicji, niewiele zresztą starsza od Jagody, nie usiłowali jej pocieszać. Taki ból musi się sam wypalić.

Kiedy dziewczyna trochę się opanowała, major Kaczanowski polecił maszynistce napisać odpowiednie zaświadczenie, że Jagoda Olesiak zgłosiła się do Komendy Stołecznej MO i przyniosła pakiet dany jej na przechowanie przez Pawła Wyganowskiego. Przechowująca nie znała zawartości powierzonego jej depozytu.

Sporządzono także drugi dokument: pokwitowanie odbioru od Jagody Olesiak stu sześćdziesięciu bonów PKO. Każdy bon na dziesięć tysięcy złotych. Razem: milion sześćset tysięcy.

Podpisała kopie obu dokumentów i schowała do torebki oryginały. Major poprosił porucznika o odwiezienie dziewczyny służbowym samochodem do jej mieszkania.

Pułkownik Niemiroch w całej rozciągłości zaaprobował postępowanie swojego podwładnego.

- Miałeś rację, że tak pokierowałeś sprawą. Naturalnie można było nic nie mówić i tylko zjawić się w mieszkaniu z nakazem przeszukania. Wtedy Olesiak miałaby duże nieprzyjemności. Prokurator i sąd mogliby nie uwierzyć, że dziewczyna nie znała zawartości pakietu. Stało się lepie]. Pieniądze i tak odzyskaliśmy. O to przede wszystkim chodziło Widzę, Januszku, że nareszcie wraca twoja zwykła dobra passa

Kiedy major wychodził z gabinetu, Niemiroch dorzucił:

- Mam nadzieję, Janusz że nie spróbujesz poderwać tej małej.

Rozdział dwunasty
Gdzie jest krawiec?

Zastanawiając się nad sprawą i po raz chyba setny przeglądając akta napadu na samochód Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie i zabójstwa Pawła Wyganowskiego w

lesie pod Kórnikiem, major Janusz Kaczanowski wpadł na nowy pomysł. W środowisku milicyjnym nadal podejrzewano, że jednym z bandytów mógł być ktoś spośród nich. Teraz należało to potwierdzić lub obalić.

Aby zamordować studenta, przestępcy, a jak to stwierdziła doktorowa Wartecka, było to dwóch młodych ludzi, musieli przebywać w Poznaniu przynajmniej dwa dni. Jednego dnia przyjechali, odwiedzili Wyganowskiego i bawili w jego mieszkaniu do późnych godzin wieczornych. Zaś drugiego dnia wyjechali ze studentem jego samochodem w nieznanym kierunku. Z willi doktorowej Warteckiej wyruszyli około godziny dziewiątej rano. Ciało zabitego znaleziono w Lasach Kórnickich. Jazda z Poznania zajęła im około godziny.

Popełnienie zbrodni to tylko moment. Ale przeniesienie czy też przewiezienie zwłok w głąb lasu, ukrycie ich w krzakach oraz nacięcie świerkowych gałęzi i przykrycie nimi zaimprowizowanej mogiły mogło trwać i dwie godziny.

Dla majora Kaczanowskiego nie ulegało wątpliwości, że zabójcami Wyganowskiego są ci dwaj z autostrady, którzy zawładnęli fiatem przewożącym pieniądze. A więc jednym z morderców jest ten prawdziwy czy też fałszywy milicjant. Obaj bandyci musieli pochodzić z Warszawy lub z jej najbliższych okolic. Inaczej nie mogliby nawiązać kontaktu i zdobyć takiego zaufania Pawła Wyganowskiego, aby ten zdecydował się razem z nimi na tak ryzykowny wyczyn.

Z Kórnika nie ma żadnego bezpośredniego połączenia z Warszawą: Przestępcy po dokonaniu zbrodni musieli zatem wrócić do Poznania. Skorzystali zapewne z komunikacji autobusowej, bo jak stwierdziła to poznańska milicja, żaden taksówkarz w dniu czwartego marca nie przewoził dwóch młodych ludzi z Kórnika do miasta wojewódzkiego. Zresztą połączeń autobusowych Kórnik ma sporo.

Z obliczeń Kaczanowskiego wynikało, że zabójcy powrócili do Poznania najwcześniej gdzieś około godziny drugiej po południu. Najbliższe połączenie z Warszawą mieli około godziny piątej, zaś w stolicy mogli być z powrotem o dziesiątej wieczorem. Jeśli zabójcą Wyganowskiego był milicjant, nie

mógł on przez dwa dni: trzeciego i czwartego marca pełnić służby.

Oczywiście trzeba było wziąć pod uwagę, że ten człowiek miał w tym czasie urlop, mógł wyłudzić od lekarza zwolnienie z pracy lub też za zgodą swoich przełożonych postarać się o zastępstwo.

Ale to wszystko można sprawdzić. Tym bardziej że zarówno pracownicy Zakładów Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie, mający bezpośrednią styczność z przestępcami, jak i doktorowa Wartecka w Poznaniu, która także ich oglądała, byli całkowicie zgodni w swojej opinii co do wieku bandytów. Nie mieli oni więcej niż po dwadzieścia dwa, trzy lata.

Na polecenie pułkownika Niemirocha wszystkie komendy milicji w całym dawnym wielkim województwie warszawskim musiały sprawdzać, którzy milicjanci z różnych powodów nie pełnili służby w krytycznych dniach trzeciego i czwartego marca oraz dokładnie zbadać alibi tych funkcjonariuszy.

Nie była to praca wywołująca entuzjazm aparatu porządku publicznego. Niemniej została szybko i sprawnie wykonana.

Ku wielkiemu zadowoleniu pułkownika Niemirocha i radości majora Kaczanowskiego wynik tych poszukiwań okazał się negatywny. Uzyskano niewątpliwy dowód, że osobnik operujący na autostradzie w dniu szóstego września 1977 roku nie był funkcjonariuszem służby ruchu, pod którego się podszywał. Nie mógł w ogóle być pracownikiem milicji.

W jaki więc sposób zdobył mundur?

Teoretycznie mógł mieć brata czy kuzyna pracującego w milicji i posłużyć się mundurem swojego krewnego. Mógł taki mundur kupić od rodziny jakiegoś zmarłego milicjanta. Mógł także wykraść mundur z rekwizytorni któregoś z warszawskich teatrów, telewizji lub filmu. Ponieważ jednak mundur był zupełnie nowy i jak to stwierdziła kobieta, kasjerka Zakładów, pani Krystyna Paluch, bardzo dobrze leżał na młodym człowieku, należało przypuszczać, że został uszyty na miarę. W takich sprawach można wierzyć kobiecym oczom i ich spostrzegawczości.

Zwykłe zakłady krawieckie, zarówno państwowe,

spółdzielcze i prywatne, nie przyjmują tego rodzaju zamówień od pojedynczych osób. Jeśli zamówienie przyjął jakiś krawiec, wiedział, jakiemu celowi ma to służyć.

Ten człowiek szył mundur albo dla siebie, albo dla wspólnika.

I jeszcze jedno, krawiec dysponował motocyklem. Albo, jeśli odgrywał rolę fałszywego milicjanta, to właścicielem tego motoru był jego kumpel i wspólnik w zbrodni. Zachowanie się jednak fałszywego milicjanta na szosie świadczyło, że jest on albo zawodowym kierowcą, albo człowiekiem, który ma dużo da czynienia z samochodem. A krawiec tak dobrze umiejący szyć mundury nie może spędzać zbyt wiele godzin za kierownicą.

Zdaniem majora Kaczanowskiego, a zgadzali się z tą tezą pułkownik Niemiroch i prokurator Boczkowski, rolę fałszywego milicjanta grał ktoś inny. Krawiec zaś prawdopodobnie asystował obok na motocyklu. Nie podlegało też dyskusji, że człowiek biorący udział w napadzie, człowiek, który następnie odjechał na motorze, był jego właścicielem. Na Zachodzie czy w USA bandyci z reguły posługują się kradzionymi samochodami. U nas, przy dobrze funkcjonującej służbie ruchu, użycie skradzionego lub choćby cudzego motocykla byłoby niepotrzebnym zwiększeniem ryzyka. Przypadkowe zatrzymanie i sprawdzenie dokumentów, a wpadka gotowa. Natomiast człowiek jadący własnym motorem nie budzi podejrzeń, jeśli go nawet wylegitymują i wlepią mandat.

Major Kaczanowski postanowił obecnie skoncentrować śledztwo na odnalezieniu „krawca". Było to w przekonaniu oficera milicji najsłabsze ogniwo przestępstwa. I chyba także łatwiejsze do odnalezienia. Wśród młodych ludzi, i bliższych lub dalszych znajomych Pawła Wyganowskiego, na pewno odnajdzie się wielu takich, którzy mają prawa jazdy i możliwość częstego posługiwania się samochodem. Własnym, rodziców bądź służbowym. A krawców z całą pewnością było dużo mniej.

Kaczanowski zaczął od szkoły dla dorosłych. Jego ludzie sprawdzali listy uczniów szkoły z ostatnich trzech lat.

Wszystkie roczniki. I starsze, i młodsze od grupy, w której był Wyganowski. Każdego, kto w tym okresie choć przez j krótki czas uczęszczał do szkoły przy ulicy Świętokrzyskiej. Na tych listach było sporo kierowców samochodowych, mechaników, ślusarzy, a przede wszystkim pracowników umysłowych, których awans zależał od podniesienia swoich kwalifikacji. Albowiem czasy, że „nie matura, lecz chęć szczera" minęły w Polsce bezpowrotnie. Wśród tego tłumku mógł się kryć fałszywy milicjant. Ale jak go zdemaskować? Natomiast tych, którzy w rubryce „zawód" napisali „krawiec", było zaledwie trzech. Łatwo ich odnaleźć i sprawdzić.

Jeden z krawców pracował w zakładzie na Solcu. Był to mężczyzna przed trzydziestką. Wysoki, lecz dość pochyło się trzymający. Pewnego dnia, kiedy wracał z pracy do domu, wywiadowcy MO sfilmowali go. Od tyłu, od przodu, idącego, zapalającego papierosa i kupującego popołudniówkę w pobliskim kiosku „Ruchu".

Zaproszono do Pałacu Mostowskich kierowcę wiśniowego fiata, Jana Kowalskiego, kasjerkę, Krystynę Paluchową i strażnika Andrzeja Balickiego. Parokrotnie rzucono im na ekran film. Czy ten człowiek kogoś im przypomina?

Trzy kategoryczne „nie" były odpowiedzią. Pani Paluchowa, która jako kobieta, miała bardziej spostrzegawcze oko, wyjaśniła:

- Ten w mundurze milicyjnym trzymał się prosto jak świeca. Ten drugi, z motocyklem, był trochę niższy. Zapamiętałam to dobrze, bo po wyjściu z samochodu stałam koło niego. Ledwie mnie przerastał. Ale za to nie był takim chudzielcem jak ten na filmie. Poza tym pokazywany nam człowiek ma bardzo charakterystyczny nos. Długi i z garbkiem w środku. Taki szczegół przecież bym od razu zauważyła.

Odszukano następnego krawca. Był to właściciel dość sporej pracowni. Już dobrze po czterdziestce. Zamożny, z aspiracjami towarzyskimi. Właśnie dla zaspokojenia tych aspiracji i może dla dzieci, które kształciły się na wyższych uczelniach, sam postanowił zdobyć maturalny papierek. Ten kandydat odpadł w przedbiegach.

Trzeci i ostatni był młodym człowiekiem, niezbyt garnącym się do nauki. Skończył zasadniczą szkołę zawodową i zaczął pracować w jednym z państwowych zakładów usługowych. Okazał się bardzo biegły w swoim fachu. Dyrektor przedsiębiorstwa po paru latach namawiania zdołał wreszcie przekonać młodego człowieka, że nie warto być całe życie pomocą krawiecką. Lepiej trochę się pomęczyć i zdobyć tę maturę, która pozwoli na dalszy awans. Młody człowiek, wprawdzie z różnymi potknięciami, jednak w tym roku dobijał do matury. Miał ją zdawać razem z Jagodą Olesiak.

Ponieważ musiał znać Jagodę, przyszły maturzysta najprawdopodobniej znał także i Pawła Wyganowskiego. Figura tego mężczyzny mniej więcej odpowiadała opisowi świadków napadu. Jego również sfilmowano. Jan Kowalski powiedział: „to może być ten". Strażnik Balicki nie miał żadnego zdania. Twierdził, że nie za wiele przyglądał się fałszywemu milicjantowi. Pani Krystyna Paluchowa określiła, że sylwetka podobna. Także kolor włosów, lecz napastnik chyba nie miał tak jasnoniebieskich oczu i tak okrągłej twarzy.

Młody człowiek nie posiadał motocykla. Za to jego ojciec, pracownik FSO, dorobił się przed dwoma laty własnego fiata. Syn, jak to stwierdził wywiad, nie tylko często prowadzi ten samochód, ale także razem z ojcem dokonuje wszelkich napraw.

W zakładzie, zatrudniającym młodego człowieka, nie prowadzono ścisłej książki obecności. Można było nie przyjść do pracy, a wziąć robotę do domu i tam ją wykańczać. Każdy pracownik musiał w ciągu miesiąca wykazać się odpowiednimi rezultatami swojej pracy, a nie godzinami spędzonymi w warsztacie. Mirosław Jesionek często korzystał z takich możliwości. Także w dniu trzeciego marca zjawił się rano w zakładzie i zabrał pokrojone materiały do domu, aby tam uszyć z nich kilka par spodni. Gotową robotę oddał dopiero dziewiątego marca. Przez cały ten czas, od trzeciego do dziewiątego, nie pokazywał się w warsztacie.

Kaczanowski sprawdził, że po odebraniu roboty Jesionek mógł zdążyć na pociąg do Poznania i tam około piątej zjawić się

w willi pani Warteckiej. Na szczęście dla młodego człowieka w szkole dla dorosłych ściśle sprawdzano listę obecności. W dniu trzeciego marca Mirosław Jesionek nie tylko był obecny na wykładach, ale także odpowiadał z jednego z wykładanych przedmiotów. Dowodem tego był zarówno dziennik klasowy, jak i świadectwo profesora i jego zapis w notesie, gdzie odnotował stopień i datę.

Poszukiwanie „krawca" wśród uczniów szkoły dla dorosłych zajęło milicji sporo czasu i skończyło się kompletnym fiaskiem.

Major Kaczanowski nie zrezygnował jednak z tej metody poszukiwań. Przeciwnie, postanowił ją jeszcze rozszerzyć. Przecież Paweł Wyganowski mógł swojego przyszłego towarzysza w przestępstwie poznać gdzie indziej. Może jeszcze w szkole w Nadarzynie? Może poprzez kolegów ze szkoły dla dorosłych albo kolegów z pracy w Zakładach? Do znajomości między młodymi ludźmi mogło dojść także przypadkowo, choćby w autobusie z Nadarzyna do Warszawy, którym Paweł stale jeździł do szkoły.

Poszukiwanie „krawca" w Nadarzynie już raz podjęto bezpośrednio po napadzie. Nie dało ono wtedy żadnych rezultatów. Brano bowiem pod uwagę jedynie nielicznych mistrzów igły, pracujących w tym miasteczku. Teraz major spróbował innego systemu. W cechu krawców, obejmującym swoim zasięgiem całe województwo warszawskie, przejrzano listy uczniów i czeladników. Odnotowywano takich, którzy ze względu na wiek, miejsce zamieszkania czy miejsce urodzenia mogli zainteresować majora Kaczanowskiego. Tych młodych ludzi następnie milicja dyskretnie sprawdzała.

Ogromna większość chłopców odpadała przy pierwszym wywiadzie, ale mimo to pozostało sporo takich, którym należało się przyjrzeć dokładniej.

Jednocześnie wszystkie spółdzielcze i państwowe placówki krawieckie odwiedziły komisje sprawdzające stan bezpieczeństwa i higieny pracy. Do zawodu krawieckiego można bowiem trafić w dwojaki sposób. Albo przez terminowanie w charakterze ucznia u mistrza krawieckiego, albo przez ukończenie odpowiedniej szkoły zawodowej, dającej

takie same uprawnienia. Dziwna to była kontrola, bo komisje bhp interesowały się przede wszystkim pracownikami płci męskiej w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Bardzo dokładnie sprawdzały nie tylko świadectwa zdrowia tej młodzieży, lecz także całe akta personalne ze szczególnym uwzględnieniem miejsca urodzenia i życiorysu przyszłych mistrzów igły.

Była to metoda pracy powolna, ale za to precyzyjna. Absorbowała duży zespół pracowników aparatu milicyjnego. Major Kaczanowski porównywał tę metodą z zastawianiem sieci rybackiej o bardzo gęstych oczkach. W tej sieci zostawało wiele różnych rybek. Było ich tu jednak dużo mniej niż w jeziorze. Łatwiej znaleźć w niewodzie właściwą sztukę, niż poszukiwać jej w dużym akwenie.

Mijały dni i tygodnie. Kaczanowski, pomimo że akcja przeszukiwania kartotek nie była jeszcze skończona, już zaczynał przeżywać rozczarowania, że jego rybki jakoś dziwnie wyślizgują mu się z rąk. Misternie zarzucana sieć nie mogła złowić tej jedynej „złotej rybki", ozłoconej złotówkami zdobytymi na autostradzie.

Ale pewnego dnia wywiadowca Dziuba, który na dobre zadomowił się u panny Wisi Kosińskiej, zakomunikował majorowi nową rewelację.

- Panie majorze - powiedział funkcjonariusz - przyniosłem coś cennego. Chyba warte piwa w naszej stołówce. A może nawet jakiś dodatek do pensyjki? Gdyby major tak szepnął na ucho pułkownikowi Niemirochowi, „stary" wykroiłby parę groszy na nagrodę.

- Jeszcze nic nie powiedziałeś, a już się targujesz.

- Wiśka zdradziła mi wczoraj, że miała chłopaka. Chodziła z nim prawie dwa lata. Ale w ubiegłym roku puściła go kantem. Podobno początkowo żenić się chciał.

- A ona nie chciała? To dziwne.

- Wiśka to bardzo porządna dziewczyna. Nie taka jak inne. A jaka ambitna. Zrobiła maturę, teraz zapisuje się na dwuletnie kursy księgowości. Nie ma zamiaru być całe życie ekspedientką. Wysoko mierzy. A jak sobie ładnie urządziła ten

pokój z kuchnią na Kijowskiej. Obiecałem, że w przyszłym tygodniu wezmę trzy dni urlopu i odmaluję to mieszkanko. Pan major się zgodzi?

- Jeśli sobie zasłużysz - odpowiedział Kaczanowski, a jednocześnie pomyślał, że Dziuba wpadł na całego. Skoro już mówi, że dziewczyna nie taka jak inne, i mieszkanie chce odnawiać, źle z chłopem.

Najczęściej widzimy źdźbło w oku bliźniego, a nie zauważamy belki, która wisi nam nad głową. Janusz Kaczanowski także nie był wyjątkiem w tej regule.

- Otóż jak wspomniałem, Wiśka tego chłopaka rzuciła, bo to był kawał lenia i poza pieniędzmi świata nie widział. Koniecznie chciał zdobyć większą gotówkę, ale broń Boże pracą. Handlował dolarami przed PKO. Grasował jako konik pod kinem „Skarpa". Skończył tylko zasadniczą szkołę. Budowlankę. Ale jak Wiśka twierdzi, nie bardzo się garnął ani do roboty w swoim fachu, ani do dalszej nauki.

- Takich urodzonych w niedzielę jest dużo.

- Pewnie - przytaknął Dziuba - nic też dziwnego, że taka dziewczyna jak Kosińska poznała się na nim i nie chciała go więcej znać.

- Co z tego? - majora zaczynało nudzić ględzenie zakochanego wywiadowcy.

- Ten Kazik Felczak ma rodziców. Ojciec jest krawcem, matka także pracuje w tym zawodzie. Pomaga mężowi. Kazika również usiłowali wykierować na krawca, aby później mógł przejąć warsztat po ojcu. Nic z tego nie wyszło. Siedzenie za maszyną do szycia to za ciężka dla niego praca. Ale na robocie się zna. Wiadomo, od maleńkości pętał się pomiędzy uczniami i czeladnikami. Kiedy jeszcze leciał na Wiśkę, to sam jej uszył angielski kostium. Pokazywała mi go, doskonale leży. Co prawda niewielka sztuka uszyć na taką zgrabną dziewczynę.

Major dłużej nie słuchał. Szybko sięgnął po długopis i zanotował na kartce: „Kazimierz Felczak".

- Gdzie on mieszka?

- Z rodzicami. Stary Felczak ma swój warsztat na ulicy Okrzei. To na Pradze, boczna od Targowej.

- Wcześniej chodziłem po tej ulicy, niż ty się nauczyłeś koszulę w zębach nosić - Kaczanowskiego trochę rozgniewało, że taki szczeniak będzie jego, starego warszawiaka, uczyć - a trzy dni zwolnienia możesz w przyszłym tygodniu wziąć. Tylko nie spartol tego mieszkania.

- Nie ma strachu. Przecież ja wszystkim kolegom z komendy pomagam. Macham pędzlem nie gorzej od samego Matejki.

- No, Matejko,spływaj. Masz mi do jutra ustalić, jak ten Fel czak wygląda, gdzie pracuje i w jaki sposób najlepiej go sfilmować.

- Zrobi się. Jutro major będzie miał wszystkie dane -wywiadowca był szczęśliwy, że wytargował trzy dni wolnego.

Kiedy oficer został sam, poważnie zastanowił się nad otrzymanymi informacjami. Młody człowiek doskonale pasował mu do portretu „krawca". Umiał szyć, ale nie pracował w tym fachu. A więc był kryty. Przestępcy mogli się domyślać, że milicja będzie szukała tego, kto uszył mundur fałszywemu funkcjonariuszowi służby ruchu. Felczak nigdzie nie zarejestrowany i nigdzie nie pracujący był nieuchwytny dla dochodzenia.

Ten chłopak ,,chodził' ' przez dwa lata z Wiśką Kosińską. W tym czasie dziewczyna uczęszczała do szkoły dla dorosłych i była w jednej klasie z Pawłem Wyganowskim. Za pośrednictwem dziewczyny młodzi ludzie mogli się spotkać i poznać. Zamożny z domu, na pewno nieźle zarabiający jako cinkciarz czy jako „konik" Kazimierz, musiał imponować Pawłowi. Łączyła ich także miłość do pieniędzy i chęć ich zdobycia za wszelką cenę.

Pomysł zawładnięci samochodem z transportem gotówki przewożonej do Zakładów w dzień wypłaty na pewno wyszedł od Wyganowskiego. On bowiem doskonale znał fabrykę i panujące tam zwyczaje. Figiel z fałszywym milicjantem powstał zaś w głowie Felczaka. Jako umiejący szyć, mógł wpaść na taką koncepcję. Uszył mundur i zapewne znalazł trzeciego kompana, który mógł odegrać rolę funkcjonariusza służby ruchu.

Kaczanowski roześmiał się w głos. Przed chwilą zamiast

poważnie prowadzić dochodzenie, zabawił się w jasnowidza. A tak robić nie wolno. Nie wolno układać pięknych teorii i dopasowywać do nich śledztwa. Kazimierz Felczak, chociaż jak to wynikało ze słów Dziuby, nie był wzorem wszystkich cnót, mógł okazać się całkowicie niewinny, nie uczestniczyć w napadzie ani w zabójstwie Wyganowskiego. Major prowadzący śledztwo musiał go uważać za niewinnego tak długo, aż zdobędzie bezsporne dowody, świadczące przeciwko młodemu człowiekowi.

Tymczasem podejrzenia coraz bardziej nakładały się jedne na drugie i coraz mocniej obciążały Kazimierza Felczaka. Jego rysopis doskonale pasował do podanego przez świadków napadu na autostradzie. Zaproszeni raz jeszcze do Pałacu Mostowskich otrzymali zestaw kilkudziesięciu fotografii. Krystyna Paluchowa bez zastanowienia się wybrała zdjęcie syna krawca. Jan Kowalski odłożył cztery fotki, wśród których znajdowała się i ta Kazimierza. Stwierdził, że ci czterej na zdjęciu są najbardziej podobni do bandyty na motocyklu. Andrzej Balicki wybrał takich fotografii aż dziewięć, ale wśród nich także był Felczak.

Ustalono także, że młody człowiek miał motocykl, który sprzedał przed zimą.

Kazimierz Felczak był dyskretnie, ale stale, obserwowany przez kilku wywiadowców. Zmieniali się oni w swoich rolach. Młody człowiek niczego nie zauważył. Wkrótce jego sposób życia nie był tajemnicą dla majora.

Rankiem cinkciarz kręcił się po ulicy Czackiego. Razem z grupką podobnych mu typów jawnie zaczepiali wchodzących i wychodzących z Banku PKO.

- Bony kupuję, bony. Dolary... - niosło się po całej ulicy.

Czasami młody człowiek pojawiał się w banku na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Światu. Gmach ten na zawsze pozostanie dla warszawiaków „BeGeKa", chociaż Bank Gospodarstwa Krajowego, który przed wojną wybudował to nie najpiękniejsze gmaszysko, od wielu lat już nie istnieje. Dzisiaj z instytucji bankowych pozostały tam oddziały Narodowego Banku Polskiego i PKO. Resztę pomieszczeń obiektu zajmują

różne instytucje, między innymi Polska Agencja Prasowa.

Tutaj cinkciarze mają lepsze warunki pracy niż na Czackiego. „Urzędują" bowiem nie na ulicy i nie muszą moknąć w czasie deszczu czy marznąć w czasie mrozu. Po prostu opanowali oni cały obszerny hol gmachu i nawet krążą po salach bankowych. A strażnicy, których przecież w budynku nie brakuje, mają w tym wypadku dziwnie krótki wzrok. Chciałoby się zapytać - za ile?

Po południu miły Kazio zasadniczo nie pracował. Albo urzędował w barku w „Bristolu", albo popijał kawkę w „Europejskiej". Rzadziej odwiedzał „Victorię" i „Grand Hotel". Damskiego towarzystwa na ogół mu nie brakowało. Czasami robił jakieś interesy z dewizówkami, dyżurującymi w tych lokalach.

Kiedy interesy z bonami PKO szły gorzej, Felczak przez podstawione dziewczyny wykupywał bilety na chodliwe filmy. Najczęściej w kinie „Skarpa" przy ulicy Kopernika. Wtedy od godziny piątej po południu do ósmej wieczorem kręcił się przed kinem, czyhając na spóźnionych, dla których zabrakło biletów w kasie.

Pieniędzy, jak to oceniali wywiadowcy, młody człowiek zarabiał sporo. Zawsze też miał w kieszeni kilkanaście tysięcy złotych jako „kapitał obrotowy". Gdy mu ich nie starczało na większą transakcję, zwracał się do „bosów" czarnej giełdy, urzędujących w jednej z warszawskich kawiarni. Dużo także wydawał. Kawiarnie, restauracje, często „Kamieniołomy" czy też „Adria". To wszystko kosztowało. Czy jednak wydatki przekraczały dochody, bardzo trudno było stwierdzić.

Ustalono także, że Kazimierz Felczak „opiekował się" kawalerką w nowych blokach przy ulicy Czerniakowskiej. Jej właściciel, kolega Kazika z „budowlanki", wyjechał na kilkanaście miesięcy za granicę. Do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdzie przedsiębiorstwo, w którym pracował, wykonywało jakieś wielkie roboty. Felczak często nawet nocował w tej kawalerce. Od czasu do czasu bywało tam tak głośno, że musiał interweniować dzielnicowy.

Młody człowiek kontaktował się z wieloma ludźmi. Nie

Ucząc klienteli spod Banku PKO, spotykał się z kilkudziesięcioma młodymi ludźmi obojga płci. Przeważnie takimi samymi obibokami jak on. Sądownie karany nie był. Zatrzymywano go kilka razy w związku z handlem obcymi walutami, ale zawsze zdołał się jakoś z tego wykręcić.

W przeciwieństwie do syna, ojciec cieszył się opinią poważnego, solidnego rzemieślnika. Najstarszego syna wykierował na inżyniera elektronika. Najmłodszy uczęszczał do technikum krawieckiego. On zapewne spełni marzenie starego krawca i przejmie jego warsztat pracy. Tylko z tym średnim panu Felczakowi zdecydowanie się nie udało.

Major skrzętnie zbierał wszelkie wiadomości o Kazimierzu Felczaku. Sam rozumiał, że nie było to nic konkretnego, ale bardzo pasowało do osoby „krawca" z autostrady pod Nadarzynem. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie portret młodego człowieka idealnie wprost nakładał się na sylwetkę przestępcy. Brakowało jednak jakichkolwiek decydujących dowodów, że tak jest naprawdę. Milicja w swojej pracy nie może kierować się przeczuciami i przypuszczeniami. Musi także uwzględnić, że wszelkie podobieństwa mogą być tylko zbiegiem okoliczności.

Jakże często zdarzają się nawet najdziwniejsze zbiegi okoliczności.

Rozdział trzynasty
Narada u prokuratora

Prokurator Boczkowski był naturalnie dokładnie informowany przez milicję o wszelkich podejmowanych przez nią czynnościach. Często sam także wykazywał inicjatywę w tym kierunku. Kiedy więc materiałów obciążających Kazimierza Felczaka zebrało się dość dużo, postanowił zaprosić na naradę zarówno naczelnika Wydziału Kryminalnego, pułkownika Adama Niemirocha, jak i tego, który bezpośrednio kieruje śledztwem, majora Janusza Kaczanowskiego.

Tę rozmowę można by porównać do narady dowódców

wojsk przed decydującą bitwą. Prokuratorowi przypadała tutaj rola naczelnego wodza, naczelnikowi - szefa sztabu generalnego, zaś major pełnił rolę generała bezpośrednio dowodzącego wojskami.

- Uważam - zagaił prokurator Boczkowski - że nasze śledztwo posunęło się znacznie naprzód. W pełni doceniam sukcesy majora Kaczanowskiego i sądzę, że jesteśmy na najlepszej drodze do zlikwidowania całej afery.

- Jeszcze nie tak prędko - wtrącił jak zwykle ostrożny pułkownik Niemiroch.

- W każdym razie jesteśmy bliżej końca niż początku -uważał major.

- Niewątpliwie - przyznał prokurator. - Jestem całkowicie przekonany, że drugim z bandytów jest Kazimierz Felczak.

- Dla mnie od początku nie ulegało to najmniejszej wątpliwości - przyznał Kaczanowski. - Od pierwszej chwili, kiedy wywiadowca Dziuba podsunął mi tego typka.

- Dużo przemawia za jego rolą w napadzie - naczelnik nie chciał postawić kropki nad ,,i".

- Ale to są nasze subiektywne przekonania - zauważył Boczkowski - jeszcze nie dysponujemy żelaznymi dowodami.

- Mamy zeznania świadków obciążające Felczaka. Pani Paluchowa poznała go bez chwili wahania. Inni także uznali podobieństwo Kazimierza z bandytą na autostradzie. A przecież nie sugerowałem im tego. Krystyna Paluchowa wybrała fotografię Felczaka spośród trzydziestu innych zdjęć.

- To jest pewien dowód - zgodził się prokurator - ale to za mało. Nawet na proces poszlakowy. Wiem, wiem, pan major powie mi o sprzedanym motocyklu, o zaroście, który nosił młody człowiek i pozbył się go gdzieś w połowie marca. Ale dla sądu to nie wystarczające dowody. Zręczny adwokat, a nie wątpię, że papa Felczak zaangażowałby najlepszych prawników dla obrony synalka, rozbije nasze argumenty w proch i w pył. Przedstawi setki świadków, którzy przed zimą sprzedali motocykle, i tysiące młodych ludzi, którzy zgolili zarost w marcu. Ja muszę mieć coś konkretnego. A poza tym nie zapominajmy, że tam na autostradzie pod Nadarzynem było

dwóch bandytów. Gdzie jest drugi? Co o nim wiemy?

- Nic - przyznał major - nawet nie orientujemy się, w jakim środowisku go poszukiwać.

- Ponadto musimy odnaleźć nie tylko przestępców, ale także pieniądze. Prawie pięć milionów złotych. Ładny grosz.

- Nawet zatrzymując Felczaka, pieniędzy u niego nie znajdziemy.

- Na pewno jest sprytniejszy niż Paweł Wyganowski i nie trzyma tej gotówki u swojej dziewczyny - wtrącił Niemiroch.

- Jego dziewczyny - roześmiał się Janusz - także są mądrzejsze i sprytniejsze od Jagody. Natychmiast zajrzałyby do powierzonej im paczki. Wtedy cinkciarz nie zobaczyłby z tej forsy ani złotóweczki.

- Sami więc panowie widzą, że nie jest dobrze. Nie mówię, że jest tak źle, jak było, ale nie ma jeszcze powodów do radości. Dlatego też zaprosiłem panów tutaj, aby się naradzić, co robić dalej.

- Może jednak spróbować przeszukania zarówno mieszkania Felczaków, jak i tej kawalerki na Czerniakowskiej? - zaproponował pułkownik. - Pieniędzy tam nie znajdziemy, ale, kto wie, jakieś ślady tam pozostały? Ścinki materiału, z którego uszyto mundur, guziki, nici...

Major przecząco pokręcił głową.

- Nie zgadzam się z pułkownikiem - zaoponował prokurator - znalezienie guzika czy ścinka materiału nie będzie poważniejszym dowodem niż zeznania Krystyny Paluchowej. Ostatecznie do krawca przynoszą różne materiały. Mógł tam trafić także kupon sukna, z którego szyje się mundury. Ale to wcale nie znaczy, że w pracowni krawieckiej Felczaka taki mundur uszyto.

- Skąd w takim razie materiał?

- Nie mamy żadnego dowodu, że mundur fałszywego milicjanta był uszyty z oryginalnego sukna, z którego szyje się mundury naszych ludzi. Mógł to być zupełnie inny materiał, jedynie kolorem przypominający naszą barwę -dowodził prokurator. - Wstąpiłem do kilku sklepów z materiałami włókienniczymi. Między innymi do „Merino" i do magazynów

na Nowym Świecie. A także do „Centrum". Jest tam duży asortyment i można dobrać odpowiedni kolor. Dla niefachowca nie różni się on niczym od koloru waszych mundurów. Przecież ludzie jadący wiśniowym fiatem nie przyglądali się mundurowi milicjanta, ale zajęci byli innymi sprawami. Ich uwagę przykuło wówczas sprawdzanie dokumentów i stanu samochodu, a później kłopot z uruchomieniem wozu. Przeszukanie mieszkania

Felczaków będzie dla Kazimierza sygnałem, że jest podejrzany. Nam nic nie da, a przestępcę ostrzeże.

- Całkowicie zgadzam się z panem prokuratorem -przyznał major.

- Należy nadal bacznie obserwować Kazimierza Felczaka - uważał pułkownik - może w ten sposób młody człowiek naprowadzi nas na ślad swojego wspólnika?

- Wątpię - mruknął Kaczanowski.

- Ja także wątpię - do majora przyłączył się Boczkowski - na to oni obaj są za cwani. Zwłaszcza po zabójstwie Pawła Wyganowskiego. Tamto z samochodem to były jeszcze figle. Co prawda figle za siedem milionów złotych. Tutaj już chodzi o zbrodnię. Dokonaną z całkowitą premedytacją.

- Też racja - zgodził się Niemiroch.

- Ja także jestem za jak najstaranniejszym śledzeniem naszego cinkciarza - stwierdził prokurator - być może w przyszłości zrobi on jakiś błąd, który da nam niewątpliwy dowód jego winy. Ale jak długo będziemy na to czekać?

I Tygodnie, miesiące czy lata?

- Nie mogę tylu ludzi kierować tylko do tej jednej sprawy - sprzeciwił się pułkownik - i to bezterminowo. Nie możemy się zajmować wyłącznie kradzieżą w Zakładach Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie i zabójstwem Pawła Wyganowskiego. Mamy wiele równie ważnych problemów, czekających na rozwiązanie. Nasz szczupły aparat musi podołać temu wszystkiemu.

- Doskonale to rozumiem - zgodził się Boczkowski -dlatego pytam, co dalej?

- Musimy sprawę zakończyć jak najszybciej - powiedział

Janusz Kaczanowski.

- Masz jakiś plan? - poderwał się Nimiroch.

- Trzeba obu przestępców złapać na gorącym uczynku.

- Major myśli, że oni planują nowy skok? - zdziwił się prokurator.

- Nie o to mi chodzi.

- A o co? - wybuchnął pułkownik. - Nie bądź taki tajemniczy.

- Przestępcy skryli się jak borsuk w norze i biorą nas na przeczekanie. Trzeba wywabić ich z tej nory. Zmusić do czynu i ująć na gorącym uczynku.

- Jak to zrobisz?

- Potrzebuję pomocy obu panów: prokuratora i pułkownika.

- Przecież pomagam ci jak mogę, nawet kosztem innych spraw.

- Być może na krótko, ale będę musiał mieć jeszcze więcej ludzi, i to najlepszych, i najodważniejszych, jacy są w komendzie.

- Jeżeli przekonasz mnie, że to przyśpieszy sprawę, to ich dostaniesz.

- A moja pomoc? - zapytał prokurator.

- Poproszę o uchylenie tajemnicy pocztowej w stosunku do Kazimierza Felczaka i o podsłuch jego telefonów. Tego w domu na Okrzei i tego w kawalerce na Czerniakowskiej.

- Poważne żądanie - zatroskał się Boczkowski - tym bardziej że ani jeden z tych aparatów nie jest zarejestrowany na Kazimierza.

- On jednak z nich obu korzysta.

- Co do tajemnicy pocztowej, to zgoda - Boczkowski nie miał zastrzeżeń.

- To mniej ważne niż te telefony. Przestępcy, nawet amatorzy, raczej nie piszą. Wiedzą, że nie należy pozostawiać po sobie trwałych śladów. Co innego telefon. Nie wiadomo, skąd się dzwoni, kto mówi. Zawsze można wszystkiemu zaprzeczyć.

- To bardzo pilne - nalegał major - bez tego nie będę mógł

przystąpić do działania.

- Rozumiem. Jutro dam odpowiedź.

- Chciałbym jednak wiedzieć, co zamierzasz robie? Czy to tajemnica zarówno przed szefem służby kryminalnej, jak i przed prokuraturą?

Kaczanowski roześmiał się.

- Ale skądże znowu. Po prostu chciałem panów trochę zaintrygować. Może dzięki temu życzliwiej ustosunkujecie się do mojego planu. A teraz wykładam kawę na ławę.

Major długo i szczegółowo wyjaśniał pozostałym członkom narady, na czym będzie polegała zorganizowana przez niego akcja. Gdy skończył, pułkownik Niemiroch zauważył:

- Bardzo sprytnie to obmyśliłeś, ale nie chciałbym być w twojej skórze, jeżeli ten plan się nie powiedzie.

- Musi się powieść. Ręczę, że wszystko się uda - Kaczanowski powiedział te słowa z absolutną pewnością w głosie.

- Jednakże sam major przyzna - prokurator miał zastrzeżenia - że to niebezpieczna akcja.

- Moi ludzie staną na wysokości zadania.

- Nie tylko o nich mi chodzi - sprostował Boczkowski -każdy, kto decyduje się na pracę w milicji, doskonale wie, że bywają takie okoliczności, kiedy trzeba nadstawić własną głowę. To ryzyko zawodowe. Takie samo jak w pewnych innych zawodach. Na przykład w straży pożarnej. Ale mnie również chodzi o tamtego.

- To bandyta.

- To także człowiek.

- W ramach naszej akcji postaramy się zapewnić mu jak największe bezpieczeństwo.

- Będzie jednak moment, kiedy ten człowiek znajdzie się na krawędzi śmierci. Czy wtedy zdążycie z ratunkiem?

- Zdążymy. Będziemy przecież na to przygotowani.

- To się tylko tak mówi - prokurator nie był bynajmniej przekonany - wystarczy spóźnić się o jedną dziesiątą sekundy.

- Nie spóźnimy się. Dlatego właśnie muszę dostać od pułkownika najlepszych ludzi, jacy są w kraju.

- Dostaniesz ich. Ale czy to wystarczy?

- Boję się tego ryzyka - wahał się prokurator.
- Inaczej nie ruszymy sprawy - stwierdził major.
- Rozumiem to, ale...
- Panie prokuratorze - dowodził Kaczanowski - sam pokieruję akcją. Doskonale będę wiedział, w którym momencie nadejdzie decydująca chwila. Wcześniej poznamy miejsce akcji. Przygotujemy się odpowiednio, choćbyśmy mieli nawet ten teren nieco przerobić. Nasi ludzie będą tak zamaskowani, że nikt nie domyśli się ich obecności. Tamci będą bardzo zajęci sobą. Jeden poważnie przerażony sytuacją, którą ja zainscenizuję, a drugi będzie czyhał na sprzyjający jego planom moment.
- Wszystko rozumiem, ale pomimo to mogą zajść jakieś nieprzewidziane okoliczności, które pomogą bandycie urzeczywistnić jego zamiary. Cóż z tego, że go zaraz ujmiecie?
- Pułkownik Niemiroch słusznie powiedział, że nie chciałby być w mojej skórze, jeśli cała akcja się nie powiedzie. Przyjmuję to ryzyko. Całą odpowiedzialność wezmę na siebie.
- Tego właśnie chciałbym uniknąć - roześmiał się prokurator.
- Mnie także nie zależy na twojej głowie - dorzucił pułkownik.
- Czy panowie widzą jakiś inny sposób rozwiązania sprawy? - Kaczanowski postanowił przycisnąć swoich zwierzchników do muru.
- Niech cię diabli! Nie widzę.
- Ja także nie widzę - przyznał prokurator.
- I ja nie widzę - powtórzył major - jedynie mój plan daje szanse szybkiego rozwiązania. Jeżeli Kazimierz Felczak jest niewinny i nie brał udziału w napadzie, żądne niebezpieczeństwo nie będzie mu groziło.
- Niby racja - przyznał pułkownik.
- Jak powiedziałem, dla mnie bandyta jest także człowiekiem - prokurator trwał w swoim uporze i. bronił się przed wyrażeniem zgody.
- Dla mnie też - potwierdził Kaczanowski - dlatego będę ryzykował własną głową i życiem naszych ludzi, aby jemu się

nic nie stało.

- Nie jestem całkowicie przekonany - powtórzył prokurator - jednak nie pozostaje mi nic innego, jak tylko dla dobra sprawy zgodzić się na plan majora. Ale bardzo proszę, żeby major dołożył wszelkich starań, aby tym ludziom naprawdę nic się nie stało. Niech major pamięta, że o ich losach może decydować wyłącznie sąd.

- Nigdy o tym nie zapominam.

- Ja także się zgadzam- oświadczył pułkownik Niemiroch - naturalnie z tymi samymi zastrzeżeniami, co pan prokurator.

- Cieszę się - major wyraził swoje zadowolenie - że doszliśmy do porozumienia.

- Kiedy pan przystępuje do akcji?

- Przygotowania potrwają najwyżej dwa, trzy dni, a potem będę czekał na rozwój wypadków. W razie gdyby to się przeciągnęło, trochę postraszę nasze borsuki. Nie ma obawy, wyjdą z nory.

- Kiedy już się zdecydowałem - powiedział prokurator Boczkowski - jakby kamień mi spadł z głowy. Przyznaję, to bardzo wymyślny podstęp.

Na pewno ten kamień nie spadnie panu prokuratorowi na odcisk - roześmiał się major.

- Zginie Troja za sprawą genialnego Leartydy - Niemiroch zacytował Homera na zakończenie tej wojennej narady.

Rozdział czternasty
Podstęp majora Kaczanowskiego

Uzyskawszy swobodę działania, major Kaczanowski natychmiast przystąpił do akcji. Miała ona zdemaskować bandytów i dostarczyć niezbitych dowodów, że popełnili oni zarzucane im przestępstwa. Przede wszystkim trzeba było postarać się o „portret z opisu".

Jak wiadomo, policje całego świata od przeszło dwudziestu lat stosują nową metodę identyfikacji tych przestępców, których fotografii nie udało się zdobyć. Jest to tak zwany

„portret z opisu". Początkowo powstawał w ten sposób, że rysownik sporządzał twarz człowieka na podstawie zeznań świadków, którzy widzieli poszukiwanego.

Ta prosta metoda miała jednak zasadniczą wadę. Była bardzo niedokładna. Świadek, jeśli tylko uchwycił podobieństwo rysunku do zapamiętanej przez siebie twarzy, uważał, że „portret z opisu" odpowiada rzeczywistości. A tymczasem taki rysunek różnił się od oryginału wielu detalami poszczególnych części twarzy. Dla kogoś innego, kto na przykład zapamiętał, że poszukiwany człowiek miał odstające uszy, a nie widział ostrego, mocno wysuniętego podbródka, rysunek, na którym właśnie wyeksponowano tę część twarzy, a zapomniano o uszach, był zupełnie niepodobny i nie pomagał w identyfikacji przestępcy.

Dlatego też szybko zarzucono tę prymitywną metodę i zastąpiono ją innymi systemami. Najpierw był to „Foto-robot", gdzie pokazano świadkowi różne elementy fotograficzne z różnych zdjęć. Dopiero zestaw tych wybranych przez świadków szczegółów dawał obraz twarzy poszukiwanego.

Dalszym ulepszeniem okazał się amerykański „Idenci-Kit" opracowany przez Hugha McDonalda z Los Angeles.

Polegał on na sporządzaniu z gotowych elementów twarzy zabitego człowieka.

Kolejne metody, jak używana w Republice Federalnej Niemiec „PIK" czy w Chicago „MIMIC", gdzie na ekran filmowy rzuca się poszczególne elementy twarzy aż do uzyskania całkowitego portretu, lub wreszcie angielska „PHOTO-FIT" są tylko lepszym albo gorszym rozwinięciem „Idenci-Kit". Między innymi opracowano 169 części czołowych twarzy i linii włosów, 81 par oczu, 86 par ust, 70 nosów, 64 podbródki i zarysy policzków. Do tego dochodzi ogromna ilość różnych wąsów, bród, okularów i nakryć głowy. Z tych elementów można, jak to obliczyli matematycy, sporządzić ponad pięć miliardów twarzy ludzkich. A więc więcej, niż w ogóle jest ludzi na świecie.

Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO posługuje się własną techniką portretu pamięciowego. Jest to tak zwany „Identyfikator rysunkowo-kompozycyjny". Polega to na

zestawieniu poszczególnych elementów twarzy, wykonanych na foliach, obraz na albumie fotograficznym tych elementów, przez co uzyskuje się dodatkową weryfikację opisu dokonywanego przez świadków.

Po raz pierwszy w Polsce posłużono się „portretem z opisu" - jak inaczej się go nazywa - „portretem pamięciowym" w 1960 roku. Głośne było wtedy zabójstwo Stanisławy Cz. i rabunek bardzo cennej biżuterii z mieszkania znanej aktorki. Zbrodni tej dokonano siedemnastego września. Właśnie dzięki „portretowi z opisu" ujęto młode małżeństwo, któremu udowodniono zbrodnię.

Obecnie major Kaczanowski zjawił się w Zakładzie Kryminalistyki z bardzo oryginalnym zamówieniem. Położył przed specjalistami kilka zdjęć Kazimierza Felczaka i poprosił o sporządzenie „portretu z pamięci".

- Po co to panu majorowi? Ma pan zdjęcie. One są zawsze wierniejsze niż najlepszy portret z opisu.

- Chodzi mi właśnie o sporządzenie takiej twarzy, która byłaby podobna do tego zdjęcia, ale nie taka sama. Żeby ten portret miał pewne błędy. Żeby ludzie, którzy zobaczą portret i tego człowieka, mówili „ogromnie podobny, ale czy to naprawdę ten sam"?

- Rozumiem i nic nie rozumiem - roześmiał się ekspert -widocznie jednak to wam na coś potrzebne. Zaraz spróbujemy majora zadowolić.

Z ogromną wprawę pracownik zakładu składał poszczególne elementy twarzy. Dał nieco inne, wąskie, zaciśnięte usta. Zmienił lekko zarys włosów i podniósł czoło tak, że zdradzało początki łysiny.

- Tak dobrze?
- Doskonale. Teraz tylko poproszę o komplet tych obrazków.
- Chodzi majorowi o fotografie czy o rysunki?

Kaczanowski zastanowił się chwilę.

Chyba rysunki będą lepsze.

- Czy to pilne? Bo u was wszystko na wczoraj.
- Gdybym dostał za dwa dni, nie byłoby to za późno.

- Zgoda. Za dwa dni będzie pan miał wszystko w Pałacu Mostowskich.

Na trzeci dzień po tej rozmowie telewizja po zakończeniu dzienników nadawała komunikat specjalny:

Milicja obywatelska poszukuje młodego mężczyzny w wieku około dwudziestu pięciu lat. Podajemy rysunek twarzy poszukiwanego, sporządzony na podstawie zeznań świadków. Poszukiwany jest podejrzany o dokonanie poważnego przestępstwa gospodarczego i zabójstwa. Wszelkie informacje o poszukiwanym, a przede wszystkim jego imię, nazwisko i adres należy zgłosić osobiście lub telefonicznie do Stołecznej Komendy Milicji Obywatelskiej lub w najbliższej placówce MO.

Na drugi dzień cała warszawska prasa powtórzyła ten komunikat i zamieściła przesłany im rysunek. W trzy dni później powtórzono tę akcję.

Teraz magnetofony włączone do telefonów na Okrzei i w kawalerce na Czerniakowskiej zapisywała na taśmie wszystkie rozmowy prowadzone z tych aparatów.

Wywiadowcy także nadal obserwowali Kazimierza Felczaka.

Efekt zdjęć był piorunujący. Już na drugi dzień po wieczornym komunikacie telewizji młody cinkciarz nie stawił się na swoim zwykłym posterunku przed Bankiem PKO na ulicy Czackiego. W ogóle tego dnia nie opuszczał mieszkania. Następnego przeniósł się na ulicę Czerniakowską. Odległość z Pragi na Czerniaków przebył taksówką. Z domu wyszedł z podniesionym kołnierzem palta, z czapką wciśniętą głęboko na czoło. Chociaż dzień wcale nie był słoneczny, młody człowieka założył wielkie ciemne okulary.

Milicjanci stwierdzili, że Felczak nie umiał się maskować. Przeciwnie, to dziwne ubranie i zachowanie się mężczyzny bardziej zwracało na niego uwagę, niż gdyby nie próbował zmienić swojego wyglądu.

Przez następne pięć dni nie opuszczał kryjówki na Czerniakowskiej.

- Jeszcze nam z głodu umrze - śmiał się wywiadowca Dziuba.

- Nie ma obawy! - uspokajał go inny kolega - Dziewczyny

donoszą mu tyle, że tylko mleka ptasiego może chłopakowi zabraknąć.

Jak zwykle przy tego rodzaju komunikatach napłynęło do milicji dużo listów i telefonów. Społeczeństwo i tym razem starało się pomóc władzom w walce z przestępczością. W ogromnej większości były to informacje fałszywe. Znalazło się jednak kilka listów i kilkanaście telefonów podających imię, nazwisko i adres Kazimierza Felczaka.

Magnetofon przez te dni nie zanotował niczego specjalnego. Na Czerniakowskiej telefon w ogóle milczał. Na Pragę dzwoniono i między innymi chciano rozmawiać z „Kazikiem". Były to kobiece głosy. Rodzina odpowiadała, że „Kazika nie ma w domu i nie wiadomo, kiedy będzie".

Prokurator Boczkowski codziennie pytał majora, jak tam postępuje realizacja jego planu. Kaczanowski nie miał jednak na razie żadnych interesujących wiadomości. Piątego dnia oświadczył prokuratorowi:

- Muszę mocniej postraszyć naszego borsuka. Wykurzyć go z tej jamy na Czerniakowskiej.

Tego samego dnia do drzwi mieszkania państwa Felczaków zadzwonił dzielnicowy z ulicy Okrzei. Rozpytywał starego krawca, co robi jego syn Kazimierz i czy jest w domu. Zgodnie z prawdą Felczak-senior odpowiedział, że syna nie ma. Natomiast skłamał, że nie wie, gdzie przebywa wschodząca gwiazda czarnej giełdy.

- Bo widzi pan - trochę się jąkał dzielnicowy - ja tak się dopytuję przez życzliwość. Znam przecież pana od tylu lat.

- Pewnie, pewnie, ile to już lat jest pan naszym dzielnicowym?

- Przeszło piętnaście. Kazika pamiętam od szczeniaka. Z panem i pańskim warsztatem nigdy żadnego kramu nie miałem. Żeby to tak ze wszystkimi.

- A teraz?

Dzielnicowy sięgnął do kieszeni i wyjął z niej rysunek powstały w zakładzie kryminalistyki. Podał go krawcowi.

- Dostałem to zdjęcie z zapytaniem, czy znam tego, człowieka - wyjaśnił - a to wypisz, wymaluj, Kazik. Dlatego do

was przyszedłem.

- Bardzo małe podobieństwo - bagatelizował stary pan Felczak. - Usta zupełnie inne i Kazik nie ma łysiny. Daj Boże każdemu takie włosy jak jego.

- Niby racja - przyznał dzielnicowy - ale sam nie wiem, co robić.

- Co pan ma robić? Nic. Przecież to nie Kazik.

- Gdybym to przemilczał, mógłbym mieć nieprzyjemności.

- Skądże znowu. Nie ma żadnego podobieństwa.

- Właśnie - ucieszył się dzielnicowy co najmniej jak Kolumb, kiedy odkrył Amerykę - i dlatego najlepiej będzie, jeżeli Kazik sam się zgłosi do Pałacu Mostowskich i tam wyjaśni te wszystkie nieporozumienia. Bo chyba jest niewinny?

- Naturalnie, że niewinny - szczerze zapewniał krawiec. Ani przez chwilę nie podejrzewał syna, że ten może mieć coś wspólnego z rabunkiem i morderstwem.

- To będzie najlepiej, jeżeli Kazimierz się zgłosi - jeszcze raz powtórzył dzielnicowy. - No, na mnie czas.

- Zostałby pan kilka minut. Coś byśmy zjedli i pogadali. Jakiś kieliszeczek także by się znalazł. - Felczak zatrzymywał milicjanta.

- Przyjdę kiedy indziej. Jak będę wolniejszy. Teraz muszę lecieć do Domu Towarowego. Znowu podwórze zamienili w śmietnik. Niech pan Felczak pamięta, co mu radziłem

- Jak tylko Kazik wróci, zaraz go poślę do Pałacu Mostowskich - obiecał krawiec.

W kwadrans po wyjściu milicjanta ojciec zadzwonił na Czerniakowską i powtórzył synowi słowo w słowo swoją rozmowę z dzielnicowym. Stary Felczak uważał, że rada milicjanta jest bardzo dobra.

- Jesteś niewinny - mówił przez telefon do syna - idź do nich. Nie zjedzą ciebie. Przesłuchają i wypuszczą.

- Co ojciec mówi! Dla nich wszyscy są winni. Nawet nie będą ze mną gadali, tylko od razu zamkną. Zanim się z tego wytłumaczę, upłynie parę miesięcy. A kiedy już będą wiedzieli, że mnie do tamtych jakichś spraw nie można przypucować, to przyczepią się do czegoś innego. Choćby do tych bonów.

- Ile razy powtarzałem, żebyś się wziął za uczciwą pracę.

- Tralalalala... I zarabiał te trzy czy cztery tysiące miesięcznie.

- Z głodu nie umarłem i wam też jeść dałem.

- Co mi ojciec będzie zawracał głowę.

- Rób, jak chcesz - stary krawiec rozzłoszczony rzucił słuchawkę na widełki.

Tego samego dnia Kazimierz Felczak wyniósł się z ulicy Czerniakowskiej. Wywiadowcy, którzy śledzili każdy jego krok, zauważyli, że młody człowiek przez te pięć dni usiłował zapuścić zarost. Porósł nawet dość niezłą szczecinką. Nową melinę znalazł na Żoliborzu, w pewnej willi przy ulicy Gomółki, u kobiety, która jak i on trudniła się pokątnym handlem bonami PKO.

Zaraz na drugi dzień telewizja nie tylko powtórzyła komunikat o poszukiwanym przestępcy, ale także podała ostrzeżenie, że każdy, kto ukrywa uciekiniera lub pomaga mu w ukrywaniu się przed władzami, poniesie przewidzianą kodeksem karnym surową karę. Tym razem pokazano aż dwa portrety z pamięci. Jeden taki sam jak w poprzednich komunikatach, drugi z zarostem.

Major Kaczanowski konsekwentnie straszył swojego borsuka.

Telefon w nowym miejscu schronienia zbiega został także objęty podsłuchem. Tym razem prokurator Boczkowski, orientując się, że śledztwo posuwa się po prawidłowej drodze, nie miał żadnych obiekcji i bez dyskusji wydał odpowiedni nakaz. Długo jednak magnetofon nie zanotował żadnych rozmów.

Dopiero po południu nagrany został na taśmie interesujący dialog:

- Poproszę Ryśka - odezwał się głos młodego Felczaka.

Numeru, jaki młody człowiek nakręcił, nie można było ustalić.

- Słucham.
- Poznajesz mnie?
- Poznaję. Czego chcesz? Mówiłem, żebyś nie dzwonił.

- Oglądałeś telewizję?
' - Dobrze się chwycili. To pewnie ta cholerna baba.
- Muszę się z tobą zobaczyć, Rysiek.
- Po co?
- Boję się. Na Okrzei już byli.
- Kto?
- Nasz dzielnicowy.
- I co?
- Pokazywał ojcu fotografię. Radził, żebym się dobrowolnie zgłosił do Pałacu Mostowskich. Jeżeli nie będę miał pomocy, nie pozostanie mi nic innego.
- Skąd dzwonisz?
- Od takiej jednej. Mojej znajomej. Ale nie mogę u niej wiecznie siedzieć. Ona też ma mojra, że ją ktoś podkapuje.
- Dobra. Zobaczymy się jutro.
- Gdzie?
- Przyjdź do parku Skaryszewskiego, nad staw. Jak się będzie ściemniało. Tylko uważaj, czy ktoś cię nie filuje.
- No pewnie. O której?
- Jak się będzie ściemniało. Tak około ósmej. Naradzimy się, co robić. Myślę, że uda mi się wykombinować dla ciebie spokojną metę, gdzie byś mógł przesiedzieć przez kilka miesięcy, aż sprawa przyschnie.
- W Warszawie?
- Nie będziemy o tym gadali przez telefon.
- To do jutra.
- Do jutra. Tylko pilnuj się.

Po przesłuchaniu taśmy major zatarł ręce. Jego podstęp powiódł się. Rybka chwyciła przynętę.

Na drugi dzień cała ekipa milicyjna od rana penetrowała park Skaryszewski. Miejsce na randkę zostało dobrze wybrane. Ta część parku o tej porze była bardzo rzadko uczęszczana. A któż by się tutaj zapuszczał po zmierzchu? Chyba jedynie ryzykant szukający guza lub samobójca pragnący w spokoju utopić się w głębokim stawie.

Wprawdzie gęsto rosnące krzaki nie miały jeszcze liści, ale znajdowało się tu sporo krzewów i drzew iglastych, wiecznie

zielonych. Można więc było bez większego trudu znaleźć zupełnie pewne kryjówki dla kilkunastu wywiadowców. Sam major postanowił ukryć się pomiędzy dwoma gęstymi krzakami jałowca i z tego „miejsca dowodzenia" kierować przebiegiem batalii.

Na wszelki wypadek, jak zwykle przezorny, Janusz Kaczanowski rozstawił dodatkowo kilku ludzi nieco dalej od alejki, gdzie miało nastąpić spotkanie. Ten „drugi rzut" miał interweniować, gdyby sprawy przyjęły niespodziewany obrót.

Już na dwie godziny przed umówionym terminem spotkania cała ekipa majora znalazła się na swoich miejscach. Było chłodno i w tej części parku zupełnie pusto. Tylko po głównych alejach czasami snuli się jacyś spacerowicze. Dzień był pochmurny i mrok zapadł stosunkowo wcześnie. Naturalnie wycofano przedtem obstawę Kazimierza Felczaka, bo i tak wiedziano, co on zrobi.

Młody człowiek pokazał się w parku na pół godziny przed umówionym terminem spotkania. Przeszedł się głównymi alejami pilnie obserwując nielicznych przechodniów, czy który przypadkiem go nie śledzi. Przysiadł na ławeczce w pobliżu jednej z rzeźb. Potem znowu spacerował wokoło pustych o tej porze kortów tenisowych. W końcu nabrał pewności, że nie jest obserwowany. Nie wiedział, że aż kilka lornetek jest stale wycelowanych w jego kierunku.

Wreszcie Felczak szybkim krokiem skierował się w stronę alejki nad stawem. Tutaj poza dobrze ukrytymi milicjantami nie było nikogo. Mężczyzna zajął miejsce na jednej z dwóch ławek. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że właśnie te ławeczki major Kaczanowski kazał specjalnie ustawić dzisiaj rano, aby w ten sposób mieć pewność, iż dwaj ludzie, którzy umówili się na spotkanie, nie przeniosą się na inny teren rozległego parku.

Felczak czekał już dwadzieścia minut. Denerwował się coraz bardziej. Prawie co minuta spoglądał na zegarek. Wreszcie w zupełnym mroku spostrzegł zbliżającą się sylwetkę mężczyzny. Zerwał się z ławki i ruszył mu na spotkanie.

- Rysiek?

- Czego się drzesz?
- Nie mogłem się ciebie doczekać.
- Wolałem sprawdzić, czy się ktoś w pobliżu nie pałęta.
- Nie ma psa ni kota. Ja także sprawdzałem.

Spotkali się i przywitali akurat koło krzaków, za którymi ukrywał się Kaczanowski. Oficer słyszał każde słowo z ich rozmowy.

- Krewa z tobą - powiedział Rysiek - gliniarze wszędzie cię szukają. W popołudniówkach znowu podają twoje zdjęcie.
- Co robić?
- Trzeba cię gdzieś schować. Mam pewien plan.
- Jaki? .
- Nie denerwuj się, musimy spokojnie porozmawiać.
- Dalej jest ławeczka - zaproponował Kazik - możemy na niej usiąść.

Młodzi ludzie wolno ruszyli w stronę prawie już zupełnie niewidocznej ławki. Ale po paru krokach Rysiek zaklął:

- Psiakrew, rozwiązał mi się but.

Nachylił się, aby zawiązać sznurowadło. Jego towarzysz stał oddalony o dwa metry. Rysiek ciągłe coś manipulował koło lewej nogi i nagle powiedział:

- Tam ktoś jest!
- Gdzie?
- Koło tej ławki.

Kazimierz Felczak odwrócił się we wskazanym kierunku. Rysiek nagle się wyprostował. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni ciepłej ortalionowej kurtki, którą miał na sobie. Pomimo zapadających ciemności major zobaczył w ręku młodego człowieka jakieś żelazo. Bez chwili wahania oficer skoczył i swoim ciężarem przewrócił niczego nie spodziewającego się bandytę. Teraz rozpoczęła się między nimi walka wręcz.

Ale już z różnych stron biegli milicjanci na pomoc swojemu zwierzchnikowi. Zaroiło się na wąskiej ścieżce pomiędzy krzakami. Kazimierz Felczak wprawdzie nie widział grożącego mu ciosu, ale natychmiast zorientował się, kim są ludzie walczący z jego wspólnikiem. Bez namysłu buchnął w głąb krzaków. Miał nadzieję, że zajęci obezwładnianiem Ryśka nie

spostrzegą jego ucieczki.

Ale tak nie było. Jeden z wywiadowców dojrzał ten manewr i pogonił za uciekinierem. Tymczasem inny zaalarmował gwizdkiem „drugi rzut". Uciekający został otoczony ze wszystkich stron, jak tylko zdołał przebić się przez gęsto rosnące tu krzewy. Zrozumiał, że nie ma żadnych szans ucieczki. Stanął i bez oporu pozwolił sobie założyć kajdanki.

Tymczasem drugi z bandytów walczył do końca. Czterem, przecież silnym mężczyznom i wyćwiczonym do walki, z trudem udało się obezwładnić Ryśka.

- Cholera - narzekał jeden z milicjantów - ugryzł mnie w rękę.

- Uważaj - przestrzegł go drugi - możesz dostać wścieklizny.

- A mnie kopnął i rozdarł prawie nowe spodnie.

- Nic się obywatelowi majorowi nie stało?

Kaczanowski, który pierwszy przytrzymał i obalił bandytę, w czasie dalszych z nim zapasów wszystkim służył za materac. Na nim się odbywało ujarzmienie przestępcy.

- Nic - odpowiedział major - trochę mnie przygnietliście i któryś nastąpił mi na prawą nogę. Ale to głupstwo - wstał z ziemi i otrzepał zapiaszczony płaszcz.

Trzasnęły kajdanki zamykane na rękach przestępcy.

- Kto ma latarkę elektryczną?

Kilka snopów promieni oświetliło sylwetkę bandyty. Był to młody człowiek o ciemnym zaroście i regularnych rysach twarzy. Z wysiłkiem chwytał oddech. Jeszcze nie w pełni zdawał sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazł.

- Poświećcie na ziemi - polecił major - tam musi leżeć jakieś żelazo. Łom czy coś podobnego? Wybiłem mu z ręki, kiedy usiłował zabić Felczaka.

- Ach, ty draniu! - zawołał Kazimierz Felczak, którego właśnie doprowadzono do grupy stojącej na ścieżce. - To taką melinę obmyśliłeś dla mnie? Dwa metry pod ziemią. Chciałeś mnie tak skończyć jak Pawła?

Bez trudu znaleziono leżący pod krzakiem duży klucz francuski.

- Podnieść go przez chusteczkę - rozkazywał Kaczanowski - a jutro oddać do zbadania w zakładzie kryminalistyki. Może tym

samym zamordowano Wyganowskiego?

- Pewnie, że tym samym - poświadczył młody „krawiec". - Pokazał mu dzięcioła na drzewie, a kiedy Paweł się odwrócił, rąbnął go „francuzem" w łeb.

- Obszukać go!

Przy zatrzymanym znaleziono kilkaset złotych, papierosy, zapałki, różne drobiazgi oraz dowód osobisty na nazwisko Ryszard Wolski, dwudziestoczteroletni mechanik samochodowy.

- Zabieramy ich do komendy. Tylko każdego do innego wozu - zadysponował major.

W Pałacu Mostowskich Kaczanowski natychmiast przystąpił do przesłuchiwania przestępców. Na pierwszy ogień wzięto Kazimierza Felczaka. Młody człowiek jeszcze nie ochłonął z przerażenia, ale dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, jakiego niebezpieczeństwa uniknął dzięki przeprowadzonej w porę interwencji milicji. Nie miał też ochoty osłaniać niedawnego przyjaciela.

- Przyznaję się do udziału w napadzie na samochód przewożący pieniądze w dniu szóstego września - tymi słowami rozpoczął swoje zeznania - natomiast nie przyznaję się do zabójstwa Pawła Wyganowskiego.

- Proszę opowiedzieć, jak to było z napadem.

- Pawła Wyganowskiego poznałem za pośrednictwem pewnej dziewczyny.

- Wiśki Kosińskiej?

- Pan major wie? - ogromne zdumienie odbiło się na twarzy młodego człowieka.

- My wszystko wiemy, dlatego nie próbuj kłamać - ostrzegł Kaczanowski.

- Paweł opowiadał mi, ile to pieniędzy transportuje się z Warszawy do Nadarzyna na każdą wypłatę. Początkowo śmieliśmy się, jak to dobrze byłoby mieć tyle forsy. Ale kiedyś Paweł całkiem serio zaczął mówić, że można by na szosie zatrzymać samochód i zagarnąć te pieniądze. Już przedtem Paweł za moim pośrednictwem poznał Ryśka. To właśnie Rysiek podsunął plan, aby wóz został zatrzymany przez

fałszywego milicjanta. Miałby on sterroryzować pistoletem jadących, kazać im wysiąść i samochodem uciec z pieniędzmi. Ale nie mieliśmy pistoletu, a z makietą broni zbyt niebezpiecznie byłoby działać, bo przecież strażnik posiadał pistolet i mógł się nie zlęknąć byle straszaka.

- Liczyliście się z koniecznością zabójstwa jadących w samochodzie?

- To się tylko tak mówiło - bronił się Felczak. - Paweł powiedział, że milicjant mógłby próbować, czy samochód jest sprawny. Wtedy Rysiek, który jest mechanikiem, wyjaśnił, że wózek można tak spreparować, aby zapalał jedynie wtedy, kiedy się naciśnie na guziczek. Rysiek nauczył Pawła, jak to się robi. Ćwiczyli na starym fiacie. Paweł podjął się założyć to urządzenie w samochodzie fabrycznym. Miał to zrobić na dzień przed transportem pieniędzy.

- A mundur?

- Mundur kazali mnie uszyć. Nie chciałem, ale nie mogłem się już wycofać. Wziąłem udział w tej akcji tylko po to, aby się nikomu krzywda nie stała, bo zarówno Paweł, jak i Rysiek byli gotowi na wszystko.

- Nie łżyj - upomniał major. - Pawła nie było na autostradzie.

- Ale Ryszard, w razie gdyby strażnik oponował, gotów był go zabić.

- Czym?

- Miał ten klucz przy sobie, a także nóż sprężynowy.

- Gdzie są pieniądze? Twoja dola.

- Schowałem w ogródku działkowym. Pod beczką, zakopane w ziemi.

- To już zgniły.

- Nic im się nie stało. Są w cynkowej skrzynce po kawie. Owinąłem je także w celofan, a skrzynkę zabezpieczyłem smołą.

- Jutro w dzień pokażesz ten schowek.

- Pokażę, panie majorze. Zaprowadzę was prościutko do tych pieniędzy. Nie ruszałem z nich ani grosza - Kazimierz Felczak posłuszeństwem i uległością starał się wypracować

sobie „okoliczności łagodzące”.

- Jak to było z Pawłem Wyganowskim?

- Kiedy już mieliśmy forsę, podzieliliśmy ją na trzy równe części. Daliśmy sobie słowo, że przez trzy lata żaden z nas tego nie ruszy. Wiedzieliśmy, że milicja będzie filowała, czy ktoś nie jest za bogaty. Paweł wyjechał do Poznania. Kiedy wrócił na Boże Narodzenie, na ferie, spotkało go paru znajomych. Prawie go nie poznali, tak się wysztafirował. Dowiedział się o tym Rysiek. Przyszedł kiedyś pod szkołę, spotkał Jagodę. Gadka, gadka, dopytuje się o Pawła. Ona mu mówi, że Wyganowskiemu tak dobrze się powodzi. Daje korepetycje i zarabia ciężką forsę. Nie dla nas taki bajer. Rysiek wyciągnął od dziewczyny adres Pawła i zadecydował, że pojedziemy do Poznania sprawdzić, co i jak.

- A skąd wiedzieliście, że milicja już podejrzewała Wyganowskiego o udział w napadzie?

- Nic nie wiedziałem. Może Rysiek coś słyszał, ale mnie nie mówił.

- Co było dalej?

- Przyjeżdżamy do Poznania, meldujemy się na kwaterę do Pawła. Otwiera nam jakaś hrabina i prosi do pokojów. A Paweł jak Lord Gallux. Spodzień z „Peweksu”, koszulka z komisu, inne ciuchy także nie krajowe. Znam się na tym, bo jestem synem krawca. Po wyglądzie poznaję materiały. Paweł, nie można powiedzieć, przyjął nas dobrze. Poleciał do sklepu, przyniósł flaszkę wina i zagrychę. Jeszcze się chwali, jaką to gablotę sobie zafundował. Powiada także, że jego nasza umowa nie obowiązuje, bo wyjechał z Warszawy. W Poznaniu jest bezpieczny i może robić, co mu się podoba. Dla kumpli i dla tej hrabiny wymyślił, że go ojciec z Anglii dolcami faszeruje. My nic, tylko słuchamy. Posiedzieliśmy do późna, Paweł sam nam zaproponował, że nas przewiezie swoim wózkiem.

- A gdzie nocowaliście?

- U takiej jednej. Miałem jej adres, bo kiedyś w Warszawie pracowała, ale musiała spływać ze stolicy. Zakotwiczyła w Poznaniu. Striptizerkę odstawia. Odszukaliśmy ją w „Polonezie”. Zabrała nas na chatę.

- Co dalej?

- Rozmawiałem z Ryśkiem, że najlepiej, jeżeli damy nogę. Trzeba szybko całą forsę na dolce wymienić. To mógłbym zrobić w parę dni i potem wiać za granicę. Bo jak Paweł wpadnie, a musi wpaść, wtedy i nas zakapuje. Ale Rysiek' powiedział, że na wyjazd na Zachód jest jeszcze czas i że to nie takie proste. Co prawda znam paru Szwedów, którym nieraz się pomogło, i oni by może jakoś nas przerzucili, ale Rysiek nie chciał o tym słyszeć. Nie wiem dlaczego, bo pieniędzmi wszystko można zrobić - młody przestępca wygłosił swoją życiową dewizę.

- Co dalej?

- Więc Rysiek powiedział, że trzeba się z Pawłem rozmówić. Niech się pozbędzie tego samochodu i niech zmieni miejsce zamieszkania. Niech się wyprowadzi na drugi koniec Polski i tam przywaruje. Rysiek twierdził, że ma dla Pawła dobrą metę.

- Taką samą, jaką tobie szykował za pomocą klucza francuskiego.

- Wtedy o tym nie wiedziałem i o nic go nie podejrzewałem. Wyjechaliśmy z Poznania, a Rysiek mówi, że chciałby zobaczyć Kórnik. Widocznie znał tamte strony i wiedział, że tam są lasy. Kiedy jechaliśmy przez las, Wolski poprosił, żeby Paweł stanął. Akurat przy jakiejś przecince. Szosa pusta. Wyszliśmy wszyscy trzej. Było pochmurno, zanosiło się na śnieg. Rysiek mówi: „Patrzcie, na tamtym drzewie siedzi dzięcioł". Odwróciliśmy się, a Wolski Pawła kluczem w tył głowy. Chłop ani jęknął. Kiedy to zobaczyłem, omal nie zemdlałem. Ja przysięgam - Felczak był bliski płaczu - o niczym nie wiedziałem. Pawła nawet nie dotknąłem.

- Mów dalej.

- Rysiek powiedział „Pozbyliśmy się durnia. Trzeba mu było zamknąć gębę. Teraz tylko dobrze go schować, żeby gliny nie znalazły". Przewieźliśmy ciało samochodem tą przecinką tak daleko, ile się dało. Potem Rysiek wciągnął je w krzaki. Mnie kazał ponacinać gałęzi do przykrycia zwłok. Kiedy wyjechaliśmy z lasu, zaczął padać śnieg. Wolski prowadził wóz. Mnie się tak ręce trzęsły, że drzwi nie mogłem zamknąć, jak

wsiadłem do auta. Przejechaliśmy przez Kórnik, Rysiek skręcił na jakąś inną szosę i ze dwa kilometry za miastem wjechał znowu do lasu, gdzie porzuciliśmy samochód. Wróciliśmy pieszo do Kórnika i autobusem do Poznania. Później pociągiem do Warszawy.

- Na tym dzisiaj skończymy - zadecydował Kaczanowski. - Jutro pokażesz, gdzie schowałeś pieniądze.

- Pokażę - skwapliwie zapewnił Felczak.

- Będziesz jeszcze nieraz przesłuchiwany przeze mnie i przez prokuratora na okoliczności napadu na samochód i zabójstwa Pawła Wyganowskiego. Ostrzegam cię. Jedyny twój ratunek to mówić szczerą prawdę.

- Ja Pawła nie zabiłem. Nie dotknąłem go. Pomagałem Ryśkowi ukryć zwłoki, bo się go bałem. Przecież mógł ze mną wtedy zrobić to samo, co z Wyganowskim. Dzisiaj także, gdyby nie pan major... Nawet nie przypuszczałem, że Wolski go zabije. Miał go jedynie ostrzec, żeby spłynął z Poznania.

- Nie lepiej było uczciwie pracować na budowie albo w zakładzie ojca?

Kazimierz Felczak spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Doskonale rozumiał, że przegrał może nie całe życie, ale co najmniej swoją młodość. W najlepszym razie ma przed sobą długie lata więzienia.

Ryszard Wolski obrał inną taktykę. Jak to się nazywa w areszcie, „poszedł w zaparte". Zaprzeczał wszystkiemu. Swojemu udziałowi w zawładnięciu wiśniowym fiatem, zabójstwu Pawła Wyganowskiego, a nawet próbie zabójstwa Kazimierza Felczaka. On tylko związywał sznurowadło, klucz francuski, który zawsze nosił przy sobie, gdyż potrzebny mu zarówno w pracy, jak i w domu, wysunął mu się z kieszeni. Wtedy podniósł go i wyprostował się. Milicjanci zaś nie wiadomo, z jakiej przyczyny, rzucili się na niego.

Ale mechanik samochodowy nie umiał wytłumaczyć jednego. Jak to się stało, że na tym kluczu francuskim, który przecież stanowił bezsporną własność młodego człowieka, znaleziono ślady krwi. Krew miała identyczną grupę z grupą krwi zamordowanego Pawła Wyganowskiego. Na kluczu

znaleziono także kawałek ludzkiego włosa. Milicja poznańska przezornie pobrała próbkę włosów Wyganowskiego. Nie mogło być mowy o jakiejkolwiek omyłce. Ten włos był taki sam.

Ani prokurator, ani major nie przejmowali się sposobem postępowania Wolskiego w areszcie. Śledztwo rozporządzało wystarczającą ilością zupełnie pewnych dowodów przeciwko niemu. W świetle tych dowodów udział Ryszarda aż w trzech przestępstwach: rabunku pieniędzy, zabójstwie Wyganowskiego i usiłowaniu zabójstwa Felczaka - był nie do podważenia.

Dla wytrawnego prawnika, prokuratora Boczkowskiego, postępowanie Wolskiego było jasne. Młody człowiek zdawał sobie sprawę, że w sądzie pierwszej instancji może zapaść wyrok kary śmierci. Ponieważ w polskiej jurysdykcji przyjął się zwyczaj, że Sąd Najwyższy z reguły uchyla wyroki śmierci, wydane w procesach poszlakowych, Ryszard Wolski chciał właśnie doprowadzić do takiego procesu poszlakowego i uratować własną głowę.

Ale to nie mogła być „poszlakówka". Dowody, jakimi rozporządzał prokurator, były wprost „żelazne". Przyznanie się czy też zaprzeczanie oskarżonego nie miało w tym wypadku żadnego znaczenia.

Pozostawała jeszcze sprawa pieniędzy.

Odnalezienie ich nie było rzeczą łatwą. Bardzo dokładne przeszukanie mieszkania i miejsca pracy Ryszarda Wolskiego nie przyniosło rezultatów. Ukrytego skarbu nie znaleziono także u różnych dziewczyn i kolegów młodego człowieka. On sam milczał na ten temat. Przecież twierdzi, że jest niewinną ofiarą prześladowań milicji.

Major Kaczanowski i jego ludzie rozpoczęli szeroko zakrojony wywiad. Wypytywano dziesiątki i setki ludzi o sposób bycia i zwyczaje Ryśka. Wśród tych zeznań znalazło się parę, które zaciekawiły prowadzącego śledztwo. Oto różni znajomi często widywali mechanika samochodowego na cmentarzu na Bródnie.

Jak wiadomo, na tym jak zresztą i na innych warszawskich cmentarzach, są kobiety, które za pewną opłatą opiekują się

grobami. Sadzą kwiaty, podlewają je. Kobiety, tolerowane przez zarząd cmentarza, całe dnie od rana do wieczora spędzają między grobami.

Tym „ogrodniczkom" pokazano fotografie Wolskiego. Jedna z kobiet znała go doskonale od dziecka, bo mieszkali kiedyś w tym samym domu przy ulicy Stalowej na Pradze. Właśnie ona udzieliła milicji interesujących wiadomości. Często widywała Wolskiego na cmentarzu. Młody człowiek zawsze kierował się w stronę jego najstarszej części. Parokrotnie zauważyła go przed grobowcem rodziny Marciniaków.

„Ogrodniczki" podzieliły cały cmentarz na poszczególne rejony. Jedna nie ośmielała się robić konkurencji drugiej. Kobieta, która opiekowała się grobami w tej najstarszej części „miasta umarłych", wyjaśniła milicji, że rodzina Marciniaków wygasła już przed wojną. Grobowcem od przeszło trzydziestu lat nikt się nie interesował. Był on w stanie ruiny. Krzyż pochylił się, zarósł mchem, napisy stały się nieczytelne. Płyta wejściowa do krypty była zerwana i leżała nie opodal grobu. Widocznie jacyś szabrownicy usiłowali zakłócić spokój zmarłych.

Od kilkunastu miesięcy ten obraz zapuszczenia i ruiny uległ zmianie. Jakiś młody człowiek bardzo troskliwie zaopiekował się grobowcem. Oczyścił płytę, poprawił napisy i wyreperował wejście do krypty. Było ono teraz zamknięte na solidne śruby i dodatkowo umocnione łańcuchem, który blokowała potężna kłódka.

Opiekun grobowca nie korzystał jednak z pomocy pracującej tutaj ogrodniczki. Wszystko robił sam. Kobiecie pokazano zdjęcie Ryszarda Wolskiego, ale starsza niewiasta, trochę już niedowidząca, nie mogła rozpoznać, czy to akurat ten mężczyzna tak zadbał o opuszczony od trzydziestu lat grobowiec.

Major Kaczanowski sam obejrzał grób rodziny Marciniaków. Był on rzeczywiście odnowiony, ale wydało się dziwne, że zabezpieczono płytę grobową i wejście do krypty, ą nie poprawiono walącego się krzyża. Z boków grobowca nie usunięto śmieci i zeschłych liści. Natomiast zamknięcie było

rzeczywiście imponujące.

Powstały nowe problemy prawne — otworzenie grobu i dokonanie przeszukania wewnątrz krypty. Wymagało to zgody prokuratora i zarządu cmentarza. Żeby nie budzić niepotrzebnych plotek i nie spowodować jakiegoś zadrażnienia religijnego, Kaczanowski zaprosił do asysty miejscowego proboszcza. Nie przyszedł, ale przysłał w zastępstwie młodego wikarego.

Otworzono kłódkę, zdjęto łańcuch, odkręcono śruby i odsunięto kamienną płytę. Wewnątrz krypty na półkach po obu stronach stały szeregiem trumny. Niektóre z nich już się rozsypywały. Inne były na wpół otwarte. Hieny cmentarne i tutaj szukały pierścionków lub złotych zębów. Pod najniższą półką, za bodaj najstarszą trumną, znaleziono owiniętą w worki metalową kasetkę.

Po doprowadzeniu grobowca do poprzedniego stanu major przywiózł kasetkę do Pałacu Mostowskich. Otworzono ją w obecności Ryszarda Wolskiego. Na widok znanej mu szkatułki młody człowiek zbladł i zachwiał się. ale nie powiedział ani słowa.

W kasetce znaleziono dwa miliony czterysta tysięcy złotych. Najwidoczniej sześćdziesiąt tysięcy rozeszło się Ryszardowi Wolskiemu na „drobne wydatki".

Rozdział piętnasty
Co robi pułapka na myszy?

Był piękny majowy dzień. Major Janusz Kaczanowski w wyśmienitym humorze wszedł do pokoju zwierzchnika, pułkownika Adama Niemirocha. Od progu pochwalił się:

- Zakończyłem śledztwo. Waśnie przekazałem akta sprawy panu prokuratorowi Boczkowskiemu. Może pisać akt oskarżenia.

- Lepiej późno niż wcale - pułkownik udawał, że nie podziela radości majora.

- Coś takiego! Jeszcze masz pretensję? A ja myślałem, że ze szczęścia porwiesz mnie w ramiona. Prokurator Boczkowski, a przecież znasz go i wiesz, jaki jest wymagający, stwierdził, że nie pamięta tak skomplikowanej sprawy i tak dobrego jej rozwiązania.

- Rozmawiałem już o tym z komendantem.

- Pamiętałeś o Dziubie? Należałaby mu się jakaś nagroda.

- Na pewno ją dostał od kogoś ładniejszego niż my -uśmiechnął się pułkownik.

- Gdyby nie wskazał na Kazimierza Felczaka, moglibyśmy jeszcze długo błądzić w ciemnościach - Kaczanowski wykłócał się o swojego wywiadowcę. - Wszystko jedno, jak do tego doszedł.

- Ty mi nigdy nie pozwolisz skończyć. A właśnie miałem ci powiedzieć, że sprawa Dziuby została pomyślnie załatwiona. Dostanie tę nagrodę.

- To wspaniale. Bardzo się chłop ucieszy.

- A co do ciebie, to zadecyduje generał. Sądzę, że i tobie coś tam kapnie.

- Przypuszczam, że i pewnemu pułkownikowi?

Niemiroch uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. Szczerze mówiąc, on także mógł się spodziewać jakiejś premii uznaniowej. Przy rozwiązywaniu sprawy zaboru siedmiu milionów złotych z wiśniowego fiata również się porządnie naharował.

- A co z Ryszardem Wolskim?

- Jak zwykle wszystkiemu zaprzecza. Kiedy zamykałem śledztwo i przedstawiłem mu dowody, jakimi przeciwko niemu rozporządzam, zażądał jednak widzenia z prokuratorem. Wyjaśniłem mu, że przekażę jego życzenie, ale i tak prokurator będzie go jeszcze nieraz przesłuchiwał. Myślę więc, że w końcu pęknie.

- Co prawda - stwierdził Niemiroch - niewiele nowego może nam powiedzieć. Jak to zwykle bywa po wpadce, teraz jeden drugiego nawzajem będzie sypał. Kazimierz Felczak dołożył już przyjacielowi, ile tylko wlazło. Nie żałował go.

- Nie miał powodu. Ale czy powiedział wyłącznie prawdę? -

zastanawiał się major. - Trudno w to uwierzyć. W swoich zeznaniach przedstawia się jako baranek, któremu niemal na siłę wciśnięto w ręce prawie dwa i pół miliona złotych. On, jak mógł, tak się przed tym bronił.

- Sądzę, że pomysł z fałszywym milicjantem i uszyciem munduru nie wyszedł z niczyjej innej głowy.

- Ja także przypuszczam, że każdy z bandytów miał swoją cząstkę w planie rabunku i że nie można wszystkiego zwalać na Ryszarda Wolskiego. Nie bardzo wierzę w to, że nasz „krawiec" nie domyślał się, dlaczego wywożą Pawła Wyganowskiego do Lasów Kórnickich.

- Ty, Janusz, jesteś jednak wielki szczęściarz i wielki ryzykant. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby tam, w parku Skaryszewskim, Wolski zdążył opuścić klucz francuski, trzymany w ręku. Poszedłeś na ogromnie niebezpieczny numer.

- A ty pewnie sądzisz, że się nie bałem? Mogę cię zapewnić, że stojąc pod tymi jałowcami oblewałem się ze strachu zimnym potem na myśl, że możemy nie zdążyć.

Z góry zakładałem, że będziemy natychmiast interweniować, gdy tylko Wolski znajdzie się o dwa metry z tyłu za Felczakiem. Takie też dałem instrukcje wszystkim ludziom z obławy. Kiedy Wolski nachylił się, aby rzekomo zawiązać sznurowadło, wiedziałem, że ten moment nadszedł. Dlatego zupełnie się nie kryjąc wyskoczyłem na ścieżkę. Ale on jak głuszec, nic nie widział i nic nie słyszał. Opanowany był tylko jednym pragnieniem: zabić.

- Czekałem tutaj, w Pałacu Mostowskich, na koniec akcji i nie mogłem się doczekać. Wypaliłem całą paczkę papierosów i wypiłem cztery kawy. Nic nie pomagało. Ostatecznie jesteś kawał drania, ale nie chciałbym cię stracić. Tym bardziej w ten sposób. Obawiam się, że przy złym obrocie sprawy nie skończyłoby się na wylaniu ze służby. Narażałeś człowieka na utratę życia. A jest taki artykuł w kodeksie karnym...

- Pasowałby do mnie jak ulał - roześmiał się Kaczanowski - ale ryzyko było jedyną możliwością odnalezienia trzeciego bandyty i udowodnienia mu winy. Dlatego musiałem pójść na

to ryzyko. Na szczęście wszystko przebiegało tak, jak to sobie zaplanowaliśmy. Trochę mnie uspokajało przeświadczenie, że na moich ludziach mogę polegać jak na sobie samym. To przecież przypadek, że znalazłem się najbliżej bandyty. Kiedy się na niego rzuciłem, inni już biegli w tym kierunku.

- Kazimierz Felczak - pułkownik nie w pełni zgadzał się ze swoim podwładnym - po tych licznych komunikatach był tak zastraszony, że można go było „zdjąć" choćby z mieszkania tej handlary na Żoliborzu. Na pewno wysypałby Wolskiego i wskazał, gdzie schował dolę z rabunku. Wtedy uniknęłoby się tej niebezpiecznej rozgrywki w parku Skaryszewskim.

- To prawda. Felczaka miałem w ręku. Zapewne sypnąłby kolegę. Ale Wolskiemu niczego nie mógłbym dowieść. Nie mogłem z góry zakładać, że będzie on taki głupi i nie wyrzuci narzędzia zbrodni. Poza tym nie wiem nawet, czy ten klucz francuski zostałby przez nas zauważony wśród innych takich samych w warsztacie na Omulewskiej. Prokurator mógłby wytoczyć mu „poszlakówkę", opartą jedynie na zeznaniach Felczaka. Czy to wystarczyłoby sądowi?

- Felczak mógł w ogóle nie zatelefonować do Wolskiego.

- Straszyłbym go tak długo, ażby skorzystał z tej drogi.

- Mógł sam uciekać.

- Deptałbym mu po piętach, ale bym go nie aresztował. W końcu by tego nie wytrzymał nerwowo.

- Mógł się zgłosić do nas, jak to radzili chłopakowi jego ojciec i dzielnicowy.

- Mógł. Ale wtedy miał pewność, że zainkasuje kilka lat więzienia i rozstanie się z pieniędzmi, które przecież były jedynym celem jego życia. Słusznie uważałem, że Felczak tego nie zrobi.

- Dziwię się, że zwrócił się do Wolskiego z prośbą o ratunek. Doświadczenie niczego go nie nauczyło. Widział, jak tamten załatwił Pawła Wyganowskiego. Zabił go, aby chronić własną skórę. Kazimierz powinien przewidywać, że i tym razem Ryszard w ten sam sposób będzie bronił swojej osoby.

- Twoje rozumowanie jest słuszne, ale ty na to wszystko patrzysz z odpowiedniej perspektywy. Jest pewna różnica

pomiędzy zabójstwem Pawła Wyganowskiego a zamachem na Kazimierza Felczaka. Wyganowski był dla tych dwóch człowiekiem obcym. Poznali go przypadkowo. Złączyło ich jedynie pragnienie zdobycia pieniędzy. Dlatego kiedy stał się niebezpieczny, Wolski usunął go bez namysłu. Jestem pewien, chociaż tego nie mogę udowodnić, że działał przynajmniej za milczącym przyzwoleniem pozostałego wspólnika.

- Całkowicie podzielam twoją opinię.

- Co innego stosunki Felczak - Wolski. Znali się od szczeniaków. Wyrośli w tej samej dzielnicy na Pradze. Razem chodzili do powszechniaka. Silny i przedsiębiorczy Rysiek zawsze imponował takiemu, w gruncie rzeczy mięczakowi, jakim jest Kazik. Dlatego też Felczak znalazłszy się w niebezpieczeństwie po prostu nie potrafił inaczej postąpić, jak tylko zwrócić się do swojego najlepszego przyjaciela... To u niego było instynktowne.

- Wolski mógł jednak nie sięgnąć po klucz francuski.

- Znowu się mylisz. Istnieją pewne stereotypy ludzkiego postępowania. Tak jak to się dzieje u zwierząt. Lew czy tygrys unika człowieka, ale kiedy jest bardzo przestraszony i nie widzi drogi odwrotu, rzuca się na niego. Wolski już raz w ten sposób zlikwidował grożące mu niebezpieczeństwo. Strasząc Felczaka, straszyłem również Wolskiego. Uruchomiłem jego stereotyp. Wiedziałem, że będzie usiłował powtórzyć swój numer z Lasów Kórnickich.

- Zabić przyjaciela to jednak trudna decyzja.

- Obaj młodzi ludzie nie byli jeszcze karani. Ale milicja dobrze ich znała. Solidarność przestępców pryska jak bańka mydlana przy najmniejszym niebezpieczeństwie. Wtedy w kąt idą takie pojęcia, jak miłość czy przyjaźń. Pozostaje wyłącznie ratowanie własnej skóry za wszelką cenę. Dla Wolskiego było to jeszcze prostsze. Miał już na swoim koncie jedno zabójstwo. Wiedział, że w razie wsypy grozi mu „krawat". Wyższej kary za dwa trupy nie mógł dostać. Zdawał też sobie sprawę z faktu, że skoro Felczak wpadnie w nasze ręce żywy, wtedy będzie mówił. Wszystko, co wie. A to oznacza koniec.

- Ale ty, Januszku, postawiłeś kropkę nad „i". Zwycięsko

uporałeś się z tą sprawą. W związku z nią masz jednak jeszcze jeden problem do rozwiązania i w tym możemy ci pomóc - ostatnie zdanie pułkownik powiedział dość dziwnym tonem.

- Jaki problem?

- Udało mi się wyskrobać trochę grosza na premię dla tej twojej „wtyczki" w Zakładach Aparatury Precyzyjnej w Nadarzynie. Będzie miała na otarcie łez. Bądź co bądź ona także przyczyniła się do postępów śledztwa. Jak jej tam? Czy dobrze pamiętam, Elżbieta Jarot?

- Dlaczego na otarcie łez? - zdziwił się Kaczanowski.

- Teraz kiedy sprawa została pomyślnie zakończona, kontakt z Nadarzynem nie jest ci potrzebny. Możesz spokojnie pozbyć się tej dziewczyny. Sam mówiłeś, że podtrzymujesz tę męczącą ciebie znajomość wyłącznie dla dobra śledztwa.

- Oszalałeś! - Janusz naprawdę się rozzłościł. - To bardzo przyzwoita dziewczyna. Zupełnie inna niż wszystkie. Nie taka, co biega za chłopem, aby go zaciągnąć do ołtarza. Wiesz, ona zawsze podkreśla, że najbardziej ceni sobie wolność i niezależność.

- Mądra dziewczyna - szczerze przytaknął pułkownik.

Adam Niemiroch był żonaty od przeszło dwudziestu lat. Wiedział, że pułapka nie biega za myszą, aby ją złapać.

KONIEC

zł 70,–

Ali-Baba

ISBN 83-07-00639-2